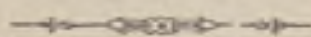




WIEDZA PRZYRODNICZA

WOBEC PRĄDÓW ŻYCIA OSTATNIÉJ DOBY.



Ćwierć wieku mija od czasu, kiedy wiedza przyrodnicza święciła u nas swój tryumf; ćwierć wieku od chwili, kiedy na sztandarze przednich szeregów pochodu postępowego wypisano formułę: „wiedza to potęga". Sztandar ten wzniesiono wysoko, ponad wszystkie zarówno wyblakłe, jak i świéżo wynurzające się hasła ówczesnéj epoki, a naukę ścisłą, realną, pozytywną, w szczególności przyrodniczą uwieńczono niepodzielną koroną, przyznając samowładne panowanie na ziemi i niebie, t. j. w dziedzinie materyi i ducha. Hołd, który składano wiedzy przyrodniczéj, byłby całkiem usprawiedliwiony, gdyby nie cześć bałwochwalcza bezwzględnych jéj adeptów, zapatrzonych w narzędzia przyrodnika, jak w jedyną dźwignię szczęścia ludzkości.

Zwrot do nauk przyrodniczych koło 70 roku wywołanym został, jak wiadomo, niezmiernym ich rozwojem na Zachodzie. Nie ilość nagromadzonych spostrzeżeń i doświadczeń w tym odłamie wiedzy, lecz ich zestawienie, uporządkowanie, ujęcie w zwięzłe, jednolite prawa i teorye nadały tak wielkie znaczenie przyrodoznawstwu, że się nie zawahano postawić go na czele wszystkich umiejętności. Powodem do tego był z jednéj strony płodny w następstwa rozwój nauk przyrodniczych w porównaniu z innemi gałęziami wiedzy, z drugiéj zaś bankructwo poprzedniéj epoki, stapiającéj w obłokach mistycyzmu wszelką myśl zdrową, wszelką zarodź czynu na romantyczne marze-

nia. Niemoc duchowa społeczeństwa odbiła się w znacznym stopniu na jego bycie materyalnym. Przemysł, handel, rolnictwo, tlejąc zaledwie w dogorywającéj fazie drobnéj produkcyi, powitały z entuzyazmem nowego przybysza, umiejętnego ujarzmiciela sił przyrody, który obiecywał użyznić pola i łąki, wyhodować najkorzystniejsze rasy zwierząt domowych, wznieść warsztaty i fabryki, dostarczyć kupcom nowych towarów. To téż radosne przyjęcie i popularność nauk przyrodniczych u nas były reakcyą po pierwsze rzeczywistych zdobyczy naukowych, analizy i syntezy umiejętnéj przeciwko majaczeniom fantazyi, t. j. reakcyą wiedzy na faktach opartéj, ze spostrzeżeń wysnutéj i na doświadczeniach stwierdzonéj przeciwko poglądom w wyobraźni jeno i rozmyślaniu wylęgłym. Po drugie, nauki przyrodnicze, a zwłaszcza ich część stosowana, praktyczna, miała wynagrodzić straty materyalne, które kraj ponosił już to skutkiem wyjałowienia drobnego przemysłu, już to z innych przyczyn. W dwu więc dziedzinach życia nastąpiła reakcya: w dziedzinie myśli i pracy. Gdyby obie te sfery działania, myśl i czyn, zawsze w zgodzie ze sobą były, jak tego natura ich wymaga, gdyby światło wiedzy torowało działalności drogę, a czyn był tylko myśli wcieleniem, wówczas reakcya, która u nas przed dwudziestu pięciu laty zapanowała, nie byłaby się na dwa kierunki rozpadła i nie płynęłyby dzisiaj dwa prądy, co niegdyś z jednego wytrysły źródła. Jak się to stało, przypomnijmy sobie w streszczeniu.

Trudno wskazać, od kiedy się datuje epoka rozkwitu nauk przyrodniczych. Ani wielkie odkrycia Kopernika i Newtona w dziedzinie astronomii i mechaniki, ani atomistyczna teorya budowy materyi Daltona, ani prawo Mayera zachowania energii (w owym czasie — siły), ani nawet tak świetnie odznaczająca się teorya pochodzenia gatunków Darwina nie sprowadziły przełomu w dziejach rozwoju przyrodoznawstwa. Każde nowe prawo, każda nowa teorya raziły tylko profanów swoją nowością, w świecie zaś naukowym stanowiły poprostu dalszy szczebel w jednolitém wiązaniu badań. Tak np. główne pojęcia teoryi Kopernika wypowiedzieli jeszcze uczniowie Pitagorasa. Prawo ciążenia nie byłoby przez Newtona odkryte, gdyby nie poprzednie badania Galileusza, Kepplera i innych. Darwinowska teorya powstawania organizmów miała cały szereg poprzedników, a przewidywaną była jeszcze przez Empedoklesa, wybitnego filozofa Grecyi starożytnéj. Ponieważ żadne odkrycie naukowe nie było wymysłem geniuszu, tylko bardzo trafném ujęciem teoretyczném przeważnie znanych szczegółów, lub ich oświetleniem z nowego stanowiska, ale w każdym razie takiego, na które poprzednie prace mniéj lub więcéj wyraźnie wskazywały,

to postęp wiedzy z trudnością daje się na okresy rozdzielić. Historya nauk dowodzi, że wszystkie odkrycia, pomijając nieliczne przypadkowe, tak były od siebie zależne i do takiego stopnia ze szczegółami poprzednich wiadomości związane, że cały postęp wiedzy uważać można za jednolitą, choć bardzo złożoną przędzę, któréj osnowa z jednego wysnuwa się kłębka, lecz splata stopniowo z coraz większą ilością pasm postrzeżenia, doświadczenia i przewidywania. Pomimo téj jednolitości w rozwoju nauk przyrodniczych można wskazać cechy, wyróżniające jeden okres od drugiego.

Jeżeli obejmiemy wzrokiem całą przesłość przyrodoznawstwa, to zauważymy, iż czasy starożytne i średniowieczne obfitowały w znajomość szczegółów, o charakterze przeważnie opisowym, morfologicznym, zbiéranych z najrozmaitszych dziedzin i bardzo słabo, lub téż wcale ze sobą nie powiązanych. Dawniejsi badacze gromadzili głównie materyał, nie mogąc i zwykle nie usiłując doprowadzić do porządku zebranych wiadomości. Materyał owoczesnego przyrodnika był balastem obciążającym głowy jedynie specyalistów, zastosowanie praktyczne znajdował rzadko, a do wiadomości publicznéj nie dochodził nawet po wynalezieniu druku. Nie brak było, co prawda, i w starożytności głębokich a ruchliwych umysłów, które próbowały ogarnąć całość zjawisk fizycznych, życiowych, wszechświatowych, lub duchowych w jednolite, proste pojęcia; lecz wywody owe oraz uogólnienia były wyrozumowane i nie na faktach się opiérały, ale na mniéj lub więcéj prawdopodobnych domysłach. Przypuszczenia tedy, nie zaś postrzegane zjawiska służyły dawniejszym filozofom za materyał, a logika stanowiła cement do łączenia materyału tego w piękne nieraz, ale nietrwałe systematy. I kiedy się upowszechniła metoda doświadczalna badania, kiedy niezliczone przedmioty i zjawiska dokładniéj poznano, podzielono na grupy pokrewne i pokrewieństwo to wspólnością cech i przyczyn wytłómaczono, wtedy dopiéro okazała się bezsilną rozumowa (spekulacyjna) metoda budowania teoryi. Tak np. pogląd, że ziemia znajduje się w środku wszechświata i że wszystkie słońca i gwiazdy dokoła niéj krążą, aby ogrzéwać, oświetlać i rozweselać człowieka, pogląd taki nie był pozbawiony logiki, tudzież poparcia względnie prawdopodobnych przypuszczeń, a jednak musiał on upaść, bo nie odpowiadał rzeczywistości, przeczył faktom dokładnie poznanym. Taki sam los spotkał do niedawna jeszcze panującą teoryę „siły życiowéj”, która przez tyle wieków służyła za parawan, odgradzający wzrok przyrodnika od źródła zjawisk życia. Nadzwyczaj zawikłane procesy organizmu zwierzęcego wymykały się z pod badawczego oka ubogich w doświadczeniu przyrodników stuleci prze-

szłych i dlatego u źródła najciekawszych tajemnic natury wywieszono szyld niby wszystko, a właściwie nic nie tłómaczącéj „siły życiowéj". Jakaś niepochwytna „potęga" miała w ruch wprawiać narządy organizmu, lecz kiedy poznano czynności organów, dopatrzono zależności jednych od drugich i objaśniono mechanizm życia, wówczas dopiéro wyrozumowana „teorya" nieznanéj „siły" ustąpiła miejsca teoryi na obserwacyi i doświadczeniu opartéj. Takim mniéj więcéj zmianom uległa większa część uogólnień uczonych, którzy poglądy swe snuli z wyobraźni, nie zasilanéj znajomością tworów i zjawisk natury.

Główną więc cechą, wyróżniającą dawniejszy okres w rozwoju przyrodoznawstwa od nowoczesnego, jest to, że pierwszy gromadził materyał faktyczny, a drugi budował zeń misterny gmach wiedzy, posługując się coraz lepszemi narzędziami i coraz dokładniejszą metodą. Jako skutek zasadniczéj téj cechy, występowała w pierwszéj epoce luźność, dowolność i utopijność teoryi w porównaniu ze ścisłém, doświadczalnie stwierdzoném powiązaniem uogólnień epoki następnéj. Przejście pierwszego okresu do drugiego tak było ustopniowane, że początek spółczesnego rozkwitu nauk przyrodniczych rozpływa się w końcu zeszłego i początku bieżącego stulecia, podobnie, jak ginie źródło olbrzymiego potoku w zasilanéj zewsząd wilgocią kotlinie. Niesłychanego wszakże rozwoju teoretycznego i zastosowania dosięga przyrodoznawstwo w drugiéj połowie XIX wieku. Fizyka, ta najstarsza z nauk o przyrodzie, zestawia, sprawdza i tysiąckrotnie pomnaża doświadczenia swoje, podkopuje powagę przestarzałéj teoryi siły ciepła, światła, elektryczności i t. d., odsłaniając ogólnie panujące prawa ruchu i tłómacząc „siły", jako jego odmiany. Chemia wkracza ze swą analizą w dziedzinę ciał organicznych i stwierdza tożsamość pierwiastków i reakcyi w świecie martwoty i życia. Geologia odkrywa dzieje stopniowego utworzenia naszéj planety. Kosmogonia tłómaczy budowę i ważniejsze momenty rozwoju wszechświata. Biologia wyświetla mechanizm organizmu zwierzęcego i roślinnego, oraz odsłania procesy przemian i doskonalenia się istot żyjących. Młodziutka meteorologia przepowiada pogodę z dokładnością dziewięćdziesięciu kilku razy na sto. Psychologia porzuca bezowocne dociekanie nad istotą *(substratem)* ducha, bada natomiast z powodzeniem zjawiska myślenia i czucia, poznaje wzajemną ich zależność i pochodzenie, oraz wprowadza nas na drogę racyonalnego kształcenia umysłu i uczuć.

Pobieżne te wzmianki nie dają, rozumié się, żadnego pojęcia o całokształtcie postępów przyrodoznawstwa, wskazują bowiem tylko niektóre z ogólniejszych zdobyczy wiedzy. Ktokolwiek jednak zwrócił uwagę na nieprzejrzany wzrost techniki dzisiejszéj i przemysłu, tem

wié, że całe bogactwo narzędzi, machin, przyrządów, fabryk, środków komunikacyi, leczniczych i t. d. zawdzięczamy przedewszystkiém naukom przyrodniczym. Otóż, jeżeli umiejętności techniczne, czyli przyrodoznawstwo stosowane, tak rozległe ogarnęło pole, o jakiém przed pięćdziesięciu laty nawet marzyć nie było można, to teorya tych nauk daleko większe przybrała rozmiary. I jeżeli technika spółczesna sprowadziła tak wielkie zmiany w materyalnym bycie narodów, oraz spowodowała takie w nim zaburzenia, iż wielu nawet wykształconych ludzi wzrok swój z przerażeniem od nieznanego widma odwraca, to nauka przyrodnicza jeszcze dalsze sfery ogarnia, przenika do wszystkich dziedzin poznania, wywołując jeszcze większe i głębsze zmiany w całokształcie pojęć, teoryi i ideałów.

Najpłodniejszą w następstwa pod względem naukowym była i jest teorya powszechnego rozwoju, czyli tak zwany ewolucyonizm. Teorya ta nie jest wymysłem filozofów, jak to niektórzy przypuszczać są skłonni, lecz uogólnieniem rozwojowego procesu, skupiającém, jak soczewka promienie światła, wszystkie zjawiska kosmiczne i życiowe w szeregu prostych, z prawami natury zgodnych pojęć, na które się złożyły poszukiwania wszystkich minionych pokoleń. Łączność zjawisk przyrody, tudzież jedność rozwoju wszechświata, przewidywali już filozofowie greccy, lecz genialne ich domysły pozostać musiały bez większego znaczenia i widocznego wpływu, dopóki późniejsze nauki nie przybyły na pomoc ze swym zasobem faktów i prawami współzależności zjawisk. Daleka jest ona dziś jeszcze od dokładności i ścisłości, ale ma już dobrze utorowaną drogę, wielkie oddała innym naukom usługi, dużo ciemnych zagadnień wyjaśnić zdołała i obecnie posiada wszelkie szanse powodzenia w przyszłości. Mówiono o niéj wiele u nas przed dwudziestu laty, jeszcze w pierwszéj fazie rozwoju téj teoryi, pod nazwą darwinizmu. Obecnie jest ona znacznie rozszerzona i stosowana do całego uorganizowanego i nieorganicznego świata, tylko że o niéj wszędzie, jak dawniéj, nie mówią, bo wyszła z mody, lepiéj jest opracowana i poważnych wymaga studyów. A jednak jest ona tém dla myślącego człowieka, czém okręt z kompasem dla żeglarza: teorya rozwoju pozwala nam nietylko poruszać się na bezbrzeżnym oceanie wiedzy, lecz daje ster i drogowskaz do ręki, żeby się nie zbłąkać.

Teorya ewolucyi posiada też wielkie znaczenie moralne, o którém tu wspomnieć należy, gdyż etyka tak zwanéj szkoły ewolucyonistów była często i jest dotychczas powodem wielu nieporozumień, oraz napaści na wiedzę przyrodniczą, jako na jéj rodzicielkę. Otóż, teorya powszechnego rozwoju, zadając kłam samorodztwu dobra i zła, poszu-

kuje ich rodowodu w warunkach życia zewnętrznego i wewnętrznego. Widząc w procesach życia stopniowy postęp, lub zanik czynności, rozwój dodatni, lub ujemny, wskazuje konieczność bezustannych usiłowań ku zmianie warunków, przy których dobro się mnoży, a zło wyplenia. Pobudza ona tém i zachęca do ciągłéj energicznéj pracy, zapewniając, że żaden najmniejszy wysiłek nie zginie, że wcześniéj czy późniéj nawet „grosz wdowi” na szali ogólnego dobra zaważy. I naodwrót, potępia ona nieodwołalnie próżniactwo, potępia każdy występek, oraz najmniejsze pogwałcenie idei dobra i sprawiedliwości, gdyż jest ono rozluźnieniem solidarności, hamuje więc postęp społeczny i oddala chwilę lepszego bytu. Ewolucyonizm nie pozwala poprzestawać na zdawkowéj ofiarności, lecz wkłada obowiązek (dobrowolny) coraz większego udziału w przebijaniu dróg do powszechnéj szczęśliwości. Przy poglądzie takim nie ma potrzeby odwoływać się do nagród, które są zagładą bezinteresowności, ani do zemst, poniżających godność ludzką. Sam czyn, wcielający ideę dobra, jest dostateczną „nagrodą”, a poczuwanie się do solidarności z najlepszymi ludźmi—największą rozkoszą. Czyż może być głębsze i pełniejsze zadowolenie, niż to, którego się doznaje w przeświadczeniu, że działalność nasza, wszystkie myśli i uczucia skierowane są ku wcieleniu uznanych przez nas i ukochanych ideałów dobra?

Wróćmy teraz do głównéj myśli naszego przedmiotu.

Ruch, o którym wspomnieliśmy na początku, był prostém i koniecznném następstwem rozwoju przyrodoznawstwa, oraz jego znaczenia w zastosowaniu praktyczném. O ile teorye naukowe interesowały ludzi zajmujących się nauką, przenikały do piśmiennictwa i życia zarówno świadomych, jak i wcale nie przygotowanych, o tyle praktyczna część wiedzy przyrodniczéj pochłaniała uwagę techników, przemysłowców i fabrykantów. Ponieważ zaś siódmy i ósmy lat dziesiątek przedewszystkiém potrzebował sił do dźwignięcia bytu materyalnego, więc i nauki przyrodnicze powołano do celów utylitarnych. Wiedza teoretyczna, rozjaśniająca widnokręgi umysłowe, zdziérająca zasłony przesądów i ciemnoty, nie obchodziła fachowców przemysłowych. W nauce szukali oni tylko praktycznych wskazówek, udoskonalonych środków do wzbogacania się. Że zaś nadzieje spekulantów nie zawiodły i zastosowanie umiejętności przyrodniczych pożądanym uwieńczono skutkiem, grasująca w świecie wytwórców bogactwa materyalnego gorączka zysków pobudziła do gorączkowego nabywania stosownych wiadomości.

Szerokie i wartkie prądy życia znajdują zwykle odbicie swe w literaturze, a szczególniéj w dziennikarstwie. Więc i trapiąca od-

rodzonych karyerowiczów żądza wiedzy utylitarnéj miała w publicystyce swych zwolenników i apostołów. Z szybkością zarazy rozniosła prasa mikroby utylitaryzmu do wszystkich zakątków, powieść podnosiła inżynierów i różnych zdobywców fortuny do godności bohatérów i nawet poezya próbowała uwieńczyć skronie technika laurami. Z kawałków wiedzy, mianowicie z jéj części praktycznéj zbudowano ołtarz, znosząc nań w ofierze wszystkie myśli, uczucia i wierzenia; nad ołtarzem wznosiły się dymy kadzideł dla bożyszcza rozkoszy zmysłowych, a jego czciciele starali się wyznanie swe usprawiedliwić pochwyconemi z nowoczesnéj wiedzy formułkami.

Charakterystycznem jest dla naszéj epoki, a dla dziejów przyrodoznawstwa szczególnie, do jakiego stopnia nadużywano teoryi i wniosków naukowych dla wzniesienia z nich twierdzy, któraby osłaniała czcicieli złotego cielca i używania przed pociskami krytyki. Wspomnimy tu kilka najulubieńszych frazesów, służących dla nibynaukowego uprawnienia wyuzdanéj samowoli i rozpusty. Ponieważ, mówiono sobie, wszystko na świecie ma swoje naturalne przyczyny i skutki, wszystko się naturalnie i z nieubłaganą koniecznością rozwija, więc i bieg życia ludzkości naturalny stanowi proces, niech zatém sprawy życia społecznego same się układają, ludzie nie powinni do nich się wtrącać. Takie samowolne usunięcie inicyatywy człowieka i działalności świadomie kierowanéj ze świata naturalnego, miało uwolnić zgubne współzawodnictwo, przemoc i szacherki od moralnéj odpowiedzialności dla jednych, otworzyć zaś nieokiełznaną swobodę nadużyć dla drugich. Prawidłowość zjawisk natury rozszerzano na cały bieg życia w kruchém złudzeniu, że wszystko nosi na sobie piętno konieczności. Zapomina się tu, że każda przyczyna wywołuje niezbędnie pewien skutek tylko przy odpowiednich warunkach. W świecie fizycznym, warunki, towarzyszące zjawiskom, są stosunkowo niezmienne i dlatego działania przyrody są stałe, nieuchronne; w życiu jednak ludzkiém warunki mogą ulegać zmianie, dzięki świadomemu kierownictwu działalności, a więc i przyczyny w różnych okolicznościach różne sprowadzać muszą następstwa.

Darwinowskie prawo walki o byt, stosowane w nauce do świata zwierzęcego, do człowieka zaś z pewnemi zastrzeżeniami tylko w najniższych stopniach rozwoju, zostało z zuchwałą bezczelnością rozszerzone na wzajemne między ludźmi, klasami i narodami stosunki, niby naukowa osłona pożerania się i gnębienia słabszych, upośledzonych. Teorya zależności woli czyli determinizm (nie fatalizm), posiadająca w psychologii, a zatém dla prawa karnego i wychowania bardzo donio-

słe i humanitarne znaczenie [1]), zmieniła się w słowniku wyuzdanych szubrawców w twierdzenie: nie ma woli, precz z odpowiedzialnością!

Takie skoślawienie pojęć naukowych musiało z konieczności rozszerzyć sferę rozkładu poglądów moralnych i obyczajowych. Nigdy jeszcze pieniądz nie był tak wysoko ceniony, jak u dzisiejszych dorobkiewiczów; nigdy dla stanowisk i rozkoszy ciała nie poświęcono tyle uczciwości, poczucia prawdy i szlachetnych zadań. Wyzysk, lekceważenie praw bliźniego, deptanie godności ludzkiéj, poniewierka najwznioślejszych uczuć i porywów ducha, praktykują się z nieznaną dawniéj śmiałością. Czerpać z kielicha rozkoszy, choćby z najbrudniejszych mętów płynącéj, za jakąkolwiekbądź cenę, stało się hasłem pozłacanéj młodzieży i tych lekkoduchów, co za nią w ślad dążą. Cała ta umysłowa i moralna hałastra posługuje się nietylko formułkami naukowemi w rodzaju przytoczonych, lecz i frazesami o „etyce niezależnéj", nie mając najmniejszego pojęcia o moralności, ujętéj w karby naukowe. Pomimo jednak zwyrodnienia tych nieszczęśliwych zaślepieńców, powstała część literatury i sztuki, których zadaniem jest miłe odurzanie umysłu rozkosznisiów i podniecanie nienasyconych zmysłów.

Rozprzężenie moralne w życiu i literaturze tak wielkie przybrało rozmiary, że ze wszystkich obozów, konserwatywnych i postępowych, posypały się nawoływania do opamiętania się. Zawiłość spółczesnych warunków życia, różnorodność jego używania i nadużywania, bogactwo i rozpierzchłość kierunków naukowych, wszystko to razem utworzyło taką gmatwaninę pojęć, taki las przyczyn i skutków, prawdy i fałszu, dobra i zła, że dla ich rozróżnienia udają się do najrozmaitszych i najniewłaściwszych sposobów. Jednym z takich jest szukanie źródeł demoralizacyi obecnéj w naukach przyrodniczych, w jéj analitycznym i „materyalistycznym" kierunku.

Zauważmy tu przedewszystkiém, że tego rodzaju napaści pochodzą wyłącznie od ludzi, nie znających zgoła tych nauk, tylko rozprawiających się z niemi arogancką zarozumiałością. Po drugie analiza przyrodnicza jest rzeczą obcą dla ogromnéj większości czcicieli złota i poziomych rozkoszy. Co zaś do „materyalistycznego" téj wiedzy kierunku, który miał być jakoby ojcem materyalizmu w życiu, t. j. uznania bytu materyalnego za cel istnienia, tudzież jedynie zabiegów

---

[1]) Surową zemstę i pastwienie się nad przestępcami zastępuje dom poprawy, lub łagodne usunięcie zbrodniarza od stosunków z ludźmi. W wychowaniu— kapryśna, niby fantazyą rządząca się wola staje się uległą i zdolną do wykształcenia przy rozumném kierownictwie.

i pracy godną zasadą, to głosiciele takiéj farsy poprostu nie wiedzą, co mówią. Najprzód teorye przyrodnicze nie są wcale materyalistyczne [1]), dowodem np. choćby chemia, mająca wyłącznie z ciałami do czynienia, a która podstawy swe teoretyczne na zgoła niemateryalnych buduje filarach. Samo pojęcie materyi jest abstrakcyą, któréj nic realnego nie odpowiada, jest uogólnieniem tak rozległém i zmienném, że kiedy za dawnych czasów tylko ciała stałe za materyę poczytywano, w późniejszych już ciecze i gazy pod tę ogólną nazwę podciągnięto, a dziś teorya eterycznego stanu materyi nie pozostawia jéj żadnéj fizycznéj, t. j. mechanicznie na zmysły nasze działającéj własności, gdyż ciała w tym stanie będące pozbawione być mają nawet ciężaru. To, co pospolicie materyą zowiemy, co na zmysły nasze w pewien odczuwalny sposób oddziaływa, znamy właściwie tylko jako stosunek danego przedmiotu do nas. Stosunek ten zmienia się wraz ze zmianą stanu ciała, tak dalece, że już niektóre gazy są bezpośrednio niepostrzegalne, a cóż mówić o cząsteczkach, atomach, lub ich najsubtelniejszym stanie — eterze. Co zaś do samego przedmiotu ciała, które jedynie we względnych poznajemy stosunkach, to może on nawet wcale nie istnieć; wszystkie wrażenia, otrzymywane z zewnętrznego świata, jak wrażenie ciepła, światła, barwy, ciężaru, twardości i t. d. mogą być skutkami różnych rodzajów ruchu bez żadnego udziału substancyi czy materyi (t. j. mistycznéj rzeczy „saméj w sobie", *Ding an sich)*, o któréj najmniejszego nie mamy pojęcia, albo raczéj to tylko wiemy, że jéj wyobrazić sobie nie możemy, gdyż ona, jako materyał tworzący pierwiastki, nigdy się poznać nie dała i nie da, byłaby bowiem czémś bezwzględném, z niczém porównać się nie dającém, co jest ze stanowiska teoryi poznania absurdem.

Nauka spółczesna posiada, zdaniem naszém, dwa ważne powody, które nie dozwalają nawet przypuszczać istnienia materyi. Nie znaczy to bynajmniéj, aby świat był schopenhauerowskiém „wyobrażeniem", nie mającém we wszechświecie nic przedmiotowego, na prawdę istniejącego. Wyobrażenia nasze są zmienne, w pewném rozumieniu, niezależnie od zmian zachodzących we wszechświecie: możemy mniéj lub więcéj otrzymywać wrażeń i tak lub inaczéj kojarzyć je w umyśle, kiedy bieg zjawisk zewnętrznych zmienia się stale i nieuchronnie wobec przyczyn na wyobraźnię naszą nie działających. Wyobrażenia np. wody i ognia zmieniały się bezustannie w pojęciach ludzkich, sa-

---

[1]) Nie wyłącza to możności istnienia filozofii materyalistycznéj w przeciwstawieniu do spirytualizmu. Spółczesna jednak filozofia, uogólniająca wyniki nowożytnych nauk, za materyalistyczną uchodzić nie może.

ma zaś woda i ogień pozostały tém, czém były od wieków. Zmiany zachodzące w przyrodzie są stałe przy tych samych warunkach, co dało możność poznania praw natury, czynienia przepowiedni i zastosowań praktycznych. Stałość ta, wyrażająca się w przyczynowéj współzależności zjawisk, przekonywa nas o rzeczywistém istnieniu świata, jakkolwiek znamy go tylko ze względnego do nas stosunku. Względność naszego poznania wcale nie podkopuje rzeczywistości zjawisk, dowodzi tylko, że poszukiwanie ich „istoty", „rzeczy saméj w sobie" jest niedorzecznością.

Pojęcia materyi nie uważano dawniéj za względne, gdyż jéj saméj przypisywano cechy stałe i przynajmniéj w pewnych jéj formach — niezmienne (pierwiastki Arystotelesa, „substancya" filozofów-materyalistów, pierwiastki chemiczne). Otóż, jeżeli materyę pojmować będziemy w historyczném znaczeniu tego wyrazu, jako ciało elementarne, o własnościach fizycznych, to chemia dzisiejsza, nie posiada żadnych danych do tworzenia téj hypotezy, gdyż prosta indukcya, nie mówiąc już o odkryciach Crookesa (rozkład itru), każe przypuszczać złożoność dzisiejszych pierwiastków z jednéj strony, z drugiéj zaś stałe zmniejszanie się odczuwalnych przez nas własności składników ciała, które w najprostszéj swéj postaci, jak eter, lub pewna forma energii, zupełnie mogą być pozbawione znanych nam własności mechanicznych. Przy obecnym stanie nauki przypuszczenie takie całkiem jest uprawnione, odwrotne jednak niczém usprawiedliwić się nie da. Gdyby zatém „materyalność" ciała kiedykolwiek do pewnego upostaciowania energii sprowadzoną została, to oczywista, że istnienie ciał przez to nic a nic zachwianém-by nie było, lecz pojęcie materyi ostaćby się nigdzie nie mogło, chociaż i dziś w nauce potrzebném już nie jest, jako wyraz bez treści.

Drugim powodem nie dopuszczającym hypotezy istnienia materyi jest geneza samego pojęcia (materyi). Znaném jest, że w młodzieńczym okresie zarówno ludzkości, jak i jednostki, cała przyroda przedstawiała się umysłowi w postaci statycznéj, jako coś stałego, trwałego, wykończonego. Wszelki ruch, wszelką zmienność tłómaczono za pomocą uosobienia, przenosząc osobiste władze i cechy do świata przyrody, skoro tylko domniemana jéj stałość zakłóconą została. Jeżeli w tym okresie antropomorfizmu potrzebowano Eola dla sprowadzenia wiatrów i Neptuna dla poruszenia wód morskich, to przedmiotom długotrwałym i nieruchomym jak skała przyznawano doskonałą (absolutną) stałość. Ponieważ kamień, metal, ziemia okazywały zawsze i wszędzie podobne, trwałe własności, jak opór, ciężar, barwa, to ciała takie poczytywano za istnienia wykończone, niezmienne. Z roz-

wojem doświadczenia człowieka przybywało coraz więcéj przedmiotów zmiennych, trwałemi zaś pozostawały ciała, które, bądź wszystkie razem, bądź częściowo uważano za m a t e r y a ł, t w o r z ą c y wszystko, co pod zmysły podpada, i nazywano materyą. Sam wyraz materya, z sanskryckiego *matram* — miara i pierwiastku *ma* — robić ręką, wskazuje czysto antropomorficzne pochodzenie tego pojęcia. W miarę zaznajamiania się człowieka z naturą, statyka wszechświata ogarniała coraz szczuplejszy zakres zjawisk, aż w końcu teorya powszechnego rozwoju odsłoniła w całéj pełni dynamikę przyrody. Stałość, trwałość, nieruchomość uznano za złudzenie, wykryto natomiast bezustanny ruch i zmienność, a badania statyczne ograniczają się na wykazaniu współzależności zjawisk w danym momencie, na odsłonięciu *statu quo* przyrody (lub życia) w jednéj tylko chwili nieustającego ruchu. W ten sposób znamiona materyi, poczytywane dawniéj za stałe, okazały się przejściowemi, sama postać ciał, oraz ich stan uznano za czasową fazę w ciągłym rozwojowym ruchu.

Zauważmy nadto, że wrażenia, otrzymane od danego przedmiotu, jemu przypisywano, jako tych wrażeń przyczynie, a co więcéj, umiejscowiano treść wrażenia tego w przedmiocie, jako istotną, realną jego cechę. Tymczasem cecha ta jest fizyologiczno-psychicznym wyrazem stosunku postrzeganego przedmiotu do nas i po za tym stosunkiem istnieć nie może, jak nie istnieje barwa po za czuciowością naszą, jako realna własność przedmiotu, gdyż zależy od wrażliwości naszéj na różne drgania fal świetlnych. Dzisiaj nikomu nie przyjdzie do głowy uważać falę świetlną za podścielisko, substancyę, materyę barwy, nie ona bowiem tęż tworzy, lecz pewien sposób zachowania się siatkówki wobec podrażnień światła. Antropomorfizm jednak — starożytny czy współczesny — obdarza przedmioty realnemi własnościami, a materyę poczytuje za własności tych sprawczynię. Antropomorficzny więc sposób pojmowania materyi, wykazując błędne pochodzenie tego pojęcia, dostatecznym być może dowodem braku jakichkolwiek danych do tworzenia hipotez materyalistycznych. Możnaby zresztą wniosek ten potwierdzić, posługując się teoryą poznania, sądzimy jednak, że powyższe wystarcza, aby się przekonać, jak niestosownem jest zarzucanie materyalizmu spółczesnéj wiedzy przyrodniczéj.

Ścisły, przedmiotowy kierunek badania naukowego, którego przedmiotowość nie na poszukiwaniu i s t o t y rzeczy polega, lecz na liczeniu się z obiektém poznania, na starannéj obserwacyi rzeczywistych faktów, bywa najniesłuszniéj z materyalizmem mieszany. Taki sposób poznawania prawdy nie ma nic wspólnego z uwielbianiem materyi w życiu, téj materyi, co pod rozmaitemi postaciami na wszelkich

targowiskach daje się za pieniądze zdobyć. Jeżeli wiedza przyrodnicza odkryła cały skarbiec najróżnorodniejszych objawów energii, a stanom ciał oraz ich wewnętrznéj budowie, tak wielkie, jak nigdy, przypisuje znaczenie, to stąd bynajmniéj nie wynika, aby ciała przyrody stanowiły wszystko na świecie, aby „materya" miała wyrugować „ducha". Spółczesna też nauka kwestyi téj wcale nie stawia i zapewne nigdy się na to nie zdobędzie, chociaż są tacy, którzy tę prawdę opacznie usiłują nieświadomym wmówić.

Z narzekaniem na „materyalizm" nauk przyrodniczych szedł zwykle w parze drugi zarzut, którego pochodzenie ginie gdzieś w chaosie mistycznych poglądów i pojedyńczych wydarzeń, uogólnionych do powszechnéj zasady. Zarzucano mianowicie przyrodoznawstwu — i dziś jeszcze niektórzy to czynią, że jest ono jakoby wrogiem idealizmu, że, szerząc się po świecie, fakty jeno zbiéra, zieje chłodem „materyi", gasi płomienie zapału i idei. Że przyrodnik przedewszystkiém musi znać fakty, że nauka, któréj on jest przedstawicielem, najwcześniéj ze wszystkich umiejętności poznać usiłowała przedmiot swych badań takim, jakim jest (względnie), i dopiéro z poznanych przedmiotowo (obiektywnie) faktów wysnuwała wnioski, temu nikt nie zaprzeczy. Lecz tę samą metodę przyjęły stopniowo wszystkie inne nauki o zjawiskach, a wydajność pracy uczonego jest w prostym stosunku (przy jednakowych warunkach) do ilości i dokładności poznanych faktów. Na tém właśnie tryumf wiedzy polega, że, na faktach oparta, odsłania nam ona rzeczywistość przyrody i życia, wykazuje prawdziwy stosunek nasz do świata i tém samém daje nam możność regulowania stosunku tego nie podług fantazyi, lecz zgodnie z prawdziwemi potrzebami życia i rzeczywistemi warunkami otoczenia. Znajomość faktów, wiedza przedmiotowa, realna, nie może być polem, gdzie bujne wyrastają fantazye; wobec faktów, snujące się marzenia są zawsze pajęczyną, w któréj, niestety, sam jéj twórca oplątany zostaje. Marzenia, fantazyjnie wzniesione ideały były po wszystkie czasy jeno grą wyobraźni, dla życia jałowe, jak szept liści dla zakochanych. Ktoby jednak sądził, że w prozaiczném życiu, z nagą prawdą walczącém, nie rodzą się wcale idee, ten chyba nigdy nie myślał o losie dawnych swych przodków. Przecie wiedza ludzi mało rozwiniętych, barbarzyńców, dzikich, pierwotnych, nie czém inném była, tylko znajomością faktów z najbliższego otoczenia, z realnego stosunku życia do przyrodzonych warunków. Przypomnijmy sobie okres narzędzi kamiennych i jaskiniowców. Wiedza owych prototypów dzisiejszych idealistów ograniczała się jedynie na znajomości nielicznych przedmiotów przyrody i zaledwie kilku grubych narzędzi i sposobów radze-

nia sobie w najgwałtowniejszych potrzebach. A jednak, jakże daleko odbiegliśmy w nauce i kulturze od pierwotnych swych przodków! Cóż więc było tą siłą, która popychała ludzkość wciąż naprzód, pomimo to, że przez całe tysiącolecia pogrążona była w najgrubszéj prozie życia, z najskromniejszemi potrzebami odżywiania i schronienia, wobec surowéj, niczém nieokiełznanéj i żadną poezyą nieotulonéj przyrody? Potęgą tą była większa wrażliwość zmysłów człowieka, która go stopniowo do coraz obszerniejszéj usposabiała postrzegawczości, co już znaną nam drogą psychicznych skojarzeń prowadziło do wniosków, oraz ich zastosowań. Skoro tylko w odbiéranych z zewnątrz wrażeniach pojawiła się rozmaitość, nastąpił natychmiast proces różnicowania i kojarzenia, których skutkiem był wniosek, a więc w pewném znaczeniu—twórczość umysłowa.

Pierwszy wniosek, t. j. pierwsza świadomość odczuwanéj różnicy dwu wrażeń stanowiła już zaczątek idei (że pominiemy tu stopnie przejściowe). Wmiarę wzbogacania wiadomości poznaniem otaczających zjawisk, mnożyła się ilość i jakość wniosków, z których znowuż tą samą drogą asocyacyi, rozwijały się coraz ogólniejsze, treściwsze i w coraz dalszą przyszłość sięgające idee.

Jakkolwiek tedy idealizm czasów zamierzchłych na bardzo nieodległą przyszłość stawiać mógł horoskopy, chociaż idea dzikich nie wybiegała po za zwierzęce potrzeby dnia, lub godziny, jednak ona była tą siłą, co ludzkość ku bezustannéj pracy nad polepszeniem bytu porwała. Idea nietylko zrodziła się na czysto przyrodniczym, lubo nieumiejętnie uprawianym gruncie, nietylko wyrosła ze znajomości najpospolitszych ciał i zjawisk natury, lecz nadto rozwijała się, ogarniała tém dalsze widnokręgi teraźniejszości i w tém odleglejszą zaglądała przyszłość, im więcéj przybywało znajomości faktów, im one dokładniéj poznane zostały. Koniecznym wszakże warunkiem powstawania i życia idei w jéj rozwoju dziejowym była działalność człowieka, usiłowanie zastosowania nabywanych wiadomości, wprowadzania w czyn idei.

Tak było zawsze i być nie mogło inaczéj. A dziś, czyż co innego widzimy? W gnuśnéj kontemplacyi lęgną się tylko marzenia, senne widma na jawie; idealizm spekulacyjny czyli marzycielstwo jest jakby fosforescencyą gnijącego z braku pożywienia mózgu. Idea zaś żywa, tętniąca prawdą, jaśniejąca blaskiem istotnego dobra, wówczas tylko na świat przychodzi, kiedy się tu na ziemi, wśród realnych warunków przyrody i życia poczyna. I tylko taka idea, chociażby w najdalszą zmierzała przyszłość i najrozleglejsze obejmowała dziedziny, zdolna jest podnieść ducha i pobudzić do czynu dla wzniosłych celów ludzko-

ści. Ktoby na to pragnął dowodów, niech się rozejrzy w historyi ideałów XIX-go wieku, a przekona się łatwo, że najobfitsze plony wydają idee na obserwacyi faktów i przedmiotowém badaniu osnute.

Jeżeli nie jeden owadziarz, zbiéracz skał lub roślin, zasklepia swoją ideę w szkatułce z żukami, czy w zielniku, za to już chyba nie wiedzę przyrodniczą, lecz jednostronność i ciasnotę pojęć robotników nauki obwiniać należy. Na bezideowość cierpią, niestety, wszyscy odgrodzeni fachem, lub myślą od świata i życia, bezpośrednią zaś choroby téj przyczyną jest właśnie zbyt szczupła znajomość faktów, która u próżniaków to samo wywołuje cierpienie pod postacią marzycielstwa.

Jakkolwiek więc zarzuty demoralizującego wpływu wiedzy przyrodniczéj pozbawione były podstaw i jasnego rozumienia rzeczy, powtarzały się one coraz częściéj, bo od tego są drukarnie i cierpliwy papiér. W szaréj, niekrytycznéj warstwie publiczności powstała niechęć do nauk przyrodniczych; dawniejszy zapał coraz bardziéj wygasał, a tlejący gdzieniegdzie wśród samouków ogiéń do badań natury ukrywał się w najcichsze zakątki, jaknajdaléj od pogardliwych wejrzeń i szyderczych uśmiéchów.

Jak gruby materyalizm w życiu dzisiejszém i pogoń za uciechami zmysłowemi nie wyłoniły się z umiejętności przyrodniczych, lecz powstały skutkiem warunków ekonomiczno-społecznych [1]), tak samo zarzuty, wymierzone przeciwko prądowi kształcenia przyrodniczego, nie mogły prądu tego powstrzymać, chociaż bieg jego cokolwiek zatamowały. Były jednak inne, daleko ważniejsze przyczyny, które osłabiły wziętość i popularność tego kierunku naukowego. Najważniejsza z nich zaczęła działać jeszcze przed dwudziestu pięciu laty, przyniosła ją pierwsza fala wielkiego przypływu wiedzy przyrodniczéj. Krzewiciele jéj w danym wypadku, jak i zwykle, popadli w przesadę, wynosząc umiejętności przyrodnicze po nad wszystko, co ducha żywi. Słusznie wychwalając ich ścisłość i metodę, niesłusznie lekceważyli niewyrobione jeszcze nauki społeczne, podnosząc wielkie znaczenie obserwacyi i doświadczenia, skalpela i retorty, zapominali

---

[1]) Coraz bardziéj zaostrzające się stosunki klasowe i konkurencyjne zrobiły z bogactwa dla wielu jedyną potęgę; zarówno w przemyśle, jak i na rynku handlowym zwyciężają ostatecznie potentaci finansowi, brak środków materyalnych nie wytrzymuje walki konkurencyjnéj. Dlatego téż w zdobywaniu przewagi materyalnéj w ciężkich obecnych warunkach nie brzydzą się żadnemi środkami. Gdzie bogactwo jest życia celem, oszustwo i poniewiéranie bliźnich środkiem do niego wiodącym, tam nie ma miejsca dla ideałów szlachetnych i wzniosłych, tylko grunt dla występku i demoralizacyi.

o wielkiéj cywilizacyjnéj roli wyobraźni, uczucia, idei, które to potęgi nie poddawały się jeszcze analizie przyrodnika, jakkolwiek próby w tym względzie już poczyniono. W ogólności zamało zwracano uwagi na moralną stronę człowieka w porównaniu z troskliwością o jego rozwój umysłowy. Nie wyrugowały wprawdzie nauki przyrodnicze idei humanitarnych, jakkolwiek znacznie mniéj miejsca zostawiły sprawom życia, piękna i dobra. Odbiło się to do pewnego stopnia w szkolnictwie całéj niemal Europy, a głównie Francyi. Słuszność jednak wymaga, abyśmy tu zaznaczyli, że nie tyle przewaga nauk przyrodniczych w szkołach (rozumié się realnych) hamowała rozwój humanitarny, ile brak szerszéj idei, suchość i encyklopedyczność wszystkich wogólności wykładów. Z drugiéj zaś strony, przed wyrzeczeniem stanowczego sądu, nie można przeoczyć faktu, że liczna część dzisiejszéj inteligencyi w Europie zachodniéj, mniéj trochę i u nas, kształciła się w nowożytnym kierunku przyrodniczym, a posiada wszechstronne wiadomości teoretyczne, najszlachetniejsze uczucia i dowiodła wielkiéj sprawności obywatelskiéj. Wreszcie możnaby wskazać spory zastęp ludzi uczonych, którzy przyrodoznawstwo za punkt wyjścia obrali i doszli do idealnych, najżywszą miłością przejętych systemów myśli i działalności.

Drugą i równie ważną przyczyną, która w ostatnich latach odwróciła uwagę szerszego ogółu od świata przyrody, jest budząca się świadomość życia i jego zadań. Ekonomiczny i społeczny rozwój narodów tak szybkim krokiem doszedł w drugiéj połowie bieżącego stulecia do wyraźnego ukształtowania stosunków, tyle nowych zagadnień nie tylko postawił, lecz i rozwiązał w zasadzie, tyle energii i pracy zużywa na tworzenie instytucyi, łagodzących nędze spółczesne, na przeprowadzenie dróg, do lepszego bytu wiodących, że istotnie, trzeba być głuchym i ślepym, żeby tak wielkiego nie odczuwać ruchu. To téż kto tylko zdrowe posiadał zmysły, jął się przyglądać nowym życia objawom, przysłuchiwać się bólom i szukać środków zaradczych. Rzecz prosta, iż taki zwrot myśli i uczuć musiał oddalić przyrodoznawstwo na plan drugi, lub je całkiem usunąć z repertuaru zdobyczy umysłowych zwykłego śmiertelnika. Rzucono się do literatury treści społecznéj, szukając w ekonomii politycznéj, socyologii, historyi, psychologii odpowiedzi na palące kwestye doby bieżącéj. Dobrze, jeżeli do téj roboty zabiérano się z pewnym zasobem wiedzy przygotowawczéj, zasadniczéj, w przeciwnym razie obfitość materyału socyologicznego i zawiłość zjawisk życia wprowadzały do labiryntu bez wyjścia. Wszyscy wiedzą, że chwytana i po łebkach traktowana nauka albo zniechęcała do powa-

żnéj i skutecznéj pracy, albo przedwcześnie łamała skrzydła tych orłów i orzełków, co się poprzednio oryentować nie nauczyli.

Ponieważ tak zwana [1]) wiedza przyrodnicza w ścisłym jest związku z innemi umiejętnościami i stanowi podstawę do badań życia bądź osobniczego, bądź zbiorowego, to żadne usiłowania ku wyjaśnieniu sprzeczności i zatargów życia przy pomocy jedynie socyologii czy psychologii do żądanych rezultatów doprowadzić nie mogą. Owoc poznania nie daje się zerwać tak łatwo, jak rajskie jabłuszko z drzewa adamowego, i ktokolwiek próbował pochwycić jaką wielką prawdę, nie dobijając się o nią od jéj kolébki, tego prawda kokietować mogła, lecz nigdy mu się nie oddała. O tém właśnie zapomnieli, czy nie wiedzieli ci wszyscy, którzy, omijając nauki przyrodnicze, chcieli odrazu posiąść owoc poznania, zagłębiając się w socyologii i filozofii życia, t. j. w koronie kwiatu wszystkich umiejętności. Stosuje się to nietylko do motyli, fruwających po naukowéj niwie, lecz i do poważnych, erudycyą obładowanych pisarzy i uczonych, którzy próbowali rozstrzygać zawiłe zagadnienia społecznego życia, niezależnie od warunków pozaspołecznych i pozażyciowych. Jak pierwsi upajali się wonią kwiatu i w odurzeniu nie zdolni byli do skutecznego, lub nawet jakiegokolwiek bądź czynu, tak ostatni z błędnego koła sofizmatów i wciąż wzrastających zagadek wybrnąć nie zdołali. Odwrotnie zaś, wszyscy wielcy myśliciele, którzy umiejętności społeczne z większém uprawiali powodzeniem, odznaczali się mniéj lub więcéj rozległą wiedzą z zakresu przyrodniczego. A co jest jeszcze bardziéj charakterystyczném, że najwznioślejsze poglądy moralne oraz idealne cele ludzkości najlepiéj wyjaśniły umysły na naukach przyrodniczych wyćwiczone, tudzież posiłkujące się ich zdobyczami.

Tak więc potężny przypływ wiedzy przyrodniczéj przed dwudziestu pięciu laty wywołał reakcyę w dwu przeważnie kierunkach: w jednym z nich roztaczał swe fale zdobyczy prąd naukowy, płynął z początku szerokim korytem, rozléwając i na niższe warstwy umysłów swe wpływy; w drugim zaś kierunku podążał prąd wiedzy stosowanéj, utylitarnéj, zaléwał on naprzód świat przemysłowy, przedostał się następnie do młodego pokolenia, zasnuł mu widnokrąg perspektywą złotéj karyery, wyjałowił uczucia i rozwiał wiarę

---

[1]) Mówimy — tak zwana, bo wszelka inna (teoretyczna) z wyjątkiem matematyki, bada również zjawiska, zachodzące w przyrodzie i również prawom natury podległe. Podział nauk na przyrodnicze i nieprzyrodnicze jest sztuczny, o czém niżéj jeszcze powiemy.

w jakiekolwiek bądź ideały. Pierwszy płynął górą, drugi dołem, a między niemi cała sieć strumieni w rozmaitych kierunkach, to ku wyżynom, to ku nizinom zmierzających. Ale ponieważ niejedna wiedza przyrodnicza zajmowała ludzi w epoce, o któréj mowa, lecz mnóstwo zagadnień, a nadewszystko kwestye społeczne i moralne domagały się rozwiązania i zastosowania, więc, nieprzygotowani do takiéj powodzi pokarmu duchowego, gubili się w niéj, jak rozbitki na morzu. Tonący brzytwy się chwyta, to też komu zagrażał zaléw zwątpień, krytyki, nowych faktów, poglądów i wierzeń, ten albo się rzucał w wir uciech zmysłowych, gonił za zbytkiem i komfortem, lub bezowocnie na wszystkie strony się miotał, nie znajdując nigdzie pociechy i celu życia, albo też skracał sobie trudne drogi żywota, wpadając na dawne, zapomniane już ścieżki spirytyzmu, herezyi religijnéj, lub się oddawał jakiéj nowożytnéj manii.

Nie wszystkich, naturalnie, zaraziła choroba niemocy umysłowéj i moralnéj; szerzyła się ona przeważnie na gruncie bezcelowego życia i apatyi. Stan to wszakże tak groźny i w następstwach smutny, że uderzono we wszystkie dzwony, na jakie tylko pomysłowość zdobyć się mogła, aby wskrzesić ducha i obudzić zamarłe uczucia. I poruszyły się zziębione a nie wygasłe serca, od mętów powszechnego życia zwrócono oczy ku górze, zaczęto szukać czegoś takiego, co nadaje treść i powab życiu.

Tak popłynęły z jednego źródła dwa prądy myśli: teoretyczno-naukowy oraz praktyczny, korzyści materyalne mający na widoku. Zaprzężenie nauki do celów użytku praktycznego i skoślawieniu jéj teoryi dla zamaskowania bezmyślności i ohydy używania, wywołały w niektórych kołach społeczeństwa niesłuszną niechęć do wiedzy przyrodniczéj. Czy pozostanie ona i nadal w niełasce ogółu? Czy to światło nauki z takim mozołem z po za mroków wydarte ma opromieniać głowy uczonych tylko?

Na te pytania nie sama przyszłość odpowie, już dzisiaj mamy wystarczające dowody, że popularność nauk przyrodniczych w najszerszych warstwach znajdzie oddźwięk, że znajomość ważniejszych zjawisk i praw natury będzie każdego wykształcenia podstawą. Do tak stanowczego przekonania upoważnia nas przedewszystkiém stosunek nauk przyrodniczych do ogółu wiedzy. Jakim jest ten stosunek, postaramy się w ważniejszych uwydatnić rysach.

Rozpierzchłość mniéj lub więcéj odosobnionych nauk jeszcze w połowie bieżącego stulecia, należy już do przeszłości i tylko praktyczne wymagania podziału pracy oraz klasyfikacyi pozwalają na rozbi-

cie wiedzy na części. Pomijając dział umiejętności technicznych, jak budownictwo, medycyna, pedagogika, które stanowią sztukę praktycznego zastosowania teoryi, wyłączywszy następnie matematykę, która jest tylko jednym ze środków poznania zjawisk i przedmiotów, cała wiedza teoretyczna bada wzajemny stosunek zjawisk w czasie i przestrzeni. Wszelkie zmiany, dostępne postrzeżeniu, odbywają się po za nami, t. j. we wszechświecie, w przyrodzie, lub też w nas samych, w organizmie i umysłowości naszéj. Przez ciąg wielu wieków odgraniczano nieprzebytym murem niewiedzy te dwie dziedziny, uważając człowieka i przyrodę za przedmioty całkiem odrębne, a tyle tylko mające ze sobą wspólnego, że człowiek ma być przyrody panem. Pogląd ten jednak już od czasu Kopernika mocno zachwianym został, domniemana przepaść między światem a życiem zaczęła coraz bardziéj się zmniejszać, aż wreszcie nowoczesna biologia z psychologią zatarła wszelkie granice, wyodrębniające człowieka od jego otoczenia, jako istotę z pochodzenia i własności odmienną.

Na tém zbliżeniu i spokrewnieniu dwu światów człowiek nietylko nic na godności nie stracił, lecz przeciwnie, zyskał wiele na poznaniu stanowiska, jakie w przyrodzie zajmuje; zrozumiał, że jedynie rozwojem swéj inteligencyi i uczuć, oraz solidarném zespoleniem się w życiu społecznem wznieść się może po nad dziedzinę narzucającéj się konieczności zjawisk natury.

Biologia, badając procesy życia, wykryła, że istoty uorganizowane, nie wyłączając człowieka, podlegają bezustannym wpływom świata zewnętrznego, że organizm czerpie zeń zarówno materyał do budowy swego ustroju, jak i siłę do wprawiania w ruch swych narządów. Materyał ten i siła są w bezustannéj przyczynowéj zależności od otoczenia i podlegają tym samym prawom równowagi i ruchu, co i przyroda cała. Najdłużéj i najuporczywiéj wyodrębniano ze świata natury zjawiska duchowe, jako najbardziéj zawiłe i nie poddające się badaniu bez znajomości biologii ogólnéj. Skoro jednak ta nauka dojrzała o tyle, że procesy życia bez pomocy szczególnéj jakiéjś „siły życiowéj” tłómaczyć mogła, kiedy wykryła, że czynności organów nie są ich specyficzną własnością, lecz przystosowaniem do bodźców zewnętrznych, że organizacya wszelkiego ustroju jest skutkiem zróżnicowanych przystosowań, że w ogólności życie jest uorganizowaną i zsolidaryzowaną reakcyą wobec czynników zewnętrznych, wówczas już można było z powodzeniem badać zjawiska czucia i myśli. Studya nad rozwojem umysłowości w osobniku i w szeregu zwierząt podług wzrastającéj ich organizacyi wykazały, że nie ma granicy pomiędzy myślą bezwiedną a świadomą, że ostatnia jest tylko dalszym ciągiem i udo-

skonaleniem pierwszéj; przekonały następnie, że między czuciem a myśleniem tyle jest stopni przejściowych i tyle wspólności, iż zjawiska myśli można uważać za wyższy rozwój, za bardziéj rozczłonkowaną i wyspecyalizowaną organizacyę czucia.

Jak niegdyś, w okresie dziecięctwa ludzkości zaludniano całą przyrodę bóstwami (fetyszyzm), jak każdy przedmiot czynny, ruchliwy poczytywano za siedlisko żywych istot, które, na podobieństwo ludzkie, przedmioty te w ruch wprawiały, tak też czynności organizmu przypisywano dawniéj szczególnym „władzom", zamieszkującym w istotach żywych. Rozum, wola, czucie były właśnie takiemi „władzami", które, jako samodzielne istnienia przebywać miały w człowieku. Porównawcze jednak badania nad czuciowością organizmów zwierzęcych i roślinnych dowiodły, że czucie nie wymaga obecności żadnych szczególnych „władz" czy „potęg", lecz jest mniéj lub więcéj wszechstronném, mniéj lub więcéj subtelném przystosowaniem wrażliwości organizmu na czynniki zewnętrzne. Wrażliwość zaś nie stanowi bynajmniéj przywileju ani zwierząt, ani roślin, znaną bowiem jest w mniéj złożonéj postaci w całym świecie nieorganicznym, gdzie każda cząsteczka ciała przy odpowiednich warunkach ulega wpływowi (staje się wrażliwą) innych ciał lub działań. Za ilustracyę mechanicznego pochodzenia czucia może posłużyć wrażliwość liści na promienie słoneczne; wykazano mianowicie, że ta wrażliwość polega na zmianie równowagi tkanek liścia z powodu nierównomiernego parowania w nim wody.

Oto w taki mniéj więcéj sposób zniosła biologia granice między istotą poznającą a niepoznającą, między wrażliwością nieorganiczną a uorganizowaną. Człowiek stał się dzieckiem przyrody, w organizacyi swéj i czynnościach jéj prawom podległy, ale, dzięki swéj większéj a usystematyzowanéj wrażliwości, zdolny do jaknajszerszych przystosowań otaczających go warunków do potrzeb życia. Przystosowanie to jest dwojakie: zewnętrzne i wewnętrzne. Pierwsze polega na opanowaniu przyrody, drugie na organizacyi współdziałania, żeby wspólnemi siłami przy najdoskonalszym podziale pracy osiągnąć najwięcéj dobra dla wszystkich. O ile życie osobnicze, dzięki swéj ruchliwości, jest ciągłém dążeniem do równowagi między organizmem a otoczeniem, o tyle życie zbiorowe jest dążnością do równowagi między społeczeństwem a jednostką, oraz warunkami jéj bytu. Ponieważ zbliżanie się do téj równowagi możebném jest tylko przy jaknajszerszéj solidarności i współdziałaniu; zatém dzieje kultury i cywilizacyi stanowią właśnie historyę owéj dążności, historyę walk ludzkich o zewnętrzne i wewnętrzne przystosowanie się społeczeństwa do przyrody.

Widocznėm więc jest, że wiedza przyrodnicza nie ma granic, ża obejmuje wszystkie dziedziny bytu, że zatém każda nauka badająca zjawiska jest w gruncie rzeczy przyrodniczą. Wobec spółczesnego stanu nauk psychologicznych i społecznych zakończenie szeregu umiejętności przyrodniczych biologią jest już anachronizmem; jeżeli ze względów praktycznych mamy jedne gałęzi wiedzy oddzielać od drugich, to winniśmy w każdym razie tak postępować, aby wspólnego pnia, z którego się one rozchodzą, nie niszczyć.

Wszystkie zjawiska, tak fizyczne jak i duchowe, splatają się w nieprzerwaną sieć rozwoju, gdzie każda cząsteczka ciała, każdy moment ruchu od szeregu naturalnych przyczyn zawisły i naturalne wywołują następstwa. Jednolitość i współzależność rozwoju bada i wyjaśnia przyrodoznawstwo, a każda inna umiejętność, aby nie pozostać płytką i jałową, zestawia i jednoczy swoje odkrycia i tłómaczenia z wynikami wiedzy przyrodniczéj. Tak wkroczyła ona obecnie z bogatym swym materyałem i świetną metodą do wszystkich nauk i żaden wykształcony historyk, socyolog, psycholog, lub wychowawca, prawnik, polityk, teoryi przyrodniczych ominąć bez szkody nie może. Rozwój cielesny i duchowy pojedyńczego człowieka, jak i rozwój całych narodów, nawet w najbardziéj subtelnych i idealnych objawach, sprowadza się ostatecznie do wzajemnego oddziaływania zewnętrznego świata i ustroju organicznego. Wszechświat zaś i ustrój organiczny są to przedmioty badania przyrodniczego. I jeżeli organizm pomnaża swoje czynności, rozszerza pole swych przystosowań, różniczkując oraz potęgując narządy przez naturalny lub sztuczny rozwój, jeżeli słowem doskonali swoją organizacyę nietylko drogą fizyologiczną, lecz i za pośrednictwem przemysłu, w zbiorowém współdziałaniu, za pomocą instytucyi i urządzeń społecznych, to skutkiem tego nie przestaje on być wytworem przyrody.

Współzależność więc zjawisk oraz jedność wszechświata, wykryte przez nauki przyrodnicze, wskazują ich stosunek do ogółu wiedzy i dowodzą zarazem, że przyrodoznawstwo stanowi główny pień poznania, z którego wszystkie umiejętności, jak konary w różne rozchodzą się strony. I to jest najwymowniejszym dowodem, że przyszłe wykształcenie na téj nauce się oprze.

Oprócz stanowiska, jakie przyrodoznawstwo wśród ogółu wiedzy zajmuje, świadczą o przyszłym jego wzroście i upowszechnieniu rozpoczęte w całéj Europie reformy szkolne. Nowa forma rozwoju społecznego wymaga nowego systemu wykształcenia, odpowiadającego zmienionym wymaganiom zarówno działalności wytwórczéj, jak politycznéj i obywatelskiéj. Rozpowszechniające się szkoły realne z prze-

wagą nauk przyrodniczych przygotowują nietylko przemysłowców, kupców, inżynierów, uczonych, lecz i wyborców do instytucyi społecznych i politycznych ze wszystkich klas narodu, obrońców prawa i kierowników instytucyi robotniczych. Wszystkie kraje Europy uznały za konieczne, jeżeli nie całkowite zniesienie, to przynajmniéj znaczne zmniejszenie studyów klasycznych na korzyść przyrodniczych i języków nowożytnych. Francya, Belgia, Szwecya, Włochy, Hiszpania, Portugalia zaprowadziły już poważne w tym kierunku zmiany, oporna zaś Anglia i Niemcy teoretycznie się przygotowały do wielkiéj reformy, która jest tam jedynie kwestyą czasu. Jak wielkich rozmiarów dosięgły w Niemczech żądania zmian w szkolnictwie, dowodzi poniekąd petycya „Towarzystwa dla przeprowadzenia reform szkolnych", którą zaopatrzono nie mniéj, jak 22 tysiącami podpisów. Ilość zaś ulepszonych planów szkolnych, które podano do r. 1888-go, wynosiła 344.

Nigdzie może wiedza przyrodnicza nie ma takiego uznania i nie jest tak spopularyzowana, jak w Anglii i Niemczech. Angielskie uniwersytety ludowe szerzą obok innych nauk przyrodoznawstwo i to w bardzo poważnym tonie i zakresie. W „Akademii imienia Humboldta" w Berlinie wygłaszają między innemi odczyty z chemii i mineralogii, fizyologii i t. p. dla tysięcy słuchaczów różnego wieku, płci i zajęcia. Biblioteki zaś ludowe obu tych krajów posiadają chyba najbogatszą literaturę przyrodniczą. Anglia znana jest ze ślicznych odczytów z dziedziny natury, wygłaszanych nawet dla dzieci przez takich uczonych, jak Tyndall i Faraday. Na Zachodzie dorosły i dziecko, działacz społeczny i robotnik, — wszyscy mają dostęp do wielkiéj księgi przyrody, któréj treść tłómaczą popularnie najznakomitsze siły naukowe i literackie. Dodajmy do tego bardzo liczne dzieła przeważnie pióra niemieckich i angielskich pedagogów i filozofów, krytykujące dotychczasowy system wychowania, oraz nawołujące do wprowadzenia przyrodoznawstwa w szkole ogólnie kształcącéj, a będziemy mieli obraz bardzo wyraźnéj i stanowczéj zapowiedzi, że przyszłe wykształcenie ucywilizowanych narodów na wiedzy przyrodniczéj się oprze.

Dążność ta do upowszechnienia wiadomości o przyrodzie nie przeszkadza bynajmniéj widziéć braków w dzisiejszém wychowaniu realném (t. j. w szkołach średnich i specyalnych technicznych), potępiać jego zbytnią jednostronność, jego charakter, że tak powiemy, kupiecko-rzemieślniczy. Dlatego téż ludzie dbający o szerszy polot myśli i czystość uczuć młodego pokolenia, domagają się ulepszenia metody wykładów, sprowadzenia szczegółów do koniecznego *minimum*, ujęcia

rozproszonych faktów w teorye ogólne, oraz wyjaśnienia znaczenia społecznego, moralnego i estetycznego nauk przyrodniczych. Nadewszystko zaś żądają, aby szkoła wprowadziła więcéj nauk społecznych i moralnych, aby w swych wychowańcach zaszczepiła uczucia obywatelskie i dzielność. Wiedza bowiem to potęga, ale nie jedyna.

Postęp umysłowy społeczeństwa podobny jest do ruchu falistego; każda fala przypływu wiedzy wznosi się stopniowo, potém opada, żeby się znów podnieść, ale już wyżéj, zniża się jednak po pewnym czasie, jeszcze raz się wznosi i tak bezustannie się waha, żłobiąc coraz głębiéj świadomość ludzką i rozléwając się na coraz szersze warstwy narodu. To samo dzieje się z prądem wiedzy przyrodniczéj; wielki jéj przypływ w ostatniéj ćwierci wieku wysokich dosięgnął szczytów, obecny odpływ jakby zmył dla niektórych szlaki poznania i odrętwieniem słabsze napełnił umysły; lecz fala powróci prędzéj czy późniéj i użyzni grunt świadomości, spalony zbyt jaskrawym żarem wielkich idei, lub wyjałowiony umysłową i moralną posuchą.

Zanim to jednak nastąpi, zanim słońce wiedzy dla większych mas zabłyśnie, może nie jednemu „rosa oczy wyjeść". Czy nie byłoby więc pożyteczném, aby ci wszyscy, którzy na umiejętności przyrodnicze z uprzedzeniem patrzą, lub całkiem je lekceważą, zwrócili się do pięknych, choć nie specyalnych dzieł przyrodniczych. Uboga nasza literatura naukowa zdobyła się w ostatniém dziesięcioleciu na szereg bardzo interesujących prac w tym kierunku. Czytanie książek i pism zapewne nie dorówna w korzyściach systematycznym studyom przy specyalnych pracowniach, wniesie wszakże do umysłu wiele wiadomości pożytecznych, wyjaśni nie jedną tajemnicę natury, powiąże w całość mnóstwo rozstrzelonych poglądów, wykaże na przykładach współzależność zjawisk wszechświata i życia, pozwoli z większą korzyścią zagłębiać się w zagadnienia socyologii i historyi. Co zaś najważniejsza, że zajęcie się — tylko nie wyłączne — wiedzą przyrodniczą zaostrzy zmysł postrzegania i tworzenia sądów, przyzwyczai do ścisłego, prawidłowego myślenia, oraz skłoni do uznania wielkiéj prawdy, że istnienie człowieka na ziemi tyle tylko ma racyi i powabu, ile on przyczynić się może do pokonania ślepych sił przyrody dla uwolnienia współbraci od nędz i cierpień życia.

Niech więc nauka ta nie będzie alfą i omegą wiedzy, lecz raczéj jéj abecadłem, takiém jednak, z którém się późniéj rozstawać nie trzeba. Zaznajamianie się z przyrodą nie powinno się ograniczać ramkami „królestwa" minerałów i zwierząt, lecz musi posuwać się co-

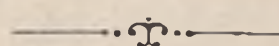
raz dalej, w krainę życia ludzkiego aż do bohatérskich walk ducha. Ktokolwiek istotnéj wiedzy pragnie dla rozjaśnienia swych widnokręgów, oraz dla pogłębienia i rozszerzenia uczuć, nie powinien nigdy zapominać, że trojakiém jest zadanie nauki: poznać to, co jest i było, wywnioskować stąd, co być powinno, i wynaléść środki dla sprowadzenia tego, co będzie od istniejącego lepszém. Harmonijne połączenie tych zadań jedynie prowadzi do całkowitéj świadomości. Żeby zaś myśl nie zakrzepła w mózgu, ożywiajmy ją uczuciem prawdziwego piękna i dobra, oraz miłością ludzką! Wiedza z dziedziny „przyrody i życia" niech nam myśl rozjaśnia, a współdziałanie w szlachetnych przedsięwzięciach niech nam uczucia rozgrzéwa!

S. Karpowicz.



HANDEL UKRAINY

w XVI wieku.



Jak wiele innych gałęzi życia ekonomicznego Ukrainy w epoce zjednoczenia jéj z Koroną, tak i handel podlegał tu warunkom szczególnym, podtrzymywanym stale przez samo wyjątkowe położenie tego kraju. Cechowała go téż jakaś doraźność wogóle, oraz stanowcza niemal przewaga iście azyatyckiego trybu karawanowego nad bardziéj ożywionym ruchem miejscowym, wewnętrznym. Mimo wszystko przecie rozwijał on się powoli, osobliwie handel zagraniczny, z postępem zaś zaludnienia—i wewnętrzny zarazem.

Głównem ogniskiem handlu w ogóle, tak zagranicznego jak i wewnętrznego na całą Ukrainę był, z natury rzeczy, odradzający się, po tylu przebytych zniszczeniach, Kijów stołeczny. Mocą przywileju, jakim mieszczan jego obdarował w r. 1499 jeszcze w. ks. Aleksander, razem z prawem magdeburskiém, otrzymał on wolność handlu, bez opłat żadnych, na całym obszarze ówczesnego w. księstwa Litwy. Przywiléj zaś ten potwierdzonym został następnie w latach 1506 i 1545, a potém, już po dokonanéj unii, r. 1606 jeszcze. Z drugiéj strony nadto, skutkiem pomyślnych warunków swego położenia, przy ponownem, od początku XVI-go w. prawie, ożywieniu się ruchu komercyjnego, stał się Kijów po dawnemu miejscem składu towarów, idących z Carogrodu, jak i dalszych krain wschodnich, których pośrednikiem głównym został teraz Krym.

Świadczy o tém dostatecznie już Michalon, Litwin (k. 1540). „Kijów, powiada on (ust. 9), obfituje w cudzoziemskie towary, nie ma bowiem drogi bardziéj uczęszczanéj, jak starożytna, dawno utorowana i znana dobrze droga, prowadząca z portu miasta czarnomorskiego Kafy (Teodozyi) przez wrota Tauryki (Perekop) na przewóz Tawański na Dnieprze, a ztamtąd potem do Kijowa. Drogą tą idą z Azyi (Anatolii), Persyi, Indyi, Otomanii, Arabii i Syryi, na północ—do Moskwy, Pskowa, Nowogrodu, Szwecyi i Danii, wszystkie towary wschodnie, jako to: drogie kamienie, jedwab' i tkaniny jedwabne, kadzidło, pachnidła, szafran, pieprz i inne korzenie. Drogą téż tą często chodzą kupcy cudzoziemscy; gromadzą oni zastępy, czasem tysiąc ludzi wynoszące, karawanami zwane, i sami towarzyszą taborom, składającym się z mnóstwa wozów naładowanych i objuczonych wielbłądów. Dawniéj karawany owe, dodaje Michalon, płaciły znaczne cła... przy przeprawie przez Dniepr u Tawani; tam i dotąd dochowała się budowa kamienna ze sklepieniami, którą i nasi i Tatarzy i Grecy zwą Witoldową łaźnią i opowiadają, iż w niéj mieszkał niegdyś mytnik w. księstwa litewskiego, pobierający cło. Kto zaś nie płacił cła..., karano go w Kijowie konfiskatą całego mienia... Unikając dwóch przepraw przez Dniepr i nie chcąc płacić cła, wymijają czasem kupcy starą drogę, idącą przez państwa j. kr. m-ci i od wrót taurychich zwracają wprost, a następnie po nieprzejrzanych stepach — do Moskwy przez Putywl, albo téż wracają tą drogą; lecz często się zdarza, że ich rabują łupiezcy, wałęsający się w tych miejscach..."

Wypada nam przytém dodać, że karawany, idące z Krymu przez Tawań i daléj w górę prawym brzegiem Dniepru, dochodziły zwykle tylko do Czerkas, czasem do Kaniowa, gdzie towary przeładowywano na komięgi, płynące już do Kijowa i daléj. Carogrodzkie zaś towary szły z wołoskiego Białogrodu (Ak-kermanu), znanego niegdyś Genueńczykom Monkastro, wprost przez dzikie pola, przebywając Boh i inne rzeki przez brody i mosty, przez Witolda tam jeszcze jakoby rzucone. Temiż drogami odwrotnie szły karawany z Kijowa na południe do Krymu i Turecczyzny, tak własne jak i obce, z towarami „kosztownemi"—z Moskwy szczególnie, przez Kijów tranzytem przechodzące.

Na ile handel ów karawanowy, taurycki osobliwie, był ożywiony i zyskowny, można sądzić już z samych „darów," jakie otrzymywali, pobierali raczéj, wedle zwyczaju, od kupców starostowie zamków królewskich na Ukrainie w połowie XVI-go w. Oto naprz. r. 1552 (Arch. kij. cz. VII, t. I) w Czerkasach od karawany, gdy z Or-

dy idzie (należy) staroście: kamka aleksandryjska na złocie, litra jedwabiu, kobierzec, ciżmy, tebinki, safian. Podstarościemu od karawany: czamlat, safian, pół litry jedwabiu, grzywienka pieprzu. A gdy do Ordy karawana idzie, tedy staroście od karawany: szuba lisia zajwyskowa (?), sahajdak, siodło, szłyk lisi. A gdy wodą karawana idzie, nikogo innego najmować im z czółny nie wolno, jedno Czerkaszan i dają z tego Czerkascy staroście od każdego czółna po złotemu." Od soli zaś „z nizu" brał starosta czerkaski myto i „obwiestkę" w naturze—na „kowrze," każdy ważący „bezmian." W Kaniowie—„staroście od karawany, gdy z Ordy idzie (dawano) kobierzec, tebinki; gdy zaś do Ordy, tedy szubę sybirkową bez kołnierza, kołpak, szłyk lisi, siodło, a nadto „pokłony i podarki z dobréj woli;" a gdy wodą idzie karawana — podobnie jak w Czerkasach. W Kijowie—„gdy kupcy cudzoziemcy idą w karawaniech z Turek, z Ordy, abo z Moskwy, dają wojewodzie (staroście) myto główne od kopy po 2 gr., a k temu pokłon po dobréj woli dają; z Turek idąc—rzeczami jedwabnemi, a z Moskwy—sobolami i inszemi towary tamecznemi." Można przytém wskazać, że znaczne dochody z karawan wywoływały widocznie, podstępne nawet, współzawodnictwo ze strony wojewody względem starostów kaniowsko-czerkaskich. Tak oto „w listopadzie 1552 r. szła z Moskwy na Kijów karawana nie mała, blizko sta wozów, z towary kosztownemi, pan wojewoda kijowski tedy (kniaź Fryderyk Hlebowicz Proński) puścił ją stroną od drogi zwykłéj do Kijowa, przez pole, mijając Kaniów i Czerkasy (które to zamki trzymał kn. Włodzimierz Bohdanowicz Putywlski) i dał przewodników, którzy odprowadzili karawanę ową manowcami, kędy nigdy z wieków kupcy nie chadzali." Zatrzymywano się téż i w Ostrzu za Dnieprem—zamku stojącym jakby na stróży drogi wiodącéj z Kijowa ku Moskwie. Tam—„od karawany staroście pokłon towarem; przeszłego (1551) lata szła z Moskwy do Turek karawana—dali staroście towaru na 10 kop gr.", on zaś „czcił ich i stacyę im dawał." Przeciągały karawany i przez Żytomierz ku Wołyniowi, lecz już nie często chyba; brano tam na rzecz starosty 10-ty grosz, t. j. 6 gr. od kopy. Ale szła (tędy) karawana jedna za dzierżenia kn. (Semena) Prońskiego (1538), Turkowie z Moskwy, a druga karawana szła za kn. (Bohusza) Koreckiego (1544—46); od 20 lat wszystkiego dwie karawany szły."

Wracając do Kijowa, zaznaczyć niemniéj należy, że mocą swych przywilejów, było miasto to zarazem znaczném targowiskiem i dla handlu wewnętrznego: znajdowały się tu składy soli, przychodzącéj z różnych stron, osobliwie z wybrzeży morza Czarnego, a któ-

rą następnie rozwożono ztąd po całém w. księstwie litewskiém; nadto—składy ryb, dostarczanych tak „z nizu,” jak i „z wierzchu” Dnieppru; niemniéj—wosku, miodu etc.

Większe zyski jednak w ogóle zapewniał mieszkańcom Kijowa, jak się zdaje, handel karawanowy przedewszystkiém. Nastręczał on różnym tam warstwom niemałe korzyści nawet pośrednio. Przypomnijmy choćby tylko, co o tém powiada Michalon (ust. 9). „Przy przejściu karawany, mówi on, znaczne dochody ciągną mieszkańcy Kijowa: (nietylko) wojewodowie, mytnicy, kupcy (lecz i) miennicy, przewoźnicy, woźnice, oberżyści i szynkarze; a okoliczność ta, dodaje on znacząco, nie wywoływała dotąd niczyich skarg—ni ze strony Moskwy, ani Turków, ani Tatarów. Ciągną téż Kijowianie zyski z karawan i w tych razach, gdy takowe, przerzynając się zimą przez stepy, zbijają się z drogi i giną pod zaspami śnieżnémi. (Ztąd) w lichych (nawet) chałupach kijowskich spotyka się nietylko dostatek, lecz obfitość dobra wszelakiego, owoców, miodu, mięsa i ryby; a nadto, skutkiem przyczyn powyższych, do takiego stopnia pełno w nich kosztownych szat jedwabnych, drogich kamieni, soboli i innych futer, jako téż korzeni, że mnie samemu, zamyka opowieść swą (zbyt już optymistycznie nastrojony), przybysz z północy, zdarzało się widzieć jedwab', nabywany taniéj, aniżeli w Wilnie len, i pieprz taniéj od soli.”

Posługiwał się handel karawanowy, jakeśmy to widzieli wyżéj, nietylko drogami, czy szlakami raczéj, lądowemi, korzystał on téż niemniéj i z ustalonych komunikacyj wodnych.

Najgłówniéjszą arteryą komunikacyjną Ukrainy całéj była od wieków, jak wiadomo, rz. Dniepr. Przerzynała ona środek kraju, przyjmowała w siebie większość wód onego i naprawdę była jedyną żeglowną, jeśli spławnemi były i niektóre z jéj dopływów. O ruchu w ogóle panującym na Dnieprze nabraliśmy już pewnego wyobrażenia z odnośnego ustępu o pochodzie i kierunkach osadnictwa, w podanym tu uprzednio (p. Aten. z r. 1888, t. I i 1891, t. IV) zarysie pod tyt. „Kolonizacya Ukrainy w epoce litewskiéj.” Dodamy więc tu jedynie nieco szczegółów, bardziéj spławu oraz handlu dotyczących. Już tedy Michalon świadczy (ust. 9) o Dnieprze, iż tą rzeką, jak i onéj dopływami, przywożą do Kijowa: „ryby, mięso, skóry, miód, a także sól z limanów taurycktch (?), Kaczybejskimi zwanych.” W Kijowie samym znajdujemy w r. 1571 (Zr. dz. t. XX) „komięg, któremi mieszczanie sobie handel wiodą” 20. A urząd starościński pobiera tam oczywiście „myto od ryb, które Dnieprem do miasta i gdzieindziéj na Niż statkami średniemi prowadzą.” Na

Niż téż, dla kozaków, wszystko w ogóle idzie Dnieprem z góry. Na-próżno wcale rewizorowie zamków król wskich jeszcze r. 1570 w Kaniowie zastrzegają: „swińców, prochów, saletry i inszych wszelakich żywności mieszczanie nie mają wywozić kozakom na Niż." Dnieprem téż spławiają w dół i włości północne swoje zapasy; pośredniczą zaś tu kupcy kijowscy przedewszystkiém. Jeden z takich (Żurłaj) pozywa oto r. 1618 (Zr. dz. t. XXI, str. 210) Sapiehów, dziedziców Czarnobyla po Kmitach, o nieprawne w sposobie myta, zboża różnego, wodą Dnieprem, mimo wieś pozwanych (Lipki) zabranie." W górę za to Dniepru, z Kijowa, idą towary różne: 1624 burmistrz kijowski skarży znów (*ibid.* 650) Służków o niesłuszne wzięcie myta wodnego (w Uchomiaczach) z towarów do Mohilewa prowadzonych. Ale nietylko Dnieprem spławiano różnego rodzaju towar: dokonywano tego i na jego dopływach znaczniejszych — Prypeci, Słuczy. Książęta Zbarazcy wysyłają r. 1619 (Zr. dz. XXI, 549) ze swych dóbr ukrainnych popioły ku Korcowi „do portu," a więc na Słucz chyba. Lecz na dolnym Dnieprze tamowały, jak wiadomo, dalszą żeglugę swobodną porohy. Występująca zaś od czasu do czasu za porohami flotylla „czajek" kozackich miewała na celu korsarstwo, nie handel. Zaznaczymy tu jednak przy okoliczności, że nie zapominano i o starym „Greckim szlaku." Prowadził on od Dniepru, dopływem jego Samarą (wpadającą doń jeszcze przed porohami) w górę, z téj zaś w rz. Wołczę, onéj dopływ w górę, odkąd następnie suchą „przewłoką" do Muszu (Miusu), a daléj ku morzu Azowskiemu. Drogi téj przecie używali już kozacy jedynie i to w nieodzownéj potrzebie, gdy stawało się niepodobném przemknięcie się niepostrzeżenie pomiędzy strażą turecką, przez liman Dniepru. Dla handlu zaś stał się już ów słynny niegdyś „szlak grecki" prawie bezużytecznym.

Pośrednie już tylko dla Ukrainy miał znaczenie i handel czarnomorski.

Na początku jeszcze w. XV-go, kiedy cały brzeg morski między ujśćmi Dniepru a Dniestru należał do jednoczących się właśnie Litwy z Polską, przez portowy Kaczybej (późn. Odessę) miał 1415 wysyłać Jagiełło zboże do Carogrodu. (Dług.) Za Kazimierza Jagiellończyka spławiano (Sarn.) pszenicę Dniestrem aż do Cypru. Pośrednikami handlu czarnomorskiego w ogóle byli, usadowieni oddawna w Kafie tauryckiéj, jako téż u ujść Dniestru w Monkastro, ruchliwi Genueńczycy. Lecz ku końcowi tego wieku postać rzeczy zupełnie się zmienia. Po umocowaniu się w Konstantynopolu, Turcy 1475 r. zdobywają Kafę, następnie 1484 r. Monkastro (Białogród

wołoski), nakoniec, po spędzeniu przez Tatarów straży litewskich nabrzeżnych, odbudowują na własną tam strażnicę — Oczaków (Daszów). Oczywiście tedy — tyle ożywiony handel genueński zanikł niepowrotnie. Po utracie brzegów morskich, wśród nowych warunków, starali się przecie królowie zabezpieczyć wolność handlu na południu, lądem i morzem, przez traktaty z Turcyą. Tak, po układzie r. 1489 Kazimierza Jagiellończyka z sułtanem Bajazetem II-gim zawarł 1519 r. Zygmunt I traktat z Selimem I, a 1525 z Solimanem II, Zygm. August zaś — z tym ostatnim w 1553 i 1561 (p. „O handlu Polski z Portą ottomańską" T. Czackiego—w jego „Dziełach," wyd. poznań., t. III, str. 230). Bo téż przyznać trzeba, że u góry rozumiano u nas należycie wagę i warunki, nietylko handlu z Turcyą w ogóle, lecz i wyłączniéj — czarnomorskiego. Co więcéj, nie brak było nawet gotowości między klasą kupczącą (Ormian) zwrócenia się w tym kierunku — byle tylko został ustalony względny spokój na rozgraniczu. Nie brak téż było rozumienia tego i zainteresowania się ze strony cudzoziemców („Franków").

Zdolniejsi do szerszego poglądu na rzeczy zakresu komercyjnego goście z zachodu, Włosi osobliwie, a wśród tych Wenecyanie w owéj epoce, śmieléj nawet zadania podobne ogarniali, śmieléj zarazem stawili praktyczne założenia. Żywe tego świadectwo posiadamy w jednym z listów znakomitego legata papiezkiego do rzpltéj za Zygmunta Augusta, kardynała Commendoni'ego, pisanym do posła weneckiego w roku 1564. W którym to liście, sam Wenecyanin z urodzenia, rozejrzawszy się bliżéj w ogólnéj sytuacyi Polski Jagiellońskiéj, podaje on ziomkowi wskazówki pożądanéj możności rozwinięcia bezpośredniego handlu między rzpltą a ich ojczyzną—drogą morską. Ubocznie przeto dotyka ówczesnego położenia komercyjnego i ukrainnych ziem ruskich. Co znów nas prowadzi do bliższego zapoznania się z jego myślą, z jego widokami. Oto one (p. Pamiętn. o dawnéj Polsce Albertr. t. I, str. 99—102).

Na wszystkich rzekach, uchodzących do morza Czarnego, handlu obecnie żadnego niema; ztąd przestwory ziem ruskich w ogóle, nierównie żyzniejsze od Powiśla, zostają po większéj części nieuprawne. Brzegi morskie należały dawniéj do korony polskiéj; lecz utracone już przez niedbałość królów przeszłych na rzecz Turków, którzy posiedli i miasto Białogród, „gdzie mieszka wielu Ormian i innych kupców, prowadzących rozmaity handel." Wszakże „przez te rzeki możnaby ze wspomnianych ziem sprowadzać do Wenecyi, z wielkim jéj pożytkiem oraz korzyścią tutejszych właścicieli dóbr, znaczną ilość zboża, ładując niém okręty na morzu Czarném, o 400

lub mało co więcéj mil od Carogrodu.” Zezwolenie zaś na to możnaby otrzymać od Porty, przy wspólném działaniu zaprzyjaźnionych z nią mocarstw — Wenecyi i Polski, tém pewniéj, że przecie i ona sama z cełby miała zyski.“ Prócz tego, tą samą drogą dałoby się początek wzajemnéj wymianie towarów, sprowadzanych z Wenecyi do rzeczonych portów na potrzeby tych krajów, nie wyzuwając się z gotówki, jak to zwykło mićć miejsce za każdą razą, skoro zboże ze wschodu sprowadzać przychodzi. Handel suknami, bławatami i t. p. dziś przez Niemcy prowadzony lądem, nierównie zręczniéj ułatwiałby się morzem i towary te rozchodziłyby się rzekami po Litwie i Polsce, równie jak wino, oliwa, rodzenki i tym podobne przedmioty. Nawzajem zaś ztąd, oprócz zboża, możnaby mieć woski, miody, łoje, smołę, skóry, mięsa solone w największéj obfitości, a może i wiele innych szczegółów... Żeglugę po morzu Czarném odbywałyby już okręty weneckie aż do Dunaju, o czém pamięć w Wenecyi dotąd pozostała. Lubo i w dawniéjszych czasach była w użyciu, mianowicie w celu opatrywania zbożem Grecyi, podczas jéj kwitnienia i większéj niż dziś ludności; Sarmacya zaś, któréj te kraje są częścią, była i mniéj osiadłą i nie tak jak teraz uprawną... Do dziś dnia (nawet) Ormianie i Żydzi temi rzekami wprowadzają nieco towarów do kraju i więcéjby nierównie wprowadzali, gdyby Tatarzy perekopscy... nie napadali tak często na włości polskie. Wszakże, gdy ci Tatarzy są hołdownikami tureckimi, żołdownikami zaś króla polskiego, skoroby więc dwaj mocarze zgodzili się zabezpieczyć gościńce i otworzyć tę drogę, wnet bezwątpienia ustaliłby się tu dogodny i bogaty handel. Nie są też Tatarzy tak potężni lub nieużyci .. Za małą opłatę zwykli sami przeprowadzać bezpiecznie kupców z Kafy aż do granic moskiewskich, chociaż są wrogami w. księcia “

„Nawet z czasem przez stepy tatarskie i Dnieprem mogłaby się otworzyć droga dla wywozu z Moskwy do Wenecyi rozmaitych towarów, które idą do Gdańska, do Lubeki i do Antwerpii; a podobnież sukna i inne rzeczy z Wenecyi przychodziłyby do Moskwy. Takim sposobem powoli otworzyłby się handel z całą niemal północą“—zamyka swój wywód Wenecyanin kardynał.

Żywo się téż powyższą kwestyą miał zainteresować i sam król Zygmunt August, gotów projektowane emporya weneckie na południowych rubieżach obdarzyć odpowiedniemi przywilejami. Rzutki zaś legat apostolski, nie poprzestając na oderwanym, choć uzasadnionym tak dobrze pomyśle, wynalazł nawet i „osobę, któraby na własny zysk lub stratę pokusiła się dostawić tą drogą ładunek zboża

do Wenecyi"—w rodzaju próby. Był tym odważnym—kupiec Jan Thedaldi. Wszakże „wysłani od króla komisarze do rewizyi rzeki Dniestru (p. T. Czacki „Dzieła," t. III, str. 230) ławy kamienne (przeciw dzisiejszego Jampola—u samego rębu wwdztwa bracławskiego) za nieprzebyte zapory osądzili i rzecz cała na bezskutecznem skończyła się życzeniu. Widziéć jednak można, iż w traktacie 1568 Selima z Zygm. Augustem wolny przechód kupcom po Dniestrze zapewniony... Następne sojusze zaręczały w ogólności (już tylko) wolność handlu — Dniestr nie był wspominanym; dopiéro Zygmunt III, w traktacie z Mustafą 1623 r. wyraźnie go wyszczególnia." — Na ile jednak Pobereże bracławskie korzystało już z wolności spławu na Dniestrze poniżéj porohów (Jampola) — tego nie umiémy powiedziéć: chyba tam w owéj epoce nie było jeszcze tak wiele co spławiać—przy dziecięcym iście stanie rolnictwa.

Zatamowanie, bardzo dotkliwe, handlu na morzu Czarném, musiało go z konieczności zwrócić w stronę przeciwną. Ogniskiem tedy wszystko przyciągającém stały się, i dla Ukrainy, miasta pruskie, osobliwie Gdańsk. Rolnicy Powiśla już oddawna ciągnęli znaczne zyski ze stosunków z niemi. Popyt tymczasem na zboże etc. stawał się coraz żywszy. Na Powiślu wszystko już zostało zajęte pod pług—rąk zaś tam było do zbytku. Z natury rzeczy tedy przyszła koléj na Ruś i tém nieodzowniéj, że jéj pustynne przestwory przedstawiały—im daléj na wschód i południe, tém coraz żyzniejszą glebę. Popyt żywszy zboża podniecał tam potrzebę podniesienia gospodarki, ta zaś potrzebę przypływu ludności, kolonizacyi, posuwającéj się wciąż naprzód. Podnoszenie gospodarki i kolonizacyi ożywiało handel. Lecz na Ukrainie dopiéro ledwie pod koniec w. XVI-go poczyna on nabiérać siły. Początkowo nadto, i jeszcze długo nawet, przedmiot dalszego wywozu stanowią bardziéj produkta gospodarki wypasowéj, „uchodniczéj," leśnéj niż właściwie rolnéj. A więc woski, skóry i t. p. Tak naprz. starosta czerkaski i kaniowski kn. Michał Wiśniowiecki wysyła r. 1566, aż do Krakowa, skóry bobrowe, dla zakupna tam następnie „korzenia i rzeczy jedwabnych" (K. Pułas. Szk. hist. str. 61). Na Polesiu zaś osobliwie przedmiot dalszego wywozu stanowią popioły, które przedewszystkiem zmierzają do Gdańska. Tak: 1586 r. wójt korecki Mancewicz dzierżawi lasy we włości noryńskiéj, nad rz. Żerewią, w Owrucczyźnie, wypala tam popiół, którym prowadzi handel właśnie z tym portem baltyckim (Opis kij. arch. nr 8). Palą téż popioły na Polesiu: 1604 i 1607, Jakób Hamerling — Gdańszczanin prawdopodobnie; 1609 Tomasz Kontrom „Angielczyk" — by je podobnież chyba na Baltyk

wysyłać. (Źr. dz. t. XXI, str. 148, 500). Z posuwaniem się porządniejszéj gospodarki i namiętnego wyzysku w głąb' stepów, rozszerzały się i handlowe operacye Gdańszczan. W latach 1633—40 palą oni „lasy kaniowskie“ na popioły i zakupują u Charlęskiego starosty Kaniowa żyto z dostawą do Gdańska. Port ten, co zaznaczyć należy, tyle już zaważył, od końca XVI-go w. przynajmniéj, w stosunkach ekonomiczno-komercyjnych Ukrainy, że oddziałał tam nawet poniekąd na regulacyę, miejscami, powinności włościańskich. Spotykamy cenną wskazówkę co do tego w Inwentarzu m. Berdyczowa Tyszkiewiczów z r. 1611. Oto poddani tameczni i kilku wsi sąsiednich, nie obciążeni wcale powinnościami, obowiązani byli zato dawać z włóki podwodę—do Lwowa lub do Buga. Prawdopodobnie téż ponosili ten ciężar i kmiecie wszystkich innych wsi dóbr tych rozległych, a może w podobny sposób i włości sąsiednie. Oczywiście — podwody pod produkta miejscowéj gospodarki do zbytu. Do Lwowa — prędzéj zdobycze przemyślności „uchodnikow“ tylko, pożytek z pasiek i t. d.; do Bugu za to — pewniéj zboże, potaże etc., na spław niewątpliwie do Gdańska. Tu zaś i tam—aby z powrotem zabrać na te podwody wszelaki towar zagraniczny. Że zaś zwyczaj podobny, na rozgraniczu z Wołyniem przynajmniéj, mógł być powszechnym po latyfundyach, świadczy między in. tryb, jakiego się w tymże czasie trzymano w (zalegającéj obadwa brzegi Słuczy) włości zwiahelskiéj kst. Ostrogskich. Tam, podług inwent. 1620 r., ciężży na poddanych obowiązek dostawy popiołów do Buga—stosownie do zamożności wsi i gospodarzy—jedną „furą” czy dwóma, po jednéj „beczce” czy po dwie na furę. Bugiem zaś widocznie daléj — również do Gdańska. Były téż pewnie i inne rynki zbytu płodów gospodarki ówczesnéj — rolnéj najmniéj oczywiście — po za obrębem województw ukrainnych, lecz chyba nieliczne wcale. Widzimy np. (Zr. dz. t. XXI, 311), że r. 1618 Piasoczyńscy z dóbr swych w Bracławszczyznie (Ometyniec i t. d.) potaż aż do Kazimiérza nad Wisłą wysyłają.

Co zaś do popytu na Ukrainie na towar zagraniczny, od zachodu przychodzący, popytu stanowiącego przecie główny warunek pomyślności w obrotach komercyjnych—tego zbyt nizko kłaść nie należy. Nietylko bowiem klasy tam wyższe nie mogły się już obejść bez zachodniego towaru, lecz potrzebował go do pewnego stopnia i kmieć zamożniejszy. Dość tu przytoczyć, że naprz. we włości tulińskiéj (Leszczynie) w powiecie żytomirskim, r. 1587, noszą kmiecie germaki z sukna „luńskiego,” a kołpaki lisie kryte suknem „utrefinowém” (Arch. kij. cz. III, t. I, nr 64).

Ruch handlowy wewnątrz zajmującéj nas krainy, razem z bliższém onéj sąsiedztwem, chociaż się odbywał mniéj wyraźnie i nie pozostawił po sobie śladów wybitniejszych, niemniéj przeto był dosyć ożywionym względnie. Pośrednicy handlu tego wielce rozmaici, a przedmiot onego — przedewszystkiém rzeczy pierwszéj potrzeby. Sama różnica topograficzna—ekonomicznych warunków w poszczególnych pasach szerokiéj Ukrainy prowadziła do żywéj zamiany komercyjnéj bardziéj lokalnych produktów. Gdy tedy z połaci poleskiéj naprz. idzie ku stepom głównie zboże i odzież, z Niżu ku starym włościom—sól, ryby etc. Drogi tego handlu, jak i zagranicznego—zarówno wodne i lądowe; a główniejsze z nich — właściwie téż same. Dróg wodnych dotykaliśmy już wyżéj; wypadałoby nam teraz dodać jeszcze o drogach lądowych nieco. Uwalnia nas przecie, w znacznéj części, od tego artykuł, jaki podał był w naszém piśmie (p. Aten. za r. 1878, t. III, zesz. 3) pod tyt. „Dawne drogi i szlaki po prawym brzegu Dniepru" p. Edward Rulikowski. Nie do tego stopnia jednak, byśmy tu, pomijając drobniejsze szczegóły, nie mieli dotknąć ogólnego dróg zarysu, a niemniéj — dodać zarazem, czego tam w tym zakresie nie znajdujemy.

Otóż ogniskowym, że tak powiemy, węzłem dróg kupieckich po całéj Ukrainie był z natury rzeczy stołeczny jéj Kijów. Ile drogi służące wyłączniéj widokom handlu, wszystkie one prawie wychodziły ztamtąd, wszystkie tam zmierzały. Rozchodzą się téż one z Kijowa we wszystkich kierunkach, stanowiąc, od wieków niemal znane gościńce, w pierwotném znaczeniu tego wyrazu, jako drogi „gości," kupieckie, a zarazem—drogi „dozwolone," „hospodarskie," „królewskie." Główniejszemi z nich były następujące:

Ku północy: „stary gościniec litewski," idący z Kijowa na Owrucz; bliżéj zaś Dniepru — droga wyszogrodzka, prowadząca ku Czarnobylowi; w samym Wyszogrodzie przewóz na Dnieprze.

Ku zachodowi: gościniec białogrodzki czy żytomirski, „stare putyszcze" téż zwany, prowadzący przez Żytomierz daléj na Wołyń; a równolegle prawie z nim gościniec iwnicki, noszący téż nazwę „smolanego kijowskiego," zmierzający podobnież ku Wołyniowi.

Na południe: gościniec trypolski, „gończą drogą," od gońców do ordy, téż zwany, szedł pobrzeżem Dniepru, na Kaniów i Czerkasy, zkąd przez Targowicę na Sinéj wodzie, dopływie Bohu, dzikiemi polami na przewóz główny u Tawani, naprzeciw Perekopu; podobnież — droga białocerkiewska, z jednéj strony ginąca w dzikich polach, drugiém zaś ramieniem sięgająca, przez Pawołocz, drogi iwnickiéj.

Za Dnieprem zaś rozchodziły się z Kijowa dwie drogi: na północo-wschód, droga osterska, prowadząca na Czerniehów czy Putywl do Moskwy; na południo-wschód, perejasławska—przez Choroszyn, bród na Sule etc. do Krymu.

Z dróg większych, które Kijowa nie dotykały wcale, zasługują na uwagę: „droga zapolska,“ prowadząca z „pól“ (stepów) do „zapola“ — połaci zaludnionéj i zagospodarowanéj, z po za Stuhny i od Rosi ku górnym Kijowszczyzny stronom — aż w Polesie owruckie. W połaci zaś stepowéj — gościniec bracławski, prowadzący niegdyś przez (zburzony przez Tatarów) Zwinogrod do Czerkas, zwrócony następnie na Winnicę i bardzo późno dopiéro wznowiony. Nadto „gościniec wielki z Białogrodu“ (wołoskiego) na Oczaków, którędy, jak świadczy Bielski pod r. 1574 (str. 1360 wyd. T.) „karawany do Moskwy chodzą,“ a „na którym często kozacy kupce tureckie rozbijali.“

Znane powszechnie wielkie „szlaki“ tatarskie, idące od morza Czarnego wododziałami w górę, jak czarny lub kuczmański, służyły niemniéj téż jako drogi handlowe. Oprócz nich bywały jeszcze szlaki uboczne, poprzeczne w części, ku którym, jako bezpieczniejszym, chętniej się nawet kupczący zwracali. Wskazywały takowe nietylko warunki, że tak powiemy, topograficzne, lecz zarazem większy stan obronności w pewnym kierunku, jak i stopień zaludnienia w każdéj rozważanéj epoce. Ze zmianą bowiem stanu obronności i zaludnienia zmieniają się częstokroć i dróg kierunki: nowopowstający na pustyni zameczek zwraca ku sobie zarazem szlak handlowy. Oto naprz. r. 1545 mieszczanie żytomirscy skarżą się (Zr. dz. t. VI, 139), że „już kupcy mało Żytomierz nawiedzają, wszyscy poczęli przez pole inną drogą, na (nowopowstałe właśnie) Słobodyszcze jeździć.“ Lecz i odwrotnie: zburzenie zamku zwinogrodzkiego prowadzi za sobą, jak to już wskazywaliśmy, zwrócenie drogi z Bracławia do Czerkas na Winnicę (*ibid.* 122).

Zresztą, co do gałęzi szlaków i dróg mniéj znanych, dają nam o nich dostateczne nieraz wskazówki „Itineraria” poważniejsze, jak: Jerzego Jazłowieckiego, Samuela Zborowskiego, Eryka Lassoty, nareszcie Beauplana. Ciekawe *itinerarium* po Ukrainie hetmana Jazłowieckiego, zaraz po przyłączeniu onéj do Korony, w r. 1572 przechował nam Paprocki (w Herb. ryc.): zaznaczona tam droga z Chmielnika do Kijowa na Białącerkiew, z Kijowa zaś ku wierzchowiskom Ingułu—przez Kahorłyk, Korsuń, Lebedyn etc. Z *itiner*. S. Zborowskiego k. 1582 r. (u Papr. w Herb. ryc. podobnież) poznajemy „Probity szlach,“ z Zaporoża, przez dolny Boh (Probite —

u Bielskiego), do wołoskich Sorok, nad Dniestrem, prowadzący; poznajemy też na Niżu samym, po lewéj stronie Dniepru, przy ujściu rzeki Końskiéj, Karateben (Karajdubyna) uroczysko, „które jest *forum* albo rynek, gdzie Tatarowie z Kozaki wszelakie targi swe mają.“ Liczne też przewozy przez Dniepr zna już Michalon — nietylko na średnim biegu onego, lecz i na Niżu.

Dodać tu jeszcze możemy, że obok dróg uznanych—hospodarskich (królewskich), „dozwolonych“, spotykamy w owe czasy wzmianki o drogach „niedozwolonych.“ Były to drogi uboczne, ukryte, manowcami się wijące, nie podlegające kontroli, ale też i opiece prawa. Na drogi podobne odważały się czasem obce karawany kupieckie, w celu uniknięcia ustanowionych prawem, na drogach „dozwolonych“ opłat — myt, składowego po miastach uprzywilejowanych etc. Nie łatwo im przecie było przemykać się niepostrzeżenie po prawéj stronie Dniepru, gdzie pilniéj miano na oku przemytników; jeśli też zdarzały się wypadki wykroczeń z „dozwolonéj“ drogi hospodarskiéj, to prędzéj na szlakach murawskich za Dnieprem. Ale tam za to ryzykownych kontrabandzistów spotykała częstokroć wcale niepożądana niespodzianka nawiedzin tatarskich lub wałęsającego się po stepie luźnego kozactwa.

Jak naturalna, handel, przynoszący, bezpośrednio i pośrednio, znaczne dochody skarbowi, osłonięty był po wszystkie czasy na Ukrainie opieką władzy najwyższéj.

Handel zewnętrzny starali się królowie ubezpieczyć traktatami z sąsiady: carstwem moskiewskiém, Wołoszą, przedewszystkiem zaś z Tatarami i Portą. Znanym jest (Danił. Skarb., str. 313) układ Zygmunta I z chanem perekopskim Szahin-Girejem 1540 r., mocą którego zapewniano sobie, że „wszelkim kupcom lackim i litewskim wolno z towarami swojémi przyjeżdżać do Perekopu i Kafy, i przedawszy wyjeżdżać po zapłaceniu myta; chańskim ludziom zupełna nawzajem daje się swoboda jechania do państw królewskich, byle płacili myto.“ Nadto zaznaczano szczegółowo: „kupcom Korony i Litwy wolno brać sól w Koczubijewie (późn. Odessie) i opłaciwszy zwyczajne myto, rozwozić do Kijowa i Łucka oraz miast innych; gdyby w Koczubijewie szkodę wyrządzono ludziom królewskim, tę chan wynagrodzi.“ Wiemy też (Obol. Kn. pos. Metr. w. k. lit., str. 28), jaki ustanowiono porządek dostawania się do Kijowa kupców tureckich i tatarskich, stosownie do dawniejszych w téj mierze zwyczajów. Oto — dozwalano im tylko jednéj drogi, mianowicie téj, która prowadziła z Tawani do Kijowa brzegiem Dniepru, na Czerkasy i Kaniów. Po przeprawieniu się u Tawani przez Dniepr, nie

pierwéj jednak mieli prawo puszczać się w drogę, aż o tém czerkaskiego powiadomili starostę, który wysyłał swą straż dla przeprowadzenia ich bezpiecznego do Kijowa. Władze téż ukrainne odpowiadały za bezpieczeństwo „gości" obcych na téj drodze jedynie. Gdy tedy naprz. (Obol. 28, 32) skarżył się chan (a co się często potém powtarza), iż kozacy czerkascy napadli i zrabowali na uroczysku „Sawcza" turecką karawanę; ponieważ okazało się, że ta karawana szła „jałowémi pustyniami, niedrożnémi manowcami," nie zaś drogą hospodarską, królewską, Zygmunt August zadosyćuczynienia odmówił. Zamknął nadto swą odpowiedź przestrogą: „niechże kupcy nie chodzą więcéj nowemi drogami, ale chodzą starodawnemi, jak bywało;" w takim tylko razie może król ręczyć za ich bezpieczeństwo i odpowiadać za poniesione przez nich szkody.

Dla podniesienia handlu wewnętrznego robiono téż u góry wszystko, co podług ówczesnych pojęć ekonomicznych uważanem było za najskuteczniejsze, niezbędne. Że rękojmię pomyślności handlu upatrywano w podniesieniu pewnych wyłączniéj miast i klas, więc obdarowywano je znacznemi przywilejami. Czy odpowiadały jednak takowe bezwzględnie warunkom téj pomyślności na Ukrainie—na to odpowiadać nie potrzebujemy.

Z miast znaczniejszych Ukrainy Kijów naczelny otrzymał był oddawna, jakeśmy to widzieli, prawo magdeburskie, posiadał przywilej składu obcych towarów u siebie, a wolność handlu po całym obszarze kraju (w. ks. lit.). Co do Magdeburgii saméj, to przed unią 1569 otrzymały ją wprawdzie w Kijowszczyznie dwa tylko miasta: Kijów i Żytomierz, najznaczniejsze po nim w województwie — obadwa jeszcze pod koniec w. XV-go; w Bracławszczyznie zaś—jedyny Bracław 1564 r. Wszystkie inne zaś rządziły się aż do końca epoki litewskiéj prawem zwyczajowém. Po unii za to nadania magdeburgii szybko poczęły się posuwać z postępem osadnictwa i zwrotu ku gospodarce bardziéj przemysłowéj. Otrzymują więc takową: pod koniec XVI-go w. jeszcze — Korsuń 1584, Czehryn 1592; zaś k. 1600 Kaniów, 1616 Kryłów, 1622 Lisianka, Winnica koło 1630 dopiéro. Z miast prywatnych zaś: Wasylków (posiadłość monasteru pieczarskiego) w r. 1586, Aleksandrów (Łubny) oraz Michajłów (Pieratyn) za Dnieprem książąt Wiśniowieckich — 1591, Chwastów biskupi 1601, Hostomla Charlęzkich 1614 etc.

Uwalniano téż miasta, jedno po drugiém, od myt. Tak Kijów otrzymał uwolnienie od opłaty myta na całéj rozciągłości wielkiego księstwa litewsk. już za króla Aleksandra (Czac. t. I, 212) zatwierdzone potém trzykrotnie: 1506, 1545 i 1606. Kaniów i Czerkasy uwol-

nione zostały 1558 od opłaty takowego—jedynie od żywności; Białocerkiew 1570 — tylko na lat 10; Kryłów r. 1616 na lat 30, Winnica 1558 r. uwolnioną została, podobnie jak Kijów, od myta zupełnie (Czac. I, 212). Uwolnienie zaś podobne od myta było ogólném, nietylko mytnice królewskie obowiązującém. Posiadamy co do tego wyraźne, a przytém i pod innym względem charakterystyczne wypowiedzenie się Zygmunta I-go. Oto w r. 1540, zalecając kanclerzynie Gasztoldowéj, trzymającéj Lubecz, aby zakazała pobierania tam myta od mieszczan kijowskich, powiada król, że „dla ich niedostatku i podupadnięcia i szkód, jakie oni zawżdy na téj ukrainie od pogaństwa Tatar ponoszą, odpuściliśmy im wszystkie myta nasze i kniazkie i pańskie, duchowne i świeckie, po całéj ojczyznie naszéj, wielkiém księstwie litewskiém, lądem i wodą (Metr. lit. ks. kor. przep. XXVII, f. 39—u Lubaw.).

Starano się téż uregulować handel pewnemi przepisami. Zygmunt Aug. naprz. poleca r. 1546 kn. Fedorowi Sanguszce, jako staroście, aby (pom. inn.) dozwolił ziemianom winnickim zboże, miody prząśne i inną żywność sprzedawać w swoich dobrach, a tylko konie i bydło wszelakie mają prowadzić na targi do Winnicy (Arch. Sang. t. IV, 361). Po przyłączeniu zaś Ukrainy do Korony, pierwsi z jéj ramienia rewizorowie zamków tam królewskich r. 1570 nakazali za to (Źr. dz. t. XX, str. 15), aby w Żytomierzu i w ogóle po miastach królewskich ukrainnych, nowoprzyłączonych, „żywności wszelakie, t. j. zboża, bydło, miody prząśne... jawnie na rynku przedawano, a w domach tajemnie, aby żaden przedawać nie śmiał,“ Ustanowiono téż składy przymusowe towarów. Zastrzegano w tymże 1570 r. (str. 13) w Owruczu: „soli aby żaden nie śmiał kupować, przejmując na drogach, jedno jak starodawne składy, a ztąd ma przynieść znak, gdzie ją kupował i urzędu zamkowemu pokazać ma.” O ile zaś regulowanie podobne handlu wpływało na rozwój onego—wątpliwości nie podlega.

Nie od rzeczy téż będzie przytoczyć charakterystyczny fakt z tego zakresu, odnoszący się jeszcze do r. 1545. Oto (Źr. dz. t. VI, 143) co zaznacza w sprawozdaniu o zamku żytomirskim rewizor hospodarski: „przyszli do mnie bojarowie i mieszczanie i wszyscy ludzie tameczni, płaczliwie czołem bijąc, aby im dano woli na kilka lat... a wolno było dokąd chcąc jeździć targować, bo teraz, mówili, nie dozwalają im ni miodu prząśnego, ani zwierza mochnatego, ani wosku, nigdzie wozić i prowadzić, i prawie w zaporze ich trzymają, w czém sobie wielce utyskują i proszą na to łaski hospodarskiéj; a gdy zaś ta wola i łaska od hospodara jmci nam będzie, tedy, po-

wiadali, i innych wielu u tego zamku może zgromadzić się i osiąść, a teraz zaś nie przez co innego, jedno przez tę niewolę, nie chcą ludzie do tego zamku schodzić się, i my téż sami przez takowe zniewolenie nasze, nie będzie li łaski i zmiłowania hospodarskiego, przy tym zamku utrzymać się nie możem, a pójdziem wszyscy precz."

W ogóle mówiąc, regulujące handel przepisy miały wyłączniéj charakter fiskalny, zanim od czasu unii począł decydować o nich interes klas uprzywilejowanych przedewszystkiém; choć nieodzownemi były wszelkie naprz. myta hospodarskie, królewskie, tudzież inne opłaty, od wszystkich pierwotnie (w epoce lit.) pobierane na rzecz skarbu. Znaczna téż część tych myt etc. na Ukrainie szła na zamki i starostów. Tak w Kijowie naprz. 1570 r. (Źr. dz. t. XX, str. 8, 9) „gdy z Moskwy albo zkądinąd kupcy z towarami przychodzą, t. j. z suknem, z siermięgami i jedwabnemi rzeczami," myto idzie na rzecz zamku, podobnież jak i od soli kołomyjskiéj. Po dokonanéj unii cła, myta etc. opłacali już tylko nieuprzywilejowani. W Koronie bowiem oddawna już było ustanowioném (Vol. leg.), że „ceł szlachta i poddani ich od tego, co się im w domu rodzi, dawać nie powinni; ani od rzeczy na własną potrzebę kupionych;" więc 1569 r. „porównani w tém" i szlachta województwa bracławskiego (Vol. leg. II, f. 754) jak i księstwa kijowskiego (f. 761).

Nowe warunki sytuacyi wzajemnéj Korony i Litwy, spowodowane przez unię 1569 r., wywołały zmianę i w zakresie komór celnych między niemi. Do saméj unii szły one ówczesném rozgraniczem dwóch państw zrzeszonych; na południu tedy — linią między ziemią wołyńską (z Bracławiem) a koronném Podolem. Gdy następnie Wołyń i Kijów przyłączono do Korony, linia celna została przesuniętą na pas poleski ziem owych. A że we wschodnim dziale onego Mozyrz został „odrażon" od ziemi kijowskiéj, linia więc nowa winna była pójść południową powiatu jego granicą. Lecz takową (nawet) trzeba było dopiéro jeszcze zarąbać wyraźniéj, a tymczasem powstaje zamęt, pod pozorem zaś prawowitości — nadużycia. Oto bowiem, jak zaznaczają rewizorowie koronni 1570 r. (Źr. dz. t. XX, str. 11), „teraz po przyłączeniu ziemi kijowskiéj do korony polskiéj, wszystkie żywności, którekolwiek komięgami i innymi statkami wodnymi prowadzą do Kijowa, hamują (w Mozyrzu) i nie puszczają, zowią być kijowską ziemią." W obec czego, już ciż rewizorowie, że „na tém nie mało (jest) niebezpieczeństwa — czasu nieprzyjaciela i czasu pokoju od swych, gdyż (zamek ten) leży nad portem..." odwołują się, o uregulowanie tak ważnéj sprawy, do gorliwości posłów sejmowych.

Ne były przecież tak dotkliwemi dla handlu wyzyski, że tak powiemy, urzędowe, co samowolne uroszczenia i nadużycia przemocy prywatnych. Weźmy dla przykładu choć jeden rodzaj takowych. Oto, dla pomnożenia i porządniejszego utrzymywania dróg przewozowych, dawała władza chętnie osobom prywatnym przywileje pobierania na nowozbudowanych, przez pewien czas, myta, mostowego etc. Lecz nie dosyć tego, korzystając z podobnych przykładów, poczęli też możni i nie możni panowie ustanawiać takowe w swych dobrach najzupełniéj samowolnie, nie mając do tego najmniejszego prawa. Ztąd tyle zajść sąsiedzkich i spraw po trybunałach. Tu oto r. 1609 ksta Zbarazcy pozywają (Źr. dz. t. XXI, 549) dziedziców oraz zarządców dóbr różnych w powiecie żytomirskim— Słotwina, Prażewo, Pulin, że pobrali myto od popiołów z dóbr ich ukrainnych, ku Wołyniowi, „do portu“ wiezionych; tam skarżą się 1616 (t. XX, 49) mieszczanie kijowscy na oo. Dominikanów, że z nich „myta i cła jakieś wodne“ gwałtownie wyciągają; ówdzie r. 1618 (t. XXI, 223) burmistrz ich wytacza sprawę Chaleckim, o zabranie towarów, do m. Czerkas i Korsunia, przez dobra ich Rzyszczew (nad Dnieprem), prowadzonych; i tyle innych przykładów, które tu pomijamy.

Spotykał tedy handel wewnętrzny Ukrainy, w samych warunkach ówczesnego ustroju społecznego, dotkliwe przeszkody na każdym kroku prawie, pomimo urzędowéj opieki władzy najwyższéj; ale zewnętrzny był bardziéj jeszcze na nie narażony, a jak od rubieży południowych — to nawet wystawiony stale na poważne niebezpieczeństwa. Dość tu tylko przypomnieć, czém byli właściwie współzawodniczący ze sobą koczownicy stepowi, tyleż swoi — kozacy, co i bisurmańscy Tatarzy. Jedni i drudzy żyli przeważnie z łupu („butynku“), w szerokiém wyrazu tego znaczeniu, a karawany kupieckie przedstawiały łup najpożądańszy może. Co do Tatarów — nie były bezpieczne od nich nawet karawany idące po towar lub z towarem na rzecz samego padyszacha. Tak naprz. r. 1541 Zygmunt I poleca kn. Andrzejowi Koszyrskiemu, „sprawcy“ województwa kijowskiego, aby kupcowi tureckiemu Andrzejowi Grekowi pozwolił przejść przez Kijów do Moskwy; który to kupiec, udający się tam w interesie samego cesarza „Szach-Sulejmana,“ chciał pierwéj jechać wprost „polem,“ ale z obawy spotkania się z hordą wracającą od Moskwy, postanowił udać się bezpieczniejszą drogą na Kijów (Arch. Sang. t. IV, nr 242). Co zaś do kozaków — byli oni największą przeszkodą ustalenia się porządnego stosunku handlowego z Krymem i Turcyą; od pierwszego już bowiem swego zjawienia

się na Niżu rabowali, przy każdéj okoliczności, karawany wschodnie wszędy — w „polu," na drogach i przewozach. Już tedy za króla Aleksandra 1503 r. skarżył się Mengli-Girej chan, iż „na przewozie (na Dnieprze) źli ludzie, kozacy, kupców i posłów (jego) rozpędzili, a skarby i towary zabrali," i żądał zwrotu towarów oraz przykładnego tych „kozaków" ukarania. Skutkiem czego istotnie niektórzy z pochwytanych winowajców byli karani w obecności posłów chańskich, jako téż i wartość towaru kazał król zwrócić, „tak, iżby tym kupcom żalu nie było" (K. Pułaski, Stos. z Mendli-Gir. str. 86). Najwięcéj zaś kozacy byli pewni swego, gdy karawana, wymijając „starodawną drogę hospodarską," odważyła się puścić manowcami, „polem." Napróżno téż r. 1570 kupcy tureccy Ormianie (Manuił Karawan-baszy) skarżą się, iż mieli ubezpieczenie piśmienne od kasztelana kijowskiego Pawła Sapiehy dla swobodnego przejazdu z Kamieńca do Kijowa oraz daléj do ziemi moskiewskiéj; tymczasem za zamkiem Osterskim zostali napadnięci i rozgromieni przez kozaków, jakoby z wiadomością i na rozkaz kasztelana. Na co Sapieha odparł, iż miał rozkaz królewski nie puścić tych kupców do ziemi nieprzyjacielskiéj, a oni, nie mając na to pozwolenia, samowolnie przybyli do Kijowa, a potém mimo przestróg ruszyli daléj. Do Ostrza dostali się Desną. Następnie, nie zważając na ostrzeżenie starosty Ratomskiego, objechali zamek w nocy, poczem u granicy czerniehowskiéj zostali rozgromieni przez Kozaków (Metr. Wołyń. ks. zapis. II, f. 30). My dziś napróżnobyśmy przecież pytali, czy w tém winni kozacy jedynie; konniwencya dla nich, w pierwszéj epoce, starostów etc.—rzecz znana. Czy tak atoli, czy inaczéj, zawsze handel na tém cierpiał. Że zaś kozacy nie przestawali, i w czasy następne niepokoić idących stepem karawan kupieckich, świadczy między innémi groźna konstytucya 1590 r. (Vol. leg. II, f. 1320), pragnąca i temu téż zapobiedz.

Jeśli się po tém wszystkiém zwrócimy do samych przedmiotów handlu, tak zagranicznego jak wewnętrznego, to za najważniejszy chyba z nich, jako rzecz pierwszéj, niezbędnéj potrzeby, a nie znajdujący się, po utracie brzegów czarnomorskich, na Ukrainie, uważać musimy sól. Ztąd handel nią regulowały ściste, jakeśmy widzieli (w Owruczu r. 1570), przepisy. Sprowadzano zaś dwa rodzaje soli: krymską i limanową w ogóle oraz kołomyjską — „białą." Główny skład soli (w epoce litewskiéj) był oczywiście w Kijowie, zkąd ją następnie rozwożono już wszędy—po całym nawet obszarze w. księstwa; miano zaś tam i kołomyjską, od któréj brano myto. Przychodziła sól do Kijowa, albo z Niżu „czółnami," albo „biała'

przez Podole (1552, 1616). Szła téż i sól krymska lądem czasami, po lewéj stronie Dniepru widocznie: 1624 żyd białocerkiewski Aron Szlomowicz prowadzi ją z Perejasławia na Żerebiatyn (Źr. dz. t. XXI, 350). Gdy znów (za świadec. Michalona--ust. 9) przychodziła Dnieprem sól—i „z limanów taurycki ch" (jedysańskich raczéj) „kaczybejskimi" zwanych, gdzie naładowanie nią całego statku 10 strzał tylko miało kosztować. Poszukiwano téż soli i w samej Ukrainie: w 1622 w starostwie perejasławskiem, w dzierżawie Berezań, Jabłonów i Mirogród (gdzie mian.?) „pokazała się surowica, z któréj może być sól warzona, która (mniemano) za czasem wielkie pożytki uczynić może" (Źr. dz. t. V, 133); lecz łudzono się napróżno. Mimo wszystko, brak soli dawał się czuć często po Ukrainie. Nawet Beauplan jeszcze (str. 393) powiada: „największą w kraju tym jest niewygodą niedostatek soli, muszą ją aż o 80 i 100 mil sprowadzać z Pokucia...; sól smaczna, lecz nie tak słona jak francuska." Przyczém dodaje: „robią (tam) także inną sól z (popiołu) drzewa olszowego i dębowego, smaczna jest z chlebem, nazywają ją (humorystycznie chyba) kołomiją."

W porównaniu z solą, bardziéj jeszcze chyba poważną gałęzią, nietylko powszedniego handlu, lecz i dochodów, czy to na rzecz skarbu, czy właścicieli prywatnych, stanowiły gorące napoje, trunki. Prawo ich przedaży otrzymywane było tylko mocą przywileju — za co opłacano znaczne dość czopowe i kapszczyznę. Przedewszystkiem stanowiły one dochód starostów i miast.

W epoce litewskiéj r. 1552 (Arch. kij. cz. VII, t. I), tak w Kijowie, jak i innych miastach hospodarskich na Ukrainie, widzimy handel mocnemi napojami już całkowicie rozwinięty, a miejsca, zakłady, gdzie je sprzedawano, z oryentalna „karczmami" („chardżama," Muchl.) zwane, wcale już liczne. Tak w Kijowie karczem, w których „szynkują piwo jedno abo i oboje—i piwo i miód," było 58, a z tych 8 wolnych; kapszczyzna szła na wojewodę. W Czerkasach „karczmę (arendę) starosta trzyma," miód przaśny bierze u Czerkaszan „ustawą" i syci; szynkowanie miodu trzyma w dwóch karczmach (szynkach), w trzeciéj — gorzałkę. Podobnież w Kaniowie. W Żytomierzu mieszczanie gotowi dawać podwody i stacyę, byle im „wolne" karczmy przywrócono; karczmy bowiem — miodowe i gorzałczane—trzyma starosta. W Winnicy karczem, gdzie miód albo piwo, „abo oboje" szynkują, 42, bywa zaś i więcéj i mniéj; kapszczyzna staroście; od gorzałki również „płat" idzie na starostę „za przedane." W siołach ziemiańskich powiatu winnickiego karczem podobnież już dosyć; na podanych siół 15 — karczem tyleż co naj-

mniéj. Nie inaczéj jak w Winnicy było niewątpliwie i w Bracławiu. W Owruczu zaś (1545): karczma jedna miodowa—starosty, nie wypijają w niéj więcéj 30 kadzi miodu do roku, z czego starosta obowiązany chować 30 koni na służbę hospodarską; druga karczma—miejska, z któréj trzymano kiedyś również 30 koni. W r. 1570 w Kijowie (Źr. dz. t. XX, str. 5, 10) wprawdzie dwie karczmy (szynkownie) na zamku „rotmistrzowskie"—„są ku wielkiemu niebezpieczeństwu dla ognia" i winny być, zdaniem rewizorów, zniesione; za to „karczma gorzałczana" miastu Kijowu taki dochód daje, że podług ich rozumienia, winnoby ono przynajmniéj 60 koni na każdą potrzebę przy wojewodzie stawić. Spieszymy uprzedzić jednak, iż miano „karczma," w ówczesném użyciu, częściéj znaczy tyle, co późniéj „propinacya." Inaczéj niż urząd rozumieli swój interes handlowy mieszczanie kijowscy, gdy bowiem 1586 r. wojewoda ks. Konstantyn Ostrogski założył na „górze," oddawna spustoszałéj (dziś. Starym Kijowie), słobodę koło ś. Sofii i dozwolił nowym jéj osadnikom wolnego handlu trunkami, oni zrzucili się z dzierżawy szynków na swym gniazdowym Padole; tak, że wojewoda, daną przez się, wolność obdarowanym odebrał. Ztąd za świadectwem biskupa Wereszczyńskiego (Sposob osady Nowego Kijowa, str. 41), k. r. 1595: „muszkatel, małmazyj, win, miodów, piw, nawet gorzałek, nie wolno (w mieście) nietylko komu przedawać, ale u kogo i kupować, oprócz jednéj karczmy swéj (miejs.) kijowskiéj, a drugiéj biskupiéj." O któréj wszakże dodaje: „która to karczma biskupia opieszałą teraz została", a dawała pierwéj 500 zł. na rok.

Jakiéj wagi były dochody z karczem, a zarazem, jaka doniosłość handlu trunkami w ogóle, po wszystkie czasy, niech świadczy choćby fakt następny (M. L. ks. zapis. VIII, 127): oto r. 1506 jeszcze król Aleksander oddaje Dane Dedkowiczowi na wytrzymanie 230 kop gr. „wołostkę" brahińską; r. 1507 Zygmunt I odbiéra mu ją, a natomiast daje do wytrzymania na dwa lata karczmę czerkaską. Oczywiście stopień dochodu z karczem jak i z myt zależał od ożywienia ruchu handlowego w ogóle: w Żytomierzu naprz. dawały one razem niegdyś rocznie 50, 40 kop gr., w r. 1545 zaś, gdy poczęto, wymijając to miasto, jeździć na Słobodyszcze, oddano je Żydom za 30 kop gr. tylko.

Że sprzedaż napojów gorących w ogóle stanowiła w każdym razie jedną z najpoważniejszych rubryk dochodów miejskich, co miały sobie miasta zapewnione przywilejami królewskiemi, pilnie też one praw swych pod tym względem przestrzegały, broniąc się energicznie od wszelakich nadużyć ze strony. Nie łatwém to je-

dnak było, gdy pomijanie monopolu miejskiego nie mogło nie być ponętném dla innych klas ludności, zapewniając im podobnież piękne a łatwe zyski. Ztąd spory nieustanne: ze starostami, ziemianami, kozakami, a nawet i duchowieństwem. Doznawało tego na sobie najdotkliwiéj miasto Kijów.

Mimo ograniczeń, liczniejsze, zdaje się, były względnie szynki i karczmy w południowym pasie ukrainnym, niż gdzieindziéj. Wszędzie przecież dziać się musiało zarówno dobrze propinatorom etc.; boć to jak ksiądz biskup kijowski (Wereszcz. Sposob osady—str. 40) po swojemu powiada: na Ukrainie gorzałki „na każdą godzinę miast wina używają — którą się pospolstwo mało nie każdy dzień upija, swoją niedolę ciesząc.“ Beauplan zaś, mówiąc o kozakach, zaznacza (str. 339): „ubiegają się między sobą, kto lepiéj potrafi pić i hulać; nie masz (bo) ludu, którzyby mniéj dbał o jutro, jak oni.“

Co do stanu kupieckiego Ukrainy, składał się on oczywiście z wielu pierwiastków etnicznych. Kto w składzie onego przeważał: swoi czy obcy, pochodzeniem tylko, czy wprost przybysze — odpowiedziéć nie łatwo. Przypuszczać należy, że w różnych miejscowościach (miastach) oraz w rozmaitych epokach było rozmaicie. W ogóle pod koniec w. XVI-go stosunek względny żywiołów był jeszcze dosyć chwiejny: tonęły w żywiole miejscowym ruskim dalsze generacye dawniejszych przybyszów—wschodnich przeważniéj, ale też w odwet napływali wciąż nowi—od zachodu szczególnie.

Lud ruski oddawna sam trudnił się handlem. Sól, ryby i t. p. stale, zdaje się, stanowiły przedmiot wyłączny bardziéj jego komercyjnéj zabiegliwości. Spotykamy też do późna świadectwa trudnienia się handlem nawet poddanych dóbr prywatnych. Oto naprz. r. 1618 (Źr. dz. t. XXI, 212) poddani z Wyrłooku (k. Radomyśla) Strybylów „kupiectwem się bawią;“ napadnięci przez sąsiadów swych z Sidorowicz, podd. Olizarów — „różnych towarów“ pozbawieni. Drobni przekupnie po miastach i miasteczkach podobnież jeszcze po większéj części z miejscowego żywiołu. Lecz handel większy spoczywał, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, głównie w ręku obcych—mniejsza, że już przeważnie może na miejscu zrodzonych.

Stosunek wzajemny żywiołów uwydatniał się najwyraźniéj w składzie kupiectwa miasta Kijowa. Rozległy handel przywabiał tu zawsze licznych cudzoziemców. Już w w. XV-m istniała w Kijowie znaczna osada, przybyłych na Ruś jeszcze za Rurykowiczów, Ormian, z których niejeden i własność nawet ziemską w województwie posiadał. W mieście zaś, mocą ustawy króla Aleksandra 1499

stanowią trzecią składową (obok Rusi i Lachów) onego gminę. Koło 1585 (Sarn. Ann.) jest ich tam tyle, co w Łucku i Kamieńcu; k. r. 1596 (Sposob osady — str. 42) „a co bogatszy kupcy są Ormiany.“ Mieli téż w Kijowie w w. XV i Genueńczycy swój dom (dwór) handlowy, który upadł dopiéro po zdobyciu (1475) przez Turków, głównego ich emporium na morzu Czarném—Kafy. W wieku XVI przebywało tu nadto wielu kupców polskich, oprócz mieszczan „sposobu wiary łacińskiéj,“ stanowić mających od czasów króla Aleksandra (Akty. Z. R. nr 155), obok Ormian, gminę odrębną; jak niemniéj — kupców wołoskich, greckich, tureckich, tatarskich, moskiewskich (Anton. Monogr. str. 199). Bezwątpienia po miastach mniejszych było ich téż mniéj znacznie, lecz w ogóle na całéj Ukrainie handel zewnętrzny, zagraniczny, zostawał wyłączniéj w ręku cudzoziemców. U świtu w. XVII-go przybyli do nich jeszcze, akeśmy to widzieli, Gdańszczanie. Handel natomiast wewnętrzny wcześnie poczęli zagarniać w swoje ręce Żydzi.

Żydzi znali Kijów stary i Ruś kijowską od wieków, ale po „licholeciu“ mongolskiem, po „wyjęciu“ tam ludzi przez Tatarów i oni zanikli. Powoli tylko następnie wracali do ponętnéj dla łatwych zysków krainy, w charakterze pośredników drobnego handlu, dzierżawców (arendarzy) myt, karczem, młynów, wyrabiaczy popiołów, saletry, nim się doczekali możności jeszcze większych przedsiebiorstw i obłowów. Pod koniec w. XV-go, zdawało się, iż władza litewska nie będzie Żydów tolerować wcale: 1495 w. ks. Aleksander nakazuje „żydowstwo ze ziemi naszéj precz wydalić" oraz konfiskować dobra nieruchome Żydów; ale zaraz 1503 pozwolił im wrócić w granice w. księstwa. Wprędce zaś znajdują oni wszędy potężnych protektorów, pomiędzy którymi najwybitniejszy — taki Ilija Konstantynowicz ks. Ostrogski. Za jego starostowania w Winnicy Żyd tameczny Michel (1530) kupuje na Wołoszczyznie po dwa tysiące wołów, oraz handluje suknem z Wołochami (Bersz. Lit. Jewr.). Od połowy XVI-go w. już ich po całéj prawie Ukrainie spotkać można: w Żytomierzu r. 1545 „zakupuje myto i gorzałkę“ Żyd ostrogski Moszko; w Winnicy téż r. 1552 Żyd dzierżawi myto; tamże na liście ziemian, składających 1569 r. homagialną przysięgę Koronie znajdujemy (Źr. dz. t. XX) podanych, z imienia i nazwiska, 15 téż (znaczniejszych?) Żydów; w r. 1570 trzymają oni arendy karczem i myt — w Kaniowie i Czerkasach. W Kijowie jednak pod koniec XVI-go w. nawet (1595) Żydzi jeszcze bez znaczenia widocznie: biskup Wereszczyński w projekcie swym (Sposob osady — 44) ozna-

czenia stałych dni targowych w tygodniu dla „trzech miast Kijowskich,“ wybiera dla „miasta biskupiego“ (na Szczekawicy) sobotę.

Z początkiem XVII-go w. jednak umieją Żydzi ubocznemi drogami wcisnąć się i do Kijowa. Już r. 1602 poborcą ceł kijowskich, pomimo wyraźnego zakazu prawa (Vol. leg. I, f. 524; II, f. 624, 691) jest Żyd Bohdan (Źr. dz. t. XXI, str. 88). Wprędce zaś wywołują tam skargi na się. W r. 1619 skarżą się tedy mieszczanie kijowscy, że „im wielka krzywda i nieprawość” od Żydów i innych obcych kupców się dzieje. „Niewierni” Żydzi bowiem i inni kupcy z miast tak królewskich jak i szlacheckich, przyjeżdżając do Kijowa, pominąwszy dom gościnny miejski, na gruntach i w domach szlacheckich i kozackich gospodami stają, w handlach i kupnach ich przeszkody wielkie czynią. Nadto Żydzi ci, w mieście Kijowie, domy sobie budować i tam mieszkać obopólnie i handle swoje odprawować i rozszerzać, i mieszczanom starożytnym do końca pożytki ich kupieckie odjąć — chcą i usiłują. W odpowiedź na co Zygmunt III, uwzględniając owe skargi mieszczan kijowskich, „jako ludzi ukrainnych,” pełniących ciężkie obowiązki gotowości zbrojnéj, przychyla się chętnie do ich prośby. Témbardziéj, że pragnie zapobiedz, aby miejsce to pograniczne, na którém rzpltéj tyle zależy, nie przez Żydów, od których obrony i stróży od nieprzyjaciela koronnego żadnéj słusznéj być nie może, lecz przez ludzi ukrainnych kupieckich rozszerzało się i mnożyło. Co więcéj, że w Kijowie i przedtém Żydzi nigdy nie mieszkiwali, gdyż i niewolno było. Osobnym przywilejem zatém zapewnia Kijowianom przestrzeganie ich praw wyjątkowych ze strony obcych kupców, Żydów i gości w ogóle, obowiązując ich do stawania jedynie w miejskim domu gościnnym i prowadzenia czynności komercyjnych tylko za pośrednictwem mieszczan kijowskich. Co zaś do Żydów wyłącznie, najsurowiéj król daléj nakazuje i utrzymywaném miéć chce, aby ani jeden z nich, w mieście Kijowie, pod prawem zamkowém i w części miasta biskupiéj, jak i na gruntach metropolickich, archimandryckich, klasztornych, szlacheckich, kozackich i nijakich inszych, domów kupować, arendować i tam w mieście Kijowie mieszkać i fundować się nie śmiał, ani ważył się. Nikomu téż ich na swój grunt przyjmować nie będzie wolno. Gdyby zaś który z nich tak samowolnym i uporczywym się okazał i odważył się co poczynać z ujmą praw miejskich, takowy traci swój towar i cały majątek, którego połowa ma iść na zamek, a druga na ratusz — bez apellacyi (Sbor. Much. nr. 115). Ale, zdaje się, niewiele to wszystko pomogło — i Żydzi sadowili się w Kijowie coraz mocniéj.

Tymczasem użalania się na nich już ze wszystkich stron dochodzić poczynają i wywołują słuszną, choć bezskuteczną niemal interwencyę władzy. Oto w przywileju Zygmunta I-go dla miasta Bohusławia 1620 r. czytamy (Star. Polska): „A iż nam uskarżali (mieszczanie) na opresyą żydowską, rozkazujemy: aby żaden Żyd browarów, słodowni i ożnic arendą nie trzymał, gruntów miejskich nie zajmował... A iż tam, znać, jest niemała liczba Żydów, którzy niemal wszystek rynek i ulice osiadłszy, swemi domami, kramnicami, także innemi wymysłami w pożytkach ich przekazy rozmaite czynią, ześlemy komisarzów, aby oni... różnice ich wszystkie rozeznali..." Byłoż to skutecznem? I pytać napróżno, gdy się wié, czy choćby domyśla tylko, że umieli Żydzi zawsze znaléźć sobie nietylko protektorów, lecz i wspólników. W innem miejscu bowiem występuje i to na jaw wyraźniéj. W Żytomierzu mianowicie zaznaczają lustratorowie 1622 r. (Arch. kij. cz. VII, t. I, 334): „Stanąwszy przed nami mieszczanie żytomirscy uskarżali i protestowali na podstarościego i na Żyda arendarza (połowy starostwa) Szlomę Fabisiewicza, że ich wedle przywilejów królów polskich nie zachowują i one łamią, jarmarków im i targów wedle praw ich nie dopuszczają i ludzi, tak kupieckich, jak i targowych wszelakich tém samém odganiając, że z nich samych i gości, do miasteczka przyjeżdżających, myto niesłuszne... biorą, przez co ludzie targowi wstręt wielki biorą, do naprawowania mostu nad prawo ich wyganiają, w jarmark nie dopuszczają im, według praw ich, piwa, miodu, gorzałki szynkować.“ — Co przedstawia nam jakby normę wszelkich skarg i użalań się podobnych.

A w tymże 1622 r., oprócz żytomirskiego, dzierżawią Żydzi inne jeszcze na Ukrainie starostwa: korsuńskie i bohusławskie trzyma białocerkiewski żyd Kopel — nawet po śmierci starosty (Snopkowskiego), który mu je w arendę był puścił; lubeckie — którego arendarz „intercyzy“ nawet nie chce lustratorom pokazać; Niechworoszcz—od Fr. Tyszkiewicza—Żyd Szmejer, gdzie prowadzi bezecną gospodarkę i również lustrować dzierżawy nie daje; w starostwie bracławskiem Żyd niemirowski trzyma (1616 r.) miasteczko Maczochę (Źr. dz. t. V).

Cóż dopiéro, gdy się zwrócimy do dóbr prywatnych: widzimy, jak od samego początku w. XVII-go dzierżawa takowych przechodzi coraz bardziéj w ręce Żydów. Rzućmy tylko okiem choćby na kilka tych przykładów, jakich nam akta trybunalskie (Źr. dz., t; XXI), z powodu spraw spornych, dostarczają. Tak r. 1602 Abraham, Żyd berdyczowski, dzierżawi wieś Żydowce u Tyszkiewiczów

r. 1609 Żyd pawołocki (kst Rożyńskich), Michet, trzyma arendą u Butowiczów dobra ich, miasto stare i nowe Brusiłów „z lasami i wsiami,“ a ks. Rożyński broni go od dziedzica; w tymże (1609) roku Żyd Penchas arenduje m. Białogródkę i tam (niesłuszne) myto pobiera, o co go przeor Dominikanów kijowskich pozywa; 1618 Żyd kijowski Abram trzyma majątek Buhajówkę Charlęskich; 1624 Żyd białocerkiewski, Szlomowicz, trzyma od Hier. Chodkiewiczowéj, we włości pawołockiéj Stroków, Buki etc.; w Bracławszczyznie dzierżawi 1618 Żyd pohrebyski Plisków kst Ostrogskich; za Dnieprem trzyma Żyd 1623 m. Boryspol i pobiera myta nieuprawnione. I t. p. daléj. Wszelka zaś dzierżawa żydowska połączona oczywiście z bezpośredniém spieniężaniem wszelakich nabytków rabunkowéj gospodarki.

Oddają się téż Żydzi bardziéj wyłącznemu wyzyskowi saletry, popiołów i t. p. (Źr. dz. t. XXI). W r. 1618 „mogiły“ na saletrę wyrabia „na gruncie Sotnikowskim (za Dnieprem, na Kurani wpad. do Trubeża) Łozków, Żyd perejasławski, Szloma Jurowicz; 1622 r. Żydzi téż perejasławscy najeżdżają (z upoważnienia kst Wiśniowieckich widocznie) horodyszcze Bilsko do Hlińszczyzny (na Worskle należące; rozkopują tam wały (dla saletry), o co ich Proskurowie, jako domniemani dziedzice, pozywają; podobnież i o toż samo pozwani Żydzi z Białocerkwi (zadnieprzańskiéj), Mirogrodu i Łubien. W tymże roku skazani téż Żydzi korsuńscy na zapłacenie dziedzicom (Orelskim) 10 tys. zł. p. „za zrobienie mogiły Kosmychy na saletrę,” wypalenie „puszczy“ Kozłowéj i wyłowienie z jezior ryb oraz zwierza na gruncie Orelskim—za Dnieprem, poniżéj Worskły. W roku 1624 Żyd chwastowski, Beniaminowicz, wyzyskuje ,,popielarnię“ Majaki ,,na pustych gruntach chwastowskich“ (biskupich) oraz mogiłę ,,Missakuna“ (?) zwaną.

Do wszystkiego się Żydzi rzucają. Niema co już wspominać o licznych dzierżawach karczem i młynów etc. Wcześnie nawet występują oni jako agenci handlowi latyfundyj: tak 1602 r. naprz. Żyd pohrebyski Szmerń (kst Zbarazkich) jeździ do Polski (?) w sprawach handlowych (Źr. dz. t. XXI, 65).

Umyślnie tu dotknęliśmy tylu szczegółów, wybiegając przytém nieco naprzéd po za zakres w. XVI-go, aby tém dotykalniéj wskazać, z jaką szybkością Żydzi, pod koniec tego wieku bez znaczenia jeszcze prawie, rozpanoszyli się po Ukrainie. Chociaż w pierwszéj ćwierci w. XVII-go nie zdołali oni jeszcze zdobyć owéj złowrogiéj potęgi, jaka wystąpi dopiéro po r. 1625, po doraźném zgnieceniu tam kozactwa.

Rozrost tak szybki Żydów po Ukrainie niepojętym jednak prawie się staje w obec tego, co o nich, jako i o Ormianach, trzyma ówczesne społeczeństwo miejscowe, a czego wyrazem jest sam biskup kijowski, Wereszczyński, znany przyjaciel kozaków, który tak się oto w swéj „Publice“ (str. 19) odzywa: „Co się tyczy Ormianów... świadomiśmy tego dobrze, iż jako Żydowie są naszymi jawnymi zdrajcami, Cygani są naszymi złodziejami... tak Ormianie są pewnymi nas do obcych narodów wydawcami. A zaż bowiem nie Żydowie, przez Ormiany i Cygany tajemnice i sprawy wszystkie królestwa polskiego do obcych narodów odnoszą? Żydowie z Cygany a z Ormiany mało nie są sobie w sprawach podstępnych cioteczni rodzeni bracia, z których korona polska większą szkodę ma, aniżeli pożytek.“

Ale czy po tém wszystkiém, cośmy tu powiedzieli, mamy uważać handel, samego Kijowa nawet, za mało ożywiony, a stan kupiectwa kijowskiego za niezadawalający, dla tego, że tenże ksiądz biskup pesymistycznie o tém (w Spos. osady n. Kij. 1596 r., str. 42) się odzywa — rzecz inna. Zgoda, że Kijowianie „zgoła zniskądinąd żywności nie dostają, chyba z rozmaitych (chudych) handlów swych;” lecz dla czego „chudych?” Zgoda, że „dostając towarów u postronnych narodów, po różnych monarchiach towary swe odbywają i ztąd a nie zinąd pożywienia swego (nędznego) dostępują;“ lecz za cóż „nędznego?“ Zdawałoby się zupełnie przeciwnie—i nie osłabia to wcale naszego co do tego przekonania, że „a co bogatszy kupcy są Ormiany.“ Widzimy bowiem, pomiędzy innemi, jak bogatsi kupcy kijowscy, powoli, w szeregi ziemian się wciskają i na możnowładzców się nawet (jak Chodykowie Kryniccy) wynoszą.

Gdy teraz zwrócimy się do wywnioskowania liczby głów ludności miast i miasteczek Ukrainy, oddającéj się handlowi, albo przynajmniéj względnego onéj stosunku liczebnego do innych warstw miejskich, z góry musimy wyznać, iż tu brakuje nam zupełnie wątku. Oczywiście, rozumiéć ktoś może, iż dostarczyłyby go nam w pewnéj mierze już same (wydane w „Źr. dziej.“ oraz „Arch.“ kij.) wykazy poborowe. Ale cóż: najprzód nie posiadamy takowych dla każdéj dzielnicy Ukrainy, w ważniejszych choćby dobach ekonomicznego rozwoju; a daléj—tam, gdzie je mamy nawet, znajdujemy zaznaczane nie tyle kategorye mieszkańców podług ich zatrudnień, ile podług różnic społecznych, zresztą bardziéj niż to—podawaną ilość domów klas wszelakich, bez wskazywania zawodu onych właścicieli. Ledwie czasem są wyosobnieni, obok rzemieślników, drobni przekupnie, jako płacący pobór nie z domu, lecz od swego

procederu. Tak naprz. w wykazie kilku miast królewskich z roku 1570—71 (Źr. dz. t. XX) widzimy tylko, iż w stołecznym Kijowie było zapisanych: na 946 dymów ogółem, rzemieślników 71, przekupni 70; w Żytomierzu zaś, Owruczu i Lubczu—jeszcze w mniejszym stosunku. Co świadczy (przynajmniéj), jak nieznaczna jeszcze ilość ludzi po większych miastach nawet północnéj Kijowszczyzny oddawała się, w epoce unii, choćby drobnemu tylko handlowi wyłącznie.

Na zamknięcie obecnego zarysu pozwolimy sobie podać tu nieco, choć zbyt rozproszonych tylko, dat, dotyczących tak miar ówcześnie na Ukrainie używanych, jako téż i cen w różnych jéj miejscowościach w obiegu będących.

Miary, jak naturalna, w tak rozległéj krainie, nie były wcale jednostajne: każda prawie okolica miała swój rodzaj miar, a jeśli nazwy ich gdzieindziéj téż się powtarzały, objętość ich była różną. Ztąd — wyróżniano je czasem epitetem miejscowym: naprz. kłodą „tulińska" koło Żytomierza, na rozgraniczu zaś z Wołyniem—maca „zwiahelska," miarka „ostrogska" i t. p. Występują tedy: w Owruczu (1545 r.) solanka (zboża), wiadro (miodu); w Kijowie (1552, 1622) miarka (zboża, jakich to miarek 37½ daje zwykle 150 kop żyta czy owsa); stóg (siana) zawierający 10 wozów, kadź o 15 wiadrach, oraz bielec (miodu); w Żytomierzu—podobnież; w poblizkim Tulinie (Leszczynie) 1581 r. kłoda (zboża), sterta (siana) wozów 18; w Kaniowie (1552) kadź i łagun (miodu), wiaderce (wódki); w Czerkasach (1552) osmak (zboża) o 5 solankach, czwert' równająca się ¼ solanki; w Bracławiu (1552 r.) trzeciennik (zboża), żeleznik (miodu); w Winnicy (1603) rączka (miodu), w Lityni (1616) trzeciennik (zboża), wóz (siana). Z ożywieniem się handlu z Gdańskiem zjawia się i łaszt (Kaniów 1637 r.).

Ceny oczywiście były zmienne, nietylko względnie do czasu, lecz i okolic. W Kijowie (we włości): w 1552 r. dawano na 1 „kunicę" 7½ do 12 gr., na 1 „jałowicę" od 2 gr. do 5, kadź miodu ceniono 9 kóp, 15 gr.; 1622 r. miarka żyta 3 zł. p., owsa zł. 2, gr. 15, siana wóz gr. 3, miodu kadź zł. 20, bielec — od zł. 1, gr. 7, den. 9 do zł. 2 gr. 15, kura gr. 1, den. 9. W Ostrzu 1616 kadź miodu fl. 10. W Żytomierzu 1622 r. żyta miarka zł. 3, owsa — zł. 1, gr. 10, kadź miodu zł. 16, wiadro zł. 5. W poblizkich Toporyszczach 1584 r. wół 2½ kóp gr. lit., krowa 2, jałowica 1½; koni zaś: cug poczwórny kóp 50 (45), pocztowy wałach 20, podjezdek 7, klacz 5, nachodnik 10 (8), stępak 15 kóp. W Kaniowie 1552 r.—z kadzi miodu, za sytę 8 kóp i gr. 4, za wosk gr. 34, łagun miodu 15 gr., wódki wiaderce 40 gr., lisica 12 gr.

W Winnicy 1603 r. ul z pszczołami i miód 5 kóp gr. litew., rączka miodu przaśnego kóp 6. Wykaz cen przedmiotów zamożności kmiecéj na Ukrainie przedstawia nam bardziéj szczegółowo (podany w Arch. kij. cz. VI, t. I, nr. 64) regestr 1587 r., dotyczący włości tulińskiéj Hornostajów w powiecie żytomirskim. Cenione tam — najprzód z odzieży: żupan luński z 24 guzami srebr. 8 kóp gr. lit., giermak téż luński kóp 3 (3. gr. 20), kożuch barani 80 gr., czyntokora (?) jedwabna 1 kopa, siermięga 1/2 kopy. Daléj — koc biały 1/2 kopy, płachta „napołna," z „czercem" (?) tkana („czerczata") 1 zł. Z nakryć głowy: kołpak lisi, suknem utrefinowém kryty, gr. 8, czepiec tkany 2 1/2 gr., namiotek nierozrzynanych 1 łok. 2 (2 1/2) gr. Płótna: cienkiego 1 łok. 2 osmaki (2 1/2 gr.), kądzielnego—2 gr. Koszula żeńska z płótna tkackiego 1 zł., męzka 12 gr. Z narzędzi, broni etc. — żelaza pługowe zł. 1, siekierka gr. 10, rusznica z prochownicą gr. 16 1/2, rohatyna 12 gr., siodło 1 kopa, leziwo rzemienne 80 gr. Nakoniec: wół 2 (2 1/2) kóp gr. lit., koń jezdny 5 1/2, 6, 6 1/2 kóp.

Tyle oto tylko, tymczasem, zdołaliśmy zebrać rozproszonych danych, mogących nam nieco przynajmniéj wyświetlić stan handlu na Ukrainie w ciągu XVI-go i na pocz. XVII-go w.

Aleksander Jabłonowski.



BIEDRONIE.

POWIEŚĆ*).

VI.

Minął kwiecień, siewy skończone, ziemniaki zasadzone w polu, robota ustała, ludzie prosili Boga o dészcz i ciepło.

Liście okryły drzewa, kwiaty ciekawie wyglądały z po za traw, ptaki wróciły, zapachy rozpychały płuca, południowy wiaterek przeciągał, upajał i odmładzał.

Dwoje dzieci stało na zieloném błoniu.

— Odniosłaś?...

— Odniosłam, spotkała mnie panienka i odebrała książki.

— I cóż mówiła?

— Ej, nic—nic takiego—pogłaskała mnie i tyla.

— Musiała coś przecie przemówić.

— Zabaczyłam.

— Nie pytała się o mnie?

— Tyle, że ino zagadała, la czego sam Jaś nie odnosi.

— Cóżeś powiedziała?

— Nic, że się wstydzisz, że włóczysz owies, że nie masz czystego przyobleczenia—różności.

---

*) Dalszy ciąg—Patrz „Ateneum" zeszyt kwietniowy r. b., str. 7.

— A panienka?

— Śmiała się, bo jest dobra i przyścipna.

Jaś posmutniał, Zosia milczała.

— I czegóż się markocisz—zagadała.

Chłopak smagał batem murawę i nie odpowiadał.

— Panienka ładna—odezwał się znienacka.

— Co nie ma być ładna? Szkarłatna na niéj sukienka. A jaka ci dobra!...

— Pytała się o mnie?...

— O wszystkich, o matusię, Kundę, Biedroniów.

Dziewczynina się rozgadała, chcąc smutek chłopca rozegnać, rozruszać go, rozweselić, zająć światem, ludźmi, sobą. Tém więcéj, że Jaś codzień bardziéj smutniał, zapatrywał się coraz częściéj, coraz rzadziéj odzywał się do ludzi i do niéj... Lęki ją brały i ściskały serce, rada była uciec od nich, odpędzić je—wracały.

— A kto wié—mówiły we wsi kobiéty.— Może on widzi aniołów, abo samą Najświętszą i la tego się tak zapatruje.

— Pewno aniołów, bo gdyby ujrzał świętą Panienkę, toby przecie padł na kolana.

Słyszała Zosia rozmowy kobiét i jeszcze więcéj zaczęła się o chłopca bać.

— Aniołów dosyć będzie miał w niebie, a na ziemi niechaj przecie na mnie spojrzy i do mnie się garnie.

— Zosiu, mnie się cnie bez książki—szepnął.

— Przysiągłeś Kundzie—zawołała wystraszona.

— Przysiągłem, ale przecie wiész, że i pijak przysięże, a cnie mu się, że rady sobie dać nie może.

— Więc cóż myślisz? — spytała, wlepiając w niego wystraszone oczy.

— Matusia twoja...

— Za nic, za nic, nie mów jéj, nie proś, boi się Kundy, zarzekła się.

Chłopak z coraz większą zawziętością smagał batem murawę.

— A ty?—szepnął.

— Ja... ja? — zbladła. — Jaś, ty nie masz upamiętania nademną. Jabym nosiła na własne utrapienie? Jak ino dorwiesz się książki, to i nie spojrzysz na mnie.

— No to będę patrzał—rzekł poważnie.

— Co pleciesz, kiej w książkę ślépia wlepisz, to cię już nie ma na Bożym świecie. Cóż to, nie widziałam?...

— Pójdziesz, to cię będę już tak tulił, tak ci przypochlebiał, tak wlubiał się w ciebie! Zosieńko, mój ty skowronku, co ludziom na zagonie przyśpiéwujesz, mój ty gołąbku, co gruchaniem ludzi weselisz...

Zosia przycisnęła uszy dłońmi.

— Nie buntuj mnie, bom przysięgła. Serce mi się kraje, że cię nie mogę usłuchać i wygodzić ci.

Chłopak pochwycił ręce dziewczyny, odciągnął od uszu i szeptał:

— Stokrotko moja, kwiateczku mój!

— Jaś nie mów tak słodko, bo mi się w głowie mąci.

Oczy jéj zaświéciły łzami, zerwała się i uciekła.

— Nie chcecie, to pójdę sam—zawyrokował.—W niedzielę przyoblekę się w nową płótniankę, krakuskę nasadzę na bakier, do koszuli wstążkę, buty, pasek nabijany, stanę se tuż wele dworu i będę czekał...

Wyprostował się, rozweselił i na uciechę z bata trzaskał.

— Jak raz znajdę drogę, to potém będę latał, kiej mi się żywnie spodoba, a u was nie będę się prosił. Cóżto, ja, syn gospodarski, jedynak, najbogatszy z całéj wsi, żebym se nie mógł choćby godzinkę bez dzień z książki poczytać?

Zaczął z radości tańczyć po murawie, widziała zdaleka te skoki Zosia i zaciekawiona wróciła.

— I czegóż—spytała.

— A nic, tak sobie! Kiej nie chcecie, to i tak będzie ze mnie parobeczek walny.

— Lubię cię, okrutnie cię lubię, kiej ino parobeczkiem jesteś.

Jaś ujął się pod boki i gwiżdżąc, zaczął tańczyć krakowiaka. Zosia stanęła przed nim i porwana rytmem muzyki, zaczęła drobić. Chłopiec się śmiał, Zosia mu pomagała. Wzięli się wpół i krakowiak szedł, aż serce rosło. Zielona murawa pod ich stopami,—wielkie niebieskie sklepienie nad nimi, ani żywéj duszy—zdawało się, że jedni na całym świecie, dwoje dzieci — dwa atomy i jednocześnie dwa światy...

W niedzielę ludzie gromadkami ciągnęli do kościoła. Jaś obok matki z wielką książką do nabożeństwa, za nimi Kunda i Tyksina, w pośrodku Zośka w niebieskim gorsecie, sznurowanym różową wstążką, w białéj chusteczce na głowie i czerwonych koralikach na szyi.

Kobiéty patrzały na dwoje tych dzieci z pewną lubością i zachwytem. Z oczu chłopca wyglądała rzewność i rozum, Zosia, biała i różowa jak rajskie jabłuszko, strzelała modremi ślépkami z po za białéj chusteczki. Nawet matki, które miały synów i córki w wieku Jasia i Zosi, nie zazdrościły im ani urody, ani lgnięcia do nich ludzi.

W kościele dzieci uklękły obok siebie, spojrzały sobie w oczy, uśmiéchnęły się i przywitały.

— Będziesz służył do mszy?—spytała Zasia.

— Dziś koléj na Walka i Stacha—oni służą.

Rad był, że nie służy i jakiś wesół, chociaż niespokojnie wodził oczami po kościele.

Przed wielkim ołtarzem powstał lud, zaszeleściały suknie, do kościoła weszły panie.

— Która nasza panienka?—szepnął do Zosi.

— Ta w słomianym kapeluszu, w błękitnéj sukience.

— Ładna i jakaś ci dobra.

— A nie mówiłam?... Widzisz, spogląda na nas, zobaczyła mnie i głową mi kiwnęła.

Jaś wpatrywał się w panienkę, jak w obraz, że aż Zosi zrobiło markotno. Trąciła go łokciem, szepcząc:

— A nie wpatrujże się tak, jakbyś świętą zobaczył. Ludzie zmiarkują i będą się śmiać.

Dzwonek u wyjścia z zakrystyi, organy na górze, dały znać o rozpoczynającém się nabożeństwie. Jaś roztworzył swoją książkę, Zosia swoją i zaczęli czytać półgłośnym szeptem. Chłopiec co chwila odrywał oczy od książki, przenosząc je na panienkę. Rad był oswoić się z jéj widokiem i ośmielić do niéj.

Po skończoném nabożeństwie i po pokropieniu wysunął się przez zakrystyę z kościoła i pogalopował co sił do dworu. Stanął przed gankiem, czapkę zdjął, serce mu biło, bał się, sam nie wiedząc czego, rad był uciec, a stał i czekał.

Koła zaturkotały po zwirze, powóz się zatrzymał przed gankiem. Jaś onieśmielony ustąpił i dopiéro, gdy ostatnia wysiadła panienka, zmocował się na odwagę, podszedł ku niéj i pocałował ją w rękę.

— Pewnoś Biedrończyk Jaś?—zapytała.

— Tak—szepnął.

— Domyślam się, po co przychodzisz. Wdziéjże krakuskę. — Nasadziła mu ją na głowę. — Wejdź tą furtką do ogrodu i zaczekaj na mnie.

Chłopakowi z radości o mało serce nie wyskoczyło. Rozpromieniony, pobiegł do ogrodu, chodził, rozglądał się i chciał układać w głowie to, co miał powiedzieć panience, lecz nie mógł. W głowinie mu wciąż kotłowały dwa wyrazy: ładna jest i dobra! O, bardzo dobra!—powtarzał—okrutnie dobra. Jakie ci tu kwiaty—a jakie drzewa, tak samo jak w książce opisuje, a panienka jest królewna.

Zaszeleściała suknia i zwir pod stopami, obejrzał się, panienka z odkrytą głową pod parasolką biegła ku niemu.

Chłopak ściągnął szybko czapkę.

— Chodźmy pod cień lip, będzie nam przyjemniéj.

Poszła naprzód, za nią nieśmiało Jaś. Usiadła na ławce, przywołała go do siebie. Zbliżył się, stanął, spuścił oczy.

— Przyszedłeś do mnie po nowe książki—nieprawdaż?

— Prawda—szepnął.

Ognie radości buchnęły mu na twarz.

— Czekałam na ciebie. Myślałam sobie, że ani matka, ani Kunda, ani Zośka nawet nie zmogą cię, przyjdziesz—i przyszedłeś.

Chłopiec rękę panienki przycisnął do ust.

— Była u mnie Kunda, zaklinała, prosiła, aby ci książki nie dawać. Mówiła, że się w nie wlepiasz jak pijak, że o Bożym świecie zapominasz, że się zagubiasz. Prawda to?

Jaś miął czapkę i milczał.

— Chodźno bliżéj.

Zrozpaczony, przysunął się. Panienka ręką odgarnęła mu włosy z czoła i pogłaskała.

— A jak nie masz książek, cnie ci się za niemi?...

— Okrutnie, że sobie miejsca znaléść nie mogę.

— I nie będziesz się w nie wlepiał bez upamiętania?...

— Nie będę.

— I nie pokażesz ani Kundzie, ani Zośce?

— Mało to miejsca do schowania—zawołał.

Nadzieja wstępowała mu w serce, rumieniła twarz, oczy rozświécała. Panienka wpatrywała się w niego.

— Biédnyś ty, pionierze cywilizacyi — mówiła półgłosem do siebie—możesz paść.

— A niechta odparł z rezygnacyą.

— Zrozumiałeś, com mówiła?

— Tylo tyle, że mogę paść. A niechta! Ludziska padają jak muchy, to i na mnie byle kiedy przyjdzie koléj.

— Nie obejdziesz się bez książki i musisz ją miéć? ..

Chłopak radby zawołać, że musi, lecz nie śmiał. Patrzał miłosiernie na panienkę i oczami mrugał.

— Opowiész mi, jak przeczytasz dokumentnie?

— Opowiem wszystko. Jak ino raz przeczytam—pamiętam długo, długo...

— Zaczekajże, przyniosę ci.

Chłopak drżał radośnie, patrząc na zgrabną postać, przemykającą się cicho wśród krzewów. Zdawało mu się, że śni. Tyle w wyobraźni swéj widział trudności, tyle przeszkód w dostaniu książki a książka jest...

— Dobra, dobra—powtarzał w duchu z zachwytem uniesienia.

Niedługo czekał. I znowu na murawie ogrodu zamajaczała jasna sukienka, a w słońcu kąpała się parasolka. Jaś patrzał, oczy mrużył i dłoń przykładał do czoła — zobaczył i uśmiéchnął się. Panienka trzymała w ręku książki.

— Jestto dalszy ciąg téj samėj historyi, którą czytałeś. Jak mi opowiész, dostaniesz więcej. Mam ich dwanaście.

Chłopak wyciągnął drżącą rękę.

— A gdzież schowasz, żeby nie zobaczyli?

— Gdzie? za pazuchę!...

Odpiął sukmankę, odchylił koszulinę, wsunął książki i zapiął się.

— Kochasz ty Zosię?

Na chłopaka buchnęły ognie.

— Kocham—szepnął.

— I chociaż ojcowie będą przeciwni, ożenisz się z nią?

— A z kimżebym? Z żadną, ino z nią. Od maleńkości razem. Jakżeby to było, gdyby mi brakło Zośki?—zamilkł.

— Cóżby było?—spytała panienka.

— Poszedłbym za nią.

— Gdzie?...

— Choćby na tamten świat — odrzekł spokojnie, lecz odczuwało się prawdę tych kilku wyrażeń chłopca.

Ujęta szczerością i dzielnością chłopca panienka, pogłaskała go.

— Mój pionierze, nie będziesz ty szczęśliwy na świecie.

— Jak Bóg da—pocałował panienkę w rękę i odszedł.

Z początku wolno, późniéj coraz prędzéj, w końcu puścił się galopem. Radość go gnała.

Panienka patrzała za nim.

— Sympatyczny chłopczyna. Skąd się wziął taki syn u tych chciwców i skąpców? Co wobec tego faktu powié nauka o dziedziczności?... Z rozkoszą i ciekawością będę śledzić rozwijające się siły i pragnienia biédnego pioniera...

Tymczasem Jaś pędził bez upamiętania, aby jaknajprędzéj zalecićć do domu i książkę schować. Stérczała mu z za sukmanki.

Za stodołą na początku łączki stała samotna, stara, pochylona wiérzba, wewnątrz spruchniała; dopadł do niéj, znaleziony patyk wsunął wewnątrz wiérzby na poprzek, książki na nim położył i rad, że nikt ich nie znajdzie, powrócił do chaty.

Zosia z Kundą stały we drzwiach, Jaś poskoczył ku nim.

— Ponoś do dworu latał—odezwała się Kunda—i cóżeś wskórał?

— A nic,—panienka mi powiedziała, że była u niéj Kunda i tyle namolestowała, aby mi książek nie dawać—i nie dała.

Zosia spojrzała na Kundę.

— Nie dała? pokaż.

Podniósł w górę ręce, obrewidowały go, książek nie znalazły, lecz radość chłopca była widoczna, ukryć jéj nie umiał.

Kunda i Zosia patrzały na siebie i oczami zdawały się pytać wzajemnie, ażali panienka ich nie zdradziła?...

— Zobaczymy—szepnęła do Zosi—prawda sama wypłynie.

Po obiedzie chłopiec się rozzuł i przewdział, tylko krakuskę z pawiém piórkiem zatrzymał, zasadzając ją z fantazyą na bakier, pochwycił bat i razem z Zosią pognał bydło na błonia.

Dawno go nie było na błoniach. Dzieci go otoczyły, dziwując się krakusce i pawiemu piórku. Bawił się z niemi, uganiał, przeskakiwał rowy, aż raptem znikł w brzozowych krzakach i już go ludzkie nie widziało oko.

Napróżno Zosia za nim patrzała, wyglądała go, czekała. Nie pokazał się.

Przyczaił się chwilkę w krzakach, wypadł z brzezinki, skręcił na ojcowską łąkę, wydobył z wiérzby ukryte książki, przemknął z niemi do stodoły, zamknął się, ułożył na sianie i czytał.

Spragniony, rozkoszował się, chłonął, wlepiał w nią bez upamiętania. Godziny mijały jedne za drugiemi, on czytał i czytał.

Dopiéro zmrok obudził go, a strach przed Zośką i Kundą otrzeźwił. Schował książkę, wysunął się ze stodoły i poszedł wprost do izby do matki. Przeczuwał, że tu znajdzie zasłonę przed dziewczyną i Kundą.

Siadł przy otwartém oknie, patrząc na dziedziniec. Matka zbliżyła się do niego, pocałował ją w rękę, głaskała i bawiła się jego włosami miękkiemi. Robiła to z zadowoleniem, a gdy Kunda i Zośka wpędziły bydło do obejścia, z pewną dumą, jak gdyby pokazać im chciała: patrzcie, nie odbierzecie mi go, przyszedł do mnie sam.

Kunda spojrzała na Zosię i wzruszyła ramionami.

— Przecie to matka—odpowiedziała dziewczyna.

Podczas doju Jaś przyszedł do stajni.

— Uciekłeś—z żalem przemówiła do niego Zosia.

— Spać okrutnie mi się chciało, a potém matusia zawołała mnie do izby.

— Jutro?

— Jutro rano z tatusiem jadę do Borzęckiego lasu — wrócimy na wieczór.

— A po za jutro?—spytała.

— Przylecę do was,—przecie ujrzymy się w południe.

Wybiegł ze stajni.

Dziewczynie się zdawało, że jakiś chłód powiał od chłopaka. Zaczynała przypuszczać, że był we dworze, panienka ją zdradziła i książkę mu dała.

— Kunda mówi prawdę, ta książka, to nasze utrapienie i nieszczęście. Wszystko się dobrze składało, — ta szelma z piekła rodem wlazła i psuje.

— Czego ślépia wytrzeszczasz i patrzysz nie patrzący — ofuknęła ją Kunda. — Co ma być, to będzie. Głowę dam, że był we dworze i książkę dostał. Wierz dworowi, on cię zawsze oszuka i w pole wyprowadzi. A com się jéj nie naprosiła, nie nazaklinała. Nic nie pomogło, uwzięła się i dała... Jéj się zdaje, że chłopak, to tak, jak ona, co ją umyją, ubiorą jak lalkę, nakarmią i dadzą książkę w rękę, a ona nie ma nic więcéj do roboty, jak ino kartki przewracać i ślépia na książkę wytrzészczać. Czy się w nią wlepia, czy przy niéj głupieje, to jéj wszystko jedno. Inaczéj z chłopem, co dziesięcioma palicami musi...

— Jaś bogacz—przerwała Zosia.

— Takie ci i chłopskie bogactwo. Nie pilnuj rok, a skapiesz do cna.

Kunda była zła, Zosia nie chciała jéj drażnić—zamilkła.

Zgnębiona i smutna wracała do domu, niosąc pod zapaską garnuszek mléka.

— I co mi po niém? Co mi po urodzie, kiej go tracę? Ucieka odemnie, od Kundy. Matka go ciągnie... Ta szelma — myślała o książce—ona mi go kradnie. A bodajeś z piekła nie wyszła. I ta panienka, niby taka dobra, że do rany przyłóż, a czy ci taka głupia, czy zbytnica, że umyślnie na złość nam robi!?... Musiał ją molestować, prosić, ślépiami zawracać, łasić się —on to potrafi. Ho, ho!—on to potrafi, jak nikt... I co teraz?

Zaczęła cicho, rzewnie płakać. Płacz ją coraz więcéj rozbiérał i rozżalał, sprawiając jéj ból i zarazem dziwną rozkosz. Czuła, że nie poradzi, książki nie zmoże, że musi się pogodzić i przez nią serce chłopca dla siebie zachować. Nie umiała sobie téj kombinacyi wyrozumować, lecz ją odczuwała.

Otarła oczy zapaską, siadła na murawie, odpoczęła i wolno, czekając, póki jéj twarz nie oschnie, wróciła do izby.

Nazajutrz Biedroń i Jaś w samo południe wrócili z lasu, wioząc pod niebo wyładowaną furę gałęzi. Chłopiec z parobkiem zrzucali, pomagała im Zosia odrzucając cieńsze gałązki na kupę.

Jaś się śmiał i baraszkował, parobek mu pomagał, żartowali z dziewuchy, jéj siły i zręczności.

Kunda i Zosia miały chłopca na oku. Widziały, jak po obiedzie skradał się do stodoły i zamknął się w niéj.

Wieczorem, po spędzeniu bydła, Kunda podsadziła Zośkę pod belki. Szpara była tak wielka, że dziewczyna z łatwością przez nią dostała się cicho na koniczynę.

Jaś zaczytany nie słyszał. Zaledwo go zbudził chrzęst suchéj koniczyny pod stopami dziewczęcia. Schował szybko książkę, zamknął oczy i udawał, że śpi.

— Śpiochu, wstawaj—zawołała Zośka, siląc się na wesołość. — Już czas ludzi wygnać w pole, a gospodarz śpią.

Chłopak zaczął chrapać.

— No, no, nie udawaj—mówiła, siadając przy nim — widziałam wszystko.

Uderzała go ręką pieszczotliwie po twarzy, palcami otwiérała mu powieki. Chłopiec nie chciał ich rozewrzéć. Dziewczynina nachyliła się do jego ucha i szeptała:

— Widziałam, jakeś się wlepił w książkę i umyślnie przyszłam ci powiedziéć, żebyś się nie bał. Czytaj se, kiedy chcesz, a ja nawet przed Kundą pary z gęby nie puszczę. Kiej nas panienka zdradziła, a ty bez téj szelmy obyć się nie możesz, to se czytaj, biédaku, ja cię będę zasłaniać i chronić przed ślépiami Kundy i starego.

Chłopiec oczy otworzył, przewrócił się w znak, wyciągnął ręce, objął dziewczynę, tulił do siebie i całował.

— Zosiu, tyś dobra, tyś jedna na całym świecie jedyna la mnie. Wiész, panienka pytała, czy się z tobą ożenię?...

— I cóżeś powiedział?

— A cóżby, że prawda? Zosiu, my od maleńkości jak te wróbliny, ino razem, zawsze jedno wele drugiego, a na starość mielibyśmy się rozlatywać. Powiédz sama?

I znowu ją przytulił, całował w usta, gładził ręką po twarzy. Dziewczynina łasiła się jak kotka, rada, że się pogodziła z szelmą książką, bo przez nią odzyskała chłopca, kochał ją przecie i jak dawniéj, dobry był dla niéj.

— Kiej ty jesteś ze mną—szeptał—to się już o nic nie troskam. Będziemy się wspomagać i jakoś radzić. Sam ci byłem jak ten palec i smutek mnie okrutny ogarniał.

Dziewczynina ujęła w dłonie chudą twarz chłopca i patrzała mu w oczy.

— Nie bój się, nie będziesz już samotnikiem; pomogę ci i skryję przed ślépiami starego.

— Jasiek!—zaświszczał ostry głos Biedronia i jednocześnie rozległ się odgłos uderzeń kija o drzwi stodoły.

Dzieci drgnęły wystraszone, Zosia zbladła jak chusta.

— Lecę—zawołał Jaś i zerwał się na równe nogi.

Nasłuchiwali wystraszeni. Ciężki chód oddalał się.

— Drzwi od stodoły zostawię otwarte — szepnął — książkę schowaj!...

— Zostanę póki nie wyjedziecie—odpowiedziała.

— Dobrze—szepnął, skoczył na boisko, kół od drzwi odciągnął, wyszedł wesół, raźny.

Parobek zaprzęgał konie do jednego wozu, Biedroń do drugiego. Jaś rzucił się pomagać ojcu. Wyniósł z komory siekiery, piłę, powrozy.

Zaturkotało na dziedzińcu, pył podniósł się na drodze, Zosia patrzała przez szpary. Czając się przed wzrokiem staréj, wymknęła się ze stodoły i poleciała do stajni.

— Cóż?—spytała ją Kunda.

— Spał sobie cichutko i spokojnie.

Kunda spojrzała badawczo w oczy dziewczynie.

— Ty mnie nie oszukasz, gadaj prawdę, bo jak się zawezmę, to was oboje rzucę. Przychlebiał się, łasił, on to potrafi i przeciągnął cię na swoją stronę! Odpowiadaj?!...

— Spał, czy udawał—nie wiem, ale oczy miał zamknięte, książki nie widziałam—odpowiedziała wystraszona dziewczyna.

— To cię oszukał!..

— Może i oszukał, któż wié? Ja nie wiem i nie pomstujcie na mnie, bo i mnie się serce kraje.

Pocałowała Kundę w rękę, objęła ją w pół i przytuliła się do niéj. Kunda rozbrojona głaskała ją i pieściła. Dziewczyna nie zdradziła tajemnicy, Kunda domyśliła się prawdy. Nie wiedziały, jak walczyć, jak odwrócić nieszczęście, co czynić. Kunda miała wielki rozum, lecz wobec uporu i namiętności chłopca—stała bezsilna.

— Wcześniéj czy późniéj stary zawsze się dowié, że chłopak nocami czyta, w dzień śpi! Sądny dzień się zrobi!...

— To téż pomagaj, żeby się ino nie dowiedział.

Kunda stała zapatrzona, dziewczyna tuliła się do niéj, pełna

smutku i bojaźni. Obie rozumiały, że nieszczęście zbliża się, a nie miały pojęcia, jak je odwrócić.

Pod niemą opieką Kundy, a dzielną i sprytną pomocą Zosi, Jaś czytywał książki w chacie Tyksiny, w stodole ojcowskiéj i w polu.

W niedzielę wyganiał bydło, z ukrytą za pazuchą książką, Zosia je pasła, chłopak krył się w parye, przytulał do krzaków — czytał i czytał.

Na żniwa Kunda wysłała Zosię do panienki.

Dziewczyna wpadła zdyszana do dworu, uprosiła chłopca kredensowego, żeby ją zameldował.

Panienka wyszła, Zosia bała się wobec służby zdradzać tajemnicy Jasia.

— Radabym mówić, ino się boję—szepnęła.

Panienka ujęła ją za rękę i zaprowadziła do swego pokoju.

— Tu możesz mówić śmiało.

— Kunda i ja prosimy panienkę—zaczęła wystraszona—aby na żniwa nie dawać książki Jasiowi. Chłopak się w nią wlepia, czytuje po nocach, w dzień chodzi jak ćma, często przy robocie drzémie. Gdyby go tak Biedroń zdybał w nocy nad książką, byłby sądny dzień!

— A ty go zdybujesz?

— Co go nie mam zdybywać. My z Jasiem jedność. Przecie wiem, że nie ma na to rady — wié i Kunda. Chronimy go przed ślépiami starych. Ja za niego pasę bydło i obzieram się, a on wtedy leży se w krzakach i czyta. Ale w żniwa?!

— Nie dać mu nic do czytania, ani jednéj?...

— Złocista, ani jednéj! niech se odpocznie. Po siéwach, to prędzéj. Zima zawita, przyjdzie do nas, będzie miał gaz, ciepło w izbie, spokój; ja z matusią będziemy prząść na wrzecionach, a on niech se czyta. Ale we żniwa, ulituj się panienka. Chłopak od tego niewysypiania schudł, zczerniał, ślépia mu tylko urosły, wielgie ma i patrzy przez nie smutno, jak zaklęty... Chłopaki dokazują po błoniach, rwą się do koni: śmiechy, wesołość, aż dusza rośnie. On w krzaki, wyciąga z zanadrza książkę i czyta.

Panienka przyciągnęła ją ku sobie.

— Ale o ciebie przecie dba?

— Ino tyle, co mu bydło pasę i pilnuję, aby stary go nie zdybał. Przyleci do izby, ledwo się przywita, zaświéci gaz, wlepi się w książkę i oczu nie odwróci.

Zalała się łzami.

— Wielgą nam panienka krzywdę zrobiła. Chłopczysko — powtarzała myśli Kundy, łkając — rósł jak drudzy, cieszył się życiem, przyścipny był jak nikt. Jak się rozhulał, to i końca uciesze nie było...

— A teraz cóż?

— Teraz?... teraz, panienka wié, jaki jest...

Ukryła twarz w zapaskę, aby utamować wybuchy płaczu.

Panienka nie wiedziała, jakim był teraz Jaś, lecz się domyślała. Żal się jéj zrobiło dziewczęcia i mimowoli wyrzuty sumienia zaczęły w niéj nurtować.

— Gdybym mu ja nie dała książek, poleciałby do Zalesia do dworu, lub do miasta i dostałby!... Ja przynajmniéj daję mu dobre, uczciwe, inni mogliby mu dawać złe.

— My wiewa z Kundą, że nie ma na to rady, że już tak padło na niego i że się nie odmieni, byle ino żniwa spokojnie przeszły.

— Powiédz-że, moje dziecko, Kundzie, że do Wszystkich Świętych nie dostanie ani jednéj.

— Ani jednego papiérka — dodała Zośka — choćby molestował i prosił.

— Ani jednego, choćby nawet płakał, tak rzewnie, jak ty płaczesz.

Zosia otarła zapaską oczy, uśmiéchnęła się, pocałowała panienkę w rękę, pokłoniła się i chciała odejść.

— A jak się wydasz za Jasia, jakże sobie poradzisz?

— My z Kundą i matusią damy sobie radę w gospodarstwie. A może—dodała ciszéj—objé się tyle téj szelmy książki, że go od niéj odrzuci.

— Może—odpowiedziała panienka, nie chcąc zakrwawiać serca dziewczynce.

Obdarowała ją wstążkami i robionemi kwiatami, odprowadziła na ganek, powtórzyła zaklęcia i pożegnała.

VII.

Minęło lat trzy... Jaś urósł i rozrósł się, brew mu zgęstła, rzęsy się wydłużyły, oczy nabrały dziwnego blasku i serdeczności; włosy ściemniały. Ludziska lgnęli do niego. Pisywał im listy — pomagał...

— Aż miléj się robi, gdy spojrzy, uśmiéchnie się i pokaże bieluśkie zęby—mówiły kobiéty.

Bieluśkie zęby przykrywały wiśniowe wargi, a ponad niemi wydobywał się czarniawy meszek.

Dziewczęta patrzały w chłopca, jak w obraz, lecz on tego nie widział, nie zbliżał się do nich. Nieśmiały, nie umiał do nich przemawiać, nie wiedział jak je zaczepiać, tém więcéj, że ponad inne górowała urodą Zosia. Wybielała, urosła, nabrała ciała, śmiałości, a z modrych jak bławaty oczu rzucała na świat i ludzi uroki.

— Uroki albo czary — kończyły kumy pogwarę o Zosi.—Oni ino la siebie. Tak już widać święta Panienka uradziła. Zawsze ci razem, on nikogo nie widzi ino ją, ona jego.

Stary Biedroń, słysząc te rozmowy, pięści zaciskał, zsuwał brwi, z oczu pioruny rzucał, lecz milczał przy ludziach. Dopiéro w domu wobec żony zrywał się, bił pięścią w stół i krzyczał:

— Dziadów będę wprowadzał do chaty i zwalał sobie na kark! Czekajcie, pokażę ja wam, nauczę ja was. A to szelmy, opajęczyły mi chłopaka, zmawiają się z Kundą, zaczarowały przeciw nam wszystkie baby we wsi i myślą, że im oddam cały dobytek. To moje, to moje, to moje!...

Głos mu chrypiał, twarz siniała.

— Cicho, cicho—przerywała mu żona.—Po co się szarpać, po co dławić. Myślisz, żem ślepa i nie widzę, jak te szelmy odciągały chłopaka odemnie! Gdy przyjdzie do izby, ino patrzy, rychło uciec. Onby tylko w nie pchał, a one nas na starość radeby były zagłodzić!... To nasze!... a kiej nasze, nie damy!...

— Wygnać szelmy, tłuki, wygnać na cztery wiatry, a chłopakowi pogrozić, a nie, to go sprać, aby choć z tydzień poleżał.

— Prać? ludzie jeszcze pamiętają pręgę na ciele chłopaka, wkiedy leżał bez duszy. Rusz go, a cała wieś ujmie się za nim.

— Co?! żeby mnie nie było wolno własnego dziecka skarać! Ja im pokażę i na złość...

— Bij, chłopak ucieknie.

— A niech ucieka, niech mi raz z oczu zejdzie!... Nikłe, nieglaźne, głupie, zapatrzone, aż ręka cięgiem świerzbi, że se rady dać nie mogę.

— Cóż? kiej jednego masz i takiego przyjąć musisz.

— Widziałaś Jędrka, to ci parobek i gospodarz, statek, rozum, siła, zdrowie.

— Kto wié, jaki byłby Jędrek. I Jaś dobry, tylo te szelmy od

ciągnęły go od matczynego serca i trzymają. Kunda, to nasz wróg. Jéj się zdaje, że ona po naszéj śmierci będzie tu panią.

— Gadałem z organistą — zaczął Biedroń ciszéj. — Mówi, że za Nastką da pięć morgów gruntu, korali za dwa sta i krowę, byleby ją wydać za naszego chłopaka.

— Pięć morgów za Nastką!?... Dziewczyna jak ulał, ożenić ich choćby jutro—zawołała stara.

— Jegomość nie chce, bez wojsko... Każe czekać jeszcze choćby dwa roki, aby chłopakowi było po dwudziestym, jéj po szesnastym. Gdyby ino było można, organista nie zaspałby gruszek w popiele.

— Prawda, prawda. Mój Boże, córka organisty, pięć morgów, dziewucha jak rzepka! Ona już cóś miarkuje.

— Matka jéj pewno wspomniała—dorzucił Biedroń.

— Była tu kielka razy. Wpadnie, pocałuje mnie w rękę, załga się byle nie po co, popatrzy i ucieknie. Cóż, kiej go w izbie nie uświadczy.

— Ja mu uświadczę...—pogroził świerzbiącą do bicia ręką i cicho zaklął.

— Mój Kasperku, tylko się nie rozsierdzaj i nie pomstuj na własne dziecko. Trzeba nam powolutku wszystko rozkalkulować i jednego się trzymać. Zbierz się, pójdziemy do organistów, po drodze weźmiemy od Żyda flaszkę miodu i będziemy radzić. Organista to przecie głowa, że drugiéj takiéj na okoliczność nie znajdziesz.

— Jeżeli pójść, to z chłopakiem—rzekł Biedroń.

— Szukaj wiatru w polu. Tylko co gębę otarł, czapkę nasadził i przepadł...

— Może w karczmie?

— On ci do karczmy, do hulanki, do zberezi z parobkami, tak samo jak i ty.

— To gdzie?—wrzasnął stary.

— U dziadówek?!... Niech się ino która z nich na dziedzińcu pokaże!...

— Wygnałam, nie ujrzysz ich. Kundzie pogroziłam. Zacisnęła zęby i nie pisnęła ani słowa, ale w ślépiach widziałam płonące kaganki. Jak spojrzy, to mnie mrowia przechodzą...

— A mnie ręka świerzbi.

Starzy poszli do karczmy po flaszkę miodu i z nią do organistów, a w chacie Marcinowéj odbywała się wielka narada. Kunda wodziła rej, Marcinowa tryskała gniewem, jak iskry z suchego drzewa. Tyksina lamentowała cicho, dwoje młodych przytulone do sie-

bie, zapatrzone, doznawało nieznanych im dotąd uczuć, bojaźni o los i przyszłość swą...

— Co robić?...—zajęczała Tyksina.

— To, że ciężko!... Żeby dyabli wzięli starego, tobym se ze starą radę dała.

— Cóż, kiej go nie biorą—dorzuciła Marcinowa.

Nastało frasobliwe milczenie.

— Panienka przyjechała—zagadała Zosia.—Widziałam ją, dziś już se pani! Możeby ona co poradziła?

•Jaś drgnął.

— Przyjechała?—powtórzył.

— Abo to ją stary posłucha?... A ona przecie nie pójdzie do niego.

— Więc cóż robić?...

— Czekać, mądrować, kalkulować i patrzéć. Stary chytry, jak lis, co ślady za sobą ogonem zamiata, ale i my mamy rozum.

— Przyjechała—powtarzał w duchu Jaś—przyjechała, serce mu drżało. Rozkoszna radość przechodziła ciarkami po skórze. Zapomniał o wiszącém nad sobą nieszczęściu, o radach Kundy, miłości Zosi, o świecie całym...

Panienka przyjechała, myśl ta śmiała się do niego w postaci nowéj książki. Dawno już jéj nie miał w ręku, nie widział. Tęsknica go za nią zbiérała.

— Przyjechała, przyjechała—będzie się znowu zaciekawiał, drżał z niecierpliwości, pożerał strona po stronie...

Marzył i na tle książki wytwarzał sobie inny świat, innych ludzi.

— Przyjechała—powtórzył półgłosem.

— I cóż z tego—ofuknęła go Kunda.—Zośka głupia, a ty z nią, jeżeli se myślicie, że wam pomoże. Stary panem na swych śmieciach i zasie ludziom do niego.

— Ale, że przyjechała, rad jestem. Dobra, ugadana, wesoła, nie harna jak drugie.

— Bo ma rozum—dodała Kunda.

— Dobra, bardzo dobra, jutro polecę do niéj, uskarżę się i będzie mi lżéj.

Jaś powstał, rad był wymknąć się i lecieć do dworu, lecz nie śmiał.

Przez okno wyjrzała Marcinowa.

— Biedroń leci wprost na moją chałupę.

Zerwali się na równe nogi wystraszeni.

— Ja się go nie boję — szepnęła Kunda — ale jeszcze nie czas z nim rozpoczynać.

— Do komory!—dał rozkaz Marcinowa, otwiérając drzwi.

Kunda, Zośka i Jaś wpadli do komory. Marcinowa zamknęła ich na kłódkę, siadła przy Tyksinie, ułamała kawałek chleba i tylko co zaniosła go do ust, wpadł Biedroń.

Czerwony był, w głęboko osadzonych oczach latały żółtawe ogniki, ręka mu drżała, usta roztworzył i oniemiał. Nie znalazł syna, Kundy, Zośki.

— A czemuż to przestępując próg, nie pochwalicie Chrystusa Pana—zaczęła Marcinowa.

— Ja ci pochwalę—szepnął.

— Czego tu chcesz — krzyknęła. — Ślépiami przewracasz i węszysz, czy nie ma czego porwać?... Skradłeś łąkę, a teraz radbyś może pierzynę ściągnąć. Spróbuj!...

— Szelmy, gdzie mój syn? — szeptał wściekły. — Kradniecie mi chłopaka, ale ja was nauczę.

— Wynoś się z mojéj izby, bo ci łeb polanem rozwalę — ty zbóju!

Biedroń zrobił krok naprzód. Marcinowa z Tyksiną zerwały się. Marcinowa pochwyciła dębową pałkę do rozbijania ziemniaków. Obie strony roznamiętnione, drżące rozszalałym gniewem, stały naprzeciw siebie, milczące, groźne.

Pierwszy opamiętał się Biedroń i ochłonął.

— Jeżeli zobaczę chłopaka z wami, szelmy, lub z tym latawcem, to wam kości połamię.

— A to go trzymaj na łańcuchu, sam przy nim siedź i szczuj go na ludzi.

Biedroń wyszedł trzaskając drzwiami, że aż szybki w oknie zabrzęczały, za nim wypadła Marcinowa z dębową pałą. Szła wciąż, rzucając przekleństwa. Stary odgryzał się jak mógł, przyśpieszając kroku.

Wstyd mu było ludzi, miał ochotę rzucić się na babę i zdusić ją, lecz się bał.

Na załamie z po za krzaków wysunął się organista. Marcinowa, zobaczywszy go, stanęła i grożąc, rzucała ostatnie przekleństwa.

Arystokraci wiejscy pomknęli, kryjąc się za wyniosłością wzgórza, Marcinowa wróciła do chaty. Na środku izby zbici w gromadkę stali Kunda, Tyksina, Jaś i Zośka.

— Widziałam, com chciała—zawołała. — Organista go przysłał i czekał na niego za brzezinką.

— Zaczyna się wojna—odezwał się Jaś.

— Zaczyna—powtórzyła Kunda.—I dosyć tėj wolnizny, trza się wziąć na pazury.

Kobiéty zamyślone słuchały, dziewczyna zbladła.

— Zośkę stara ze swego obejścia wygnała, a Jaś nie może latać do niéj, chyba nocą abo w święta, w lesie, paryi, na rozłogach...

— Znam ja jedno miejsce w Zaborowskim lesie—zawołał Jaś.— Raz ino pokażę Zosi, a potém będziemy się schodzić.

— Stary z organistą—mówiła dalėj Kunda—abo w polu oglądają urodzaje, albo na organistówce piją miód na przyszłe zrękowiny Jasia z Nastką. Chodźmy, jak wróci, zastanie nas w obejściu.

Zwróciła się do Zosi:

— Pocałujcie się dobrze, ale ino raz... Trzeba pocierpiéć, to potém szczęście smakuje jak miód.

Zosi łzy z oczu płynęły cicho, stała zrozpaczona, niema.

— No, raz, dwa, trzy i hala—marsz w drogę.

Jaś się pochylił i również onieśmielony boleścią Zosi, zaledwo dotknął ustami jéj ust. Lecz to delikatne, nieśmiałe dotknięcie zelektryzowało oboje. Dreszcze przeszły po ich ciałach, dopadły do serca i zatamowały oddechy.

— A teraz marsz!--zawołała Kunda.—Żeby się żadna z was nie ważyła sama spekulować, bo może być źle. Ja jedna, co siedzę z nimi od dwudziestu lat i zjadłam beczkę soli—znam ich. Bądźcie zdrowe: Zośka Jaśka, Jasiek Zośki—abo padnę!...

Wyszli, dotarli do krzaków, obeszli niemi do okoła wioskę, wracając łączką Biedroniów do domu.

Kunda mówiła, Jaś milczał, myśląc ciągle o przyjeździe panienki i o tych dreszczach ciepłych, które mu przechodziły po skórze na wspomnienie książki. Radby się dostać do dworu, lecz jakoś nie śmiał, bał się zawodu, a nie rad był z obejścia odchodzić.

W izbie zastali matkę. Pocałował ją w rękę, ona pogłaskała go po twarzy.

— Byłam u organiściny—rzekła łagodnie.—Wiész, że Nastka rośnie jak na drożdżach.

— I robi się z niéj walna dziewucha—dorzucił wesoło Jaś.

— Jak rzepka — dokończyła stara i pocałowała go rozpromieniona.

Chłopak wybiegł z izby, pokręcił się po dziedzińcu i ścieżką po za stodołą pomknął do dworu.

Stanął przed bramą, oparł się o wierzeje i czekał zmiłowania Bożego. Pod czaszką świdrowała mu książka. Dawno już, gdy oprócz książki do nabożeństwa nic innego nie czytał. A takby pragnął...

Książka wypełniała mu teraz cały świat...

Oczy zmrużył i uśmiechnął się do czarów historyi zaklętych w książce.

— Jaś!... — zbudził go głos, spojrzał: stała przed nim panienka.

Poskoczył ku niéj, ucałował ręce wzruszony i szczęśliwy.

— Wyrosłeś, zmężniałeś, dzielny z ciebie robi się parobek. Zosię widziałam, ładna dziewczyna—kochacie się?...

— Okrutnie—wyszeptał nieśmiało.

— Gdyby Biedroń nie pozwalał, uciekajcie do mnie, ja was pożenię i wesele sprawię.

Chłopcu się zdawało, że śni.

— Umyślnie przywiozłam ci nowe książki, musisz je przeczytać. Tyś pewno po nie przyszedł. Tęskniłeś za książką, przyznaj się?...

— Rady se dać nie mogłem—odpowiedział śmieléj.

— Zaczekaj, mój chłopcze, dam ci taką ciekawą, że nie będziesz ani jadł, ani spał, tylko czytał i czytał.

Szybko po schodach dostała się na werendę, znikając za szklanemi drzwiami. Jaś został, nadzieja ucieczki rozsadzała mu serce. Będzie miał i książek ile tylko zechce i Zośkę przy sobie. — Kundę przecie pani przyjmie!... Ktoby jéj nie przyjął?... Kunda za mną poleci...

Wróciła panienka.

— Masz „Potop". Dlatego dzieło to tak się nazywa, że wojska szwedzkie zalały cały kraj jakby potopem. Trzeba było dzielnie się bronić, żeby się nie dać. Spodziéwam się, że wszystkie piękności téj książki odczujesz.

Chłopiec trzymał w ręku książkę i stał wzruszony.

— I nie podziękujesz mi?

Wstrząsnął się, pochwycił rękę panienki, podniósł ją do ust i jednym tchem wypowiedział:

— Ucieknę z Zośką, ojciec przyśle po mnie żandarma.

— Schowam was, a potém odeślę do siostry mego męża na Podole.

— Daleko?—zapytał.

— Więcéj jak sto mil... Tam was już ojciec nie znajdzie.

— Nie będzie tam panienki, to i książek nie będzie—odezwał się żałośnie.

— Będą, będą, nie bój się. Niczego ci nie zabraknie, gdy tylko będziesz dobry i uczciwy.

Zamyśliła się, widocznie szukała w pamięci. Jaś stał przed nią rozpromieniony, chwytał powietrze w płuca, wytężył słuch, aby nie stracić ani jednego wyrazu.

— Jest u siostry mego męża—zaczęła wolno — wielka pasieka, przeszło dwieście uli. Pasiecznik stary, lecz kocha pszczoły, jak dzieci. Tybyś się przy nim poduczył, potém wysłanoby cię na naukę pszczelnictwa do Lwowa... Są to projekty, wprzód musisz zestarzéć się do tyla, aby ci ksiądz mógł dać ślub z Zosią, nieprawdaż?

— Prawda! Ja kocham pszczoły i krzywdy im nie zrobię.

— Podoba ci się ta myśl?

— Dziśbym leciał.

— W pasiece miałbyś dość czasu na czytanie!... Ale trzeba zaczekać, aby samemu nie leciéć, lecz z Zosią.

— I Kundą—dodał cicho.

— Zabierz i Kundę, przyda się. A tymczasem czytaj „Potop" wolno, nie śpiesz się, zabawię z wami kilka tygodni.

Chłopiec rad był wypytać się o Podole, pasiekę, służbę, naukę, lecz nie śmiał i pilno mu było do Zośki leciéć, opowiedziéć jéj o szczęściu i projektach przyszłości. Podziękował i poleciał.

— Mam pasiecznego dla Ludki — zawołała „panienka", zwracając się do młodego, dorodnego męża, ukazującego się we drzwiach werendy.

— Kogóż?

— Widzisz tego chłopca w białéj sukmanie, mknącego ścieżką pod górę z „Potopem" pod pachą?... Marzyciel, pionier cywilizacyi, a tu warunki ciężkie. Ojciec skąpy chciwiec, lud nieokrzesany... Za wcześnie na misye. Światło, któreby rozniecał, zgaszą brutalne ręce ojca i pół dzikiego ludu. Pionier padnie, nie zrobiwszy wyłomu. Szkoda chłopca, radabym go uratować. Schowam go w waszéj pasiece.

— Czy go uratujesz, moja filozofko — odezwał się ciepło mąż, wyciągając do uścisku ręce.

— Róbmy, co można, mój pesymisto. Takie usposobienia, jak Zosia, jedynie na łonie cichéj i łagodnéj natury. egzystować mogą, w zetknięciu z ludźmi padają...

— Schowaj wszystkich pionierów do pasiek, a wielką przysługę zrobisz społeczeństwu?!..

— Tego jednego, tylko tego jednego pozwól mi uratować. Za to zrobię wielką przysługę Ludce, dam jéj uczciwego, łagodnego chłopca, stworzonego do pielęgnowania pszczół. Ożenię go z Zosią i niechaj przynajmniéj dwoje ludzi na świecie przezemnie zostaną szczęśliwi! To wielka przyjemność!

— To kwestya, czy zostaną?

— Tak mi się zdaje i pozwól, aby mi się zdawało. Niech i ja mam moje rozkoszne marzenia, na temat uszczęśliwiania ludzi, nie zabijaj mi ich—proszę cię, niech sobie płyną spokojnie...

Jaś zmęczony biegiem i wybuchami radości, które szarpały mu serce, chwytał gwałtownie w płuca powietrze, przystając na stroméj ścieżce. W jednéj ręce ściskał „Potop", drugą zdjął krakuskę i pot rękawem płótnianki obciérał.

Ucieczka, pasieka, książki, Zośka, błyskawicami przelatywała mu po głowie... Stawał, patrzał, słuchał... Słyszał brzęczenie pszczół, świst lokomotywy, czuł całusy Zosi, słyszał ostry głos Kundy.

— Kunda musi być z nami!

Pomknął, ważąc w ręku książkę.

— Co tu papiéru, jaka ci wielga historya. Będzie co czytać choćby z jaki tydzień!... W pasiece obejdę se raniutko ule, pogadam z gospodyniami, robotnice pójdą w pole po miód i dopiéro legnę se pod lipą i książkę rozłożę. Zośka zawoła, albo przyniesie śniadanie, a tu słychać pszczoły się roją. Daléj do roboty! lecimy po worki z siatką—i nowy ul przybywa.

Podskoczył, fantazya chłopca nie była szeroka, lecz za to ciepła. Minął kościół, z drogi rzucił się w krzaki, aby uniknąć ludzkiego wzroku i dopaść do chaty Tyksiny. Rozwarł z impetem drzwi i stanął. Na środku stała Kunda podparta pod boki, na ławie siedziały Tyksina i Marcinowa, Zośka zapaską rozdmuchiwała ogień na kominie.

— A nie mówiłam, że poleciał do dworu—zawołała Kunda.

— Poleciałem!—odparł Jaś—ale nie wiecie, co przynoszę?

— Cóżby? książki na swe nieszczęście.

— Panienka powiedziała, że jeżeli ino chcę uciekać, to mi pomoże, Zośkę zabierze i wyśle nas o sto mil, heń, heń, gdziesik na Podole, do pasieki, gdzie nas nikt nie znajdzie, a mnie wykieruje na pasiecznika. Samych tam pono uli pięć stówek.

— Czego ona włazi między ciebie i ojców, czego się wraża w nie swoje rzeczy... Co jéj do ciebie?

Chłopak rozwarł szeroko oczy.

— A wiész ty—krzyknęła Kunda — że dwadzieścia pięć morgów pola, pięć łąk, lasek na pustkowiu i całe obejście ludzie rachują na tysiące. A wiész ty, że to wszystko twoje i będzie twoje i musi być twoje — słyszysz?!...

Zaczęła go szarpać za płótniankę z coraz większą energią.

— Tyś pan, tyś wielgi pan, drugiego na okoliczność nie ma!... Dwór pierwszy, tyś drugi. Ksiądz i organista, furda?!... Możesz se postawić murowany dwór i książek skupować secinami, a ona cię wygania od ojcowizny, od bogactwa, od wszystkiego!... To twoje, wszystko twoje! — i wara komu innemu, la ciebie wszystko. Stary wcześniéj czy późniéj musi ślépia zamknąć, musi, musi,—ty weźmiesz wszyćko i jakbyś se dał wydrzéć, ja pierwsza plunęłabym ci w ślépia. U ciebie stówka, to będzie nic!... Myślisz se, żeby Zośka od takiego bogactwa odeszła, a matka ją puściła? I ona chce być panią, i ona chce po biédzie odpocząć i użyć świata, i ona se przecie zasłużyła u Boga i ludzi, na odrobinę szczęścia i uciechy, a ty chcesz ją poniewierać. Ho, ho, ja wiem, ja se miarkuję, że *ta* pani we dworze radaby cię wciągnąć do pasieki i tam zamknąć, żebyś na nią całe życie pracował?!... Mądra ona, ale i ja nie głupia... Gdybyś się ino ruszył, samabym cię oskarżyła i żandarmami sprowadziła. Stary-by cię sprał i byłaby zgoda... Tyś pan, to leż jak pies na swych śmieciach i pilnuj swego!...

Zachrypła, mówić więcéj nie mogła i zmęczona opadła na ławę, robiąc ciężko piersiami.

— Wiem, co moje i nie dam se mego wydrzéć — zawołał Jaś, prostując się.

Kunda zerwała się i pocałowała go.

— A niech mnie chce prać, to się spróbujemy. Jam dobry, ale poniewierać nie dam—mówił daléj blady i groźny.

Bogactwo, posiadanie, zwyciężyły go.

Pogroził pięścią.

— Mój robaczku, tyś już na parobka wyrósł, ludzie cię szanują i kochają. Niech on ino zmiarkuje, że się nie dasz, że u ciebie siła, nie zaczépi cię, nie bój się!... Dlaczego mnie ani trąci?... bo wié, żebym mu polanem łeb rozwaliła.

— Nie daj się, tyś pan—powtórzyła Tyksina.

— Cała wieś pójdzie za tobą jak jeden — dodała Marcinowa. — Stary zostanie sam z organistą.

— I nikt mnie nie zniewoli, żebym się żenił z Nastką! A niech spróbują, to się pokaże...

Zośka rzuciła mu się na szyję.

Drzwi zaskrzypiały od sieni.

— Stary—szepnęła Tyksina, cofając się ku komorze.

— Niech wejdzie — odparł Jaś, wyzywając. — Kto tam? — krzyknął.

Nikt nie odpowiadał, na twarzach kobiét malował się przestrach, na bladéj twarzy chłopca wściekłość. Tyksina zajrzała przez okno, nikogo nie dostrzegła.

— Wiatr przeciągnął od krzaków i drzwiami zaskrzypiał — rzekła Kunda, otwiérając sień.

Odetchnęli, kamienie spadły im z serc. Jaś tryumfująco się roześmiał. Bez walki zwyciężył i jako zwycięzca stanął wobec kobiét. W sercu Zosi i Kundy zaczął się wyrabiać pewien kult podziwu i ukorzenia się przed siłą chłopca. Piękność i dobroć ustępowały pod wrażeniami energii i odwagi, jakie w ostatniéj chwili okazał.

— Czuję, mój Jasieczku, że ty się już nie dasz staremu—mówiła rozpromieniona Kunda.

Jaś pogroził z wyzywającą dumą.

— I la czego miałbyś uciekać i kryć się, jako zbój, w pasiece — co?...

— Nie ucieknę od mego bogactwa, kiedy Pan Bóg i prawo mi dają. A ktoby mi je chciał odebrać, to mu pokażę, swoje wydrę z gardła.

Powiedział to takim tonem, że żadna z kobiét nie wątpiła, że wydrze.

— Nie dasz ty swego, czuć to w twym głosie. A jeśli stary myśli, żeś ty głupi, to się omyli, bo ty go jeszcze nauczysz rozumu. Chodźmy!...

Chłopiec dopiéro wtedy przypomniał sobie, że ma za pazuchą książki, wydobył je, roztworzył, przysunął się do ognia komina i zaczął czytać.

— Wiész Jaś — dodała Kunda — że teraz to się nawet nie boję tych ksiąg! I co ci zrobią?!... Nic — za wielkiś ty pan i za mądry, abyś se nie dał z temi szelmami rady? Chodźmy, sen mnie zbiéra, świtaniem trzeba się zerwać i cały Boży dzién na nogach.

Chłopiec powstał, Zosia przytuliła się do niego. Objął ją w pół i przycisnął.

— Nie wydrą mi cię. A niech spróbują — dodał i pięść zaci-

snął.—Chodź, Kunda! pracuj, haruj, na nic nie pytaj, bo la mnie harujesz i trochę la siebie.

Pocałował w rękę Tyksinę i Marcinową — wyszli. Zosia nie śmiała za nim lecieć. Zaczynał ją ogarniać jakiś lęk przed siłą chłopca, jego potęgą i wolą.

— Ho, ho, to już inny — rzekła Marcinowa — nie ten, cośmy go niosły na płachtach i nie ten, kiej go nawiedzała Święta Panienka.

— Nie ten—przyświadczyła Tyksina—ale kto ci on tera?...

— Tera? chłop Zośki! Kiej ją chce, będzie ją miał!

— Ale może pierwéj stary go zabić.

— Abo on starego—dodała Marcinowa.

— Nie mówcie o takich okropnościach, bo na mnie skóra cierpnie, w nocy nie będę mogła spać — szepnęła Zosia. — I tak go już Kunda bez upamiętania judzi na starego.

— I ma rozum! Chłopaczyna był nieglaźny, zapatrzony, zaczytany w książkach, ona go ocuciła i pokazała, kim jest. Zrozumiał odrazu i pięść zacisnął. Gdyby wtedy, kiej drzwi zaskrzypiały, wszedł stary, spróbowaliby się. Stary mocny jak żelazo...

— Ale Kunda poszłaby w ogień za chłopcem — dorzuciła Marcinowa.

— Dajcie pokój — prosiła się Zosia — bo w nocy będzie mi się zwidywać. Jabym tam z ochotą skryła się do pasieki, żebym ino spokój miała i jego wele siebie...

— Cicho, głupia, lepiéj być panią na swojém, jak w pasiece tęsknić za światem i ludźmi. Kunda ma rozum. Stary jak się chłopaka będzie bał, to go musi szanować.

Marcinowa zerwała się.

— Pamiętajcie, że moja łączyna wróci do mnie, a po mojéj śmierci znowu do Zośki. Przysięgłyście, to wam wara uciekać do pasieki.

VIII.

Nazajutrz matka i syn siedzieli przy śniadaniu, jedząc z jednéj miski.

Wszedł stary, był chmurny, zły, wzburzony.

— Gdzie ty latasz po całych dniach?—krzyknął.

— Niedziela — odpowiedział śmiało, chociaż mu wargi ze wzruszenia drżały.

— Gdzie latasz—wrzasnął stary—pytam ci się: gdzie?...

— Nie wolno mi?—odparł butnie.

— Gdzie? — powtórzył stary, idąc ku niemu z zaciśniętemi pięściami.

Chłopak blady i straszny wstał, matka rzuciła się między nich. Stary odepchnął ją na łóżko, przysunął się do syna na odległość pół kroku. Zmierzyli się wzrokiem. Chłopak drżał nerwowo z wściekłości, gotów do walki na życie lub śmierć! Siłę tę odczuł stary i cofnął się przed nią.

— Jakto, mnie, ojcu, nie wolno spytać się dziecka gdzie było?

— We dworze—odpowiedział cicho i spokojnie Jaś—przyjechała panienka, kazała przyjść, dała mi książki—czytałem.

Stary odetchnął, matka stanęła wśród nich.

— A tobie co po książkach, żeby ci do reszty we łbie popsuły?...

— Zapomnę — szepnął — wszystkiego zapomnę, com się bez trzy lata uczył.

— Zapomni — poparła syna matka. — Do karczmy nie chodzi, za dziewczętami nie ugania, niech-że choćby w niedzielę zabawi się książką.

— Jabym mu dał chodzić do karczmy, uganiać za latawicami?... Organista się skarży, że go nie nawiedzasz.

— Za mądry na mnie—odparł Jaś.

— Ale nie on sam w chacie siedzi. Jest gospodyni, są córki.

— Za młodym na zaloty—odpowiedział i wyszedł z izby.

— A do Zośki w sam czas—dokończył stary przez zęby. Z nią, szelmo, gadasz cały dzień i nie kończysz.

— Tylko nie obcesowo, mój ojcze. Powolutku, pomalutku, cichutko, tak jak morgi od pijaków skupujesz. Chłopak czuje, że będzie pan, to i hardzieje... We dworze go pieszczą, sadzają przy sobie, nie dziwota, że nie dałby się dziś w pyski bić i poniewierać.

— Ja mu pokażę—zawołał stary.

— No i co?—przerwała Biedrońka.—Chłopczysko ciche, spokojne, nie włazi ci w drogę, nie rachuje twego bogactwa, co zrobisz, to la niego święte. Czego ty chcesz od niego?...

— Głupia!—krzyknął stary — wiem, czego chcę. Gdybym podniósł rękę, rzuciłby się na mnie.

— To twoja krew, a ty dałbyś się poniewierać.

— Głupia, jam ojciec!...

— Kiej ojciec, to nie podnoś ręki, jak nie masz za co.

Stary popatrzał na żonę roziskrzonemi oczyma, wściekły na chłopca, babę i siebie za przegraną—wyszedł. Rad był chłopaka za-

czepić i zbić na kwaśne jabłko, lecz nie wiedział za co i bał się... Walka ojca z synem byłaby straszna, a nawet pełna hańby dla niego.

— Czuję, że mógłbym go zabić—szeptał. — A niech ręka Boska obrania zabijać własne dziecko.

A mimo to ręka go świerzbiała, gniéw w nim hulał, ściskał serce, chwytał za gardło. Odgadywał w chłopaku odmienną naturę, innego człowieka; musiał go szanować, zaczynał się bać i za to wszystko znienawidził go. Jakaś utajona wyższość chłopaka, któréj nie mógł zrozumiéć, lecz ją odczuwał, przygniatała go. Chciał porwać te pęta, nie wiedział jak... Czuł, że gdyby go raz sprał należycie, toby się uspokoił i odetchnął na jakiś czas.

Na dziedzińcu było pusto. Jaś poszedł kosić łąkę, Kunda poniosła śniadanie parobkowi, konie i bydło wypędzone na błonia. Stary chodził od budynku do budynku i klął. Wszystko mu było złe, wszystko mu zawadzało. Pies zaczął się łasić do jego nóg, kopnął go. Psisko skowycząc odeszło.

— Czego on chce od własnego dziecka, co mu ono winno i jeszcze takie?!...

Biedrońka nie rozumiała przyczyn zawziętości starego, lecz odgadywała niesprawiedliwość.

— Przeczuwam nieszczęście i boję się—szeptała, składając ręce nabożnie.

Tymczasem w polu po za świerczyną, Jaś kosił łąkę bez upamiętania. Gdy skończył, ułożył się wygodnie, wyjął z zanadrza pierwszy tom „Potopu” i czytał.

Nowe obrazy, odmienny styl, siła, energia, prawda, jasność pochwyciła go odrazu. Nowy duch z czytanych kartek wstępował w niego i przeobrażał go. Rzeczy, które dawniéj zaledwo przeczuwał, teraz dopiéro rozumiał. Razem z pułkownikami rzucił pod stopy hetmana buławę, zachwycał się fortelami Zagłoby, śmiał z Rocha—i dopiéro odetchnął całą piersią i rozradował serce, gdy pułkownicy uwolnieni siedli na koń. Książkę schował rozmarzony i wrócił do domu.

Zatargi z ojcem zmalały w jego oczach pod czarami książki. Nawet Zosia i miłość do niéj zbladły wobec wielkiéj walki o śmierć i życie całego narodu.

Z kosą na ramieniu szedł wolno, przed oczami jego duszy szalała krwawa walka, strzały padały. Kosę ściskał, chciał leciéć, pomagać... Na drodze, przed chatą Kunda go dopadła.

— Stary wściekły, wydziwia okrutnie. Przysłała mnie matka

z prośbą, abyś się mitygował. Matka za tobą, ze mną się zmawia przeciw staremu, górą nasza!... tylo, mój Jasieczku, mityguj się, ustępuj mu we wszystkiém. Zły ci jak osa, chce cię sprać, a nie śmié.

Jaś się roześmiał, pokazując z za wiśniowych ust białe zęby. Potrząsł głową, że aż złote włosy wydobywające się z pod kapelusza zaszeleściały. Tryumfował, był dumny, zdawało mu się, że jest popodobny do Wołodyjowskiego... Kmicica jeszcze nie rozumiał.

— Boi się mnie—powtórzył z dumą.

— Ale to zawsze rodzic,—Jaś, pamiętaj.

— A przecie tego despektu nie zrobię, żebym rękę podnosił na własnego ojca. Zamierzy się, ucieknę, a chwyci mnie, to dopiéro wtedy będę się bronił.

Stanęli przed obejściem, Jaś wszedł na podwórze, Kunda obleciała do okoła, bojąc się staremu wchodzić w oczy.

Chłopak wszedł do izby. Opartą o framugę okna zobaczył organiściankę. Spojrzeli sobie w oczy. Na dziewczynę buchnęły ognie, pierś jéj pod cienką perkalikową koszulą zadrżała, wargi się nieznacznie zatrzęsły,—zadygotała... Spojrzenia ich skrzyżowały się. Fala magnetycznego strumienia przeszła na niego, zapiérając oddech. Dziewczyna była namiętna, w oczach jéj zabłysły ogniki — namiętność udzieliła się chłopcu; — pierwszy raz w życiu odczuł ją, gorąco go przeszło, stanął, patrzał, jak na zjawisko, przynoszące mu rozkosz.

— Dobre południe—powiedział cicho wzruszony, nieśmiały.

— Dobre — szepnęła dziewczyna, ciągnąc palce u ręki, że aż trzeszczały.

Chłopak otworzył drzwi do komory, postawił kosę, wrócił i siadł na ławie, mając przed sobą dziewczynę.

— Urosłaś—rzekł wesoło.

— A ty to nie? Rosłam powolutku, aleś na mnie nie patrzał.

— I raptem zobaczyłem dużą, śmyśną i jakąś taką, że aż czuć ogiéń, co od niéj bucha.

I znów twarz dziewczęcia oblała się szkarłatem, biała koszula falowała, słychać było bicie jéj serca.

— Nie gadaj tak, bo ucieknę—szepnęła.

— A to cię będę gonił.

— To i cóż?...

— I jak złapię, wycałuję.

Dziewczyna ukryła pałającą twarz w dłonie.

— Śmiałbyś?...

— La czego nie?

— A Zośka Tyksianka?...

— Cóż Zośka, a co Zośce do mnie?

— Ona mówi, że ma prawo do ciebie.

— Jakie prawo? co za prawo? Ksiądz jak stułą zwiąże, to wtedy jest prawo—głupia.

— Całowałeś ją...

Dziewczyna podniosła oczy, płomyki w nich latały, rozśmiała się, koszula się wznosiła. Płomyki te przypiekły chłopca, który blady wstał, objął ją w pół, oderwał od twarzy ręce i całował, aż zesłabł.

Dziewczyna się wydarła i uciekła.

Trzaśnięcie drzwiami ocuciło go, stał jak przed zjawiskiem, które tylko co znikło.

Błyskawica oświéciła mu umysł, szarpnęła nerwy, poruszyła fale krwi, cisnące się do serca. Odgadł,—zrozumiał. Zośce nie paliły się płomyki w oczach, piersi nie drgały życiem, ogień z nich nie szedł. Zośka go całowała w obec Kundy i matki swéj, pieściła, tuliła, kochała — ale ognia w niéj nie było, coby go przejmował i oddech zapiérał.

Siadł, podparł głowę na ręku i dumał — a tymczasem rycerstwo tłumnie leciało do niego, obejmowało go, brało z sobą i pędziło z nim światami do Częstochowy bronić Cudownéj Panienki i króla...

Mimowoli sięgnął za pazuchę po książkę, wyjął, otworzył ją i czytał łakomie.

Drzwi zaskrzypiały, weszła matka, chłopiec książkę schował.

— Dziewczyna mi się skarżyła, że ją całowałeś. Ale rada temu była—dodała ciszéj, uderzając go ręką po ramieniu.

— Okrutnie ci ognista—odparł Jaś.

— Wszystko się w niéj pali, a najwięcéj robota. Iskra, płomień—no i niczego, gładka na gębie, ślépia jak tarki, ma wszystko, co potrzeba, nic jej nie brakuje.

I znowu go uderzyła pięścią pieszczotliwie w kark.

— Gdybyś ty miał rozum, miałbyś dostatek i szczęście...

Przed oczami chłopca przesunęła się Zośka zapłakana, bolejąca. Żal za dziewczyną ścisnął mu serce. Ból i wstyd wstrząsnęły nim. Po pod oknami przemknęła postać starego.

— Pocałujże ojca wrękę na przywitanie—szepnęła szybko matka.

Wszedł Biedroń, Jaś się pochylił do jego ręki.

— No, no — rzekł stary — już się zaczynasz rwać do dziewuch. To tak samo, jak ja, gdy byłem w twoim wieku.

Zaśmiał się i zatarł radośnie ręce.

— Cicho, zbereźniku, nie psuj mi chłopaka — dodała filuternie żona.

— Uczyć go nie trzeba. Dawaj prędko jeść i daléj do siana. Trzeba je rozbić, okrążyć i skopić... Żywy ogiéń z nieba leci.

Pomarszczona twarz starego jaśniała, rzucał ukradkiem ciekawe spojrzenia na syna, rad, że tak łatwo mu poszło.

— Jak jest hubka i krzesiwo, to o ogiéń nie trudno — powtarzał w duchu. — Ktoby się spodziéwał?... Zdawało się, ze chłopak przy spódnicy nie umié trzech zliczyć... Pewno go szelma Zośka rozzuchwaliła i nauczyła.

Jedli w milczeniu, Jaś, pochwycony na gorącym uczynku, posmutniał. Żal go tłoczył, Zośka stała przed nim zapłakana... Kochał Zosię, lecz od organiścianki ogiéń buchał, obejmował go i ciągnął.

Położył łyżkę, otarł rękawem usta—wstał.

— Gdze idziesz?...

— Spocznę ociupinę, trawa wielga, powalona, ciężko było kosę w nią wrazić.

— Prześpij się—dodała matka.

— Na parę paciérzy—zawołał za odchodzącym stary.

Jaś wyszedł i pędem poleciał do stodoły. Zaledwo się ułożył, pochwycił książkę i zaledwo zaczął rozkoszować się obroną Częstochowy i dzielnością Kmicica, gdy raptem stanęła przed nim Kunda. Wystraszony, patrzał.

— Rwałeś się do organiścianki?—spytała szeptem.

Po za tą cichością szeptu czuś było ogiéń i wściekłość.

— Kunda, siadaj przy mnie.

— Odpowiadaj: tak, abo siak—żachnęła się.

Chłopak się zerwał, przyłożył twarz do ucha Kundy.

— Wolę dziś skonać, jak Zośkę porzucić, Kunda, dziś bez Zośki życia nie miarkuję, obrzydłoby mi — i jakby na to padło!... Ale coby miało paść? Nie chcę i już. Kunda, przysięgam ci, nie dam się, co mi zrobią?

Zbladł, trząsł się nerwowo. Kunda pochwyciła w drżące ręce głowę chłopca i pocałowała.

— A cóż się Nastka chwaliła, żeś ją całował?

Chłopiec, milcząc, wzruszał ramionami.

— A to ci podłe plemię dławidudów. Jaś, nie opuszczajże nas i jakeśmy zaczęli, trzymajmy się razem do końca... Zestarzałam się, służąc ci,—organiścianka, gdyby została twoją, wygnałaby mnie. Samabym nie została. Ciebie mam za syna, Zośkę za córkę.

Rozpłakała się, Jaś ją pochwycił, tulił i całował.

— Kunda, ja cię przecie miłuję jak matkę i gdyby nie ty, święta ziemia dawnoby mnie gryzła. Ja przecie miarkuję, że jak wkiedy książkę otworzę, to nie będziecie na mnie swarzyć. Kunda będziesz u mnie panią i gospodynią. A jaki ci na zimę z zielonego sukna podbity białym barankiem kaftan sprawię...

Kunda się zozśmiała, otarła oczy zapaską, pogłaskała chłopca i odeszła.

Jaś gorączkowo wlepił się w książkę. Właśnie Kmicic podkradał się z kiełbasą prochową pod „kolubrynę”, co wielką szkodę w murach Jasnéj Góry robiła. Już zgolił Szweda, stojącego na warcie, w gardziel armaty wepchnął kiełbasę, miał ją podpalić, gdy szorstki głos starego wypełnił dziedziniec. Jednocześnie trzcina jego odbiła się przeraźliwie o drzwi stodoły. Chłopiec zaklął się, książkę schował—i przywykły do posłuszeństwa—poszedł.

Przy sianie Nastka, w białéj jak słońce koszuli, w czerwonym gorsecie i krótkiéj spódniczce, boso, a nogi miała bielutkie, przyleciała na odwieczerz z grabiami.

Jaś poszedł kopić i, zdawało się nie patrzał na nią, nie zaczepiał jéj, nie odzywał się. Dziewczyna porozumiała się szeptem z rówieśnicami i piosnka wyleciała w powietrze: o Jasiu, co koniki poił, Kasia wodę brała... Jaś porzucił Kasię, Kasia skoczyła na samo dno jeziora, rybacy wyciągnęli bledziuśką, jak opłatek.

Chłopakowi zdawało się, że Zosia za nim utopi się z rozpaczy.

— Zosiu, nie zdradzę cię, choćbym ducha miał wyzionąć!

Po tém zaklęciu zaśpiéwał wesołego krakowiaka, dziewczęta mu odpowiedziały. Piosnki przecinały powietrze, echo je przedrzéźniało, padająca rosa niosła polami do wioski.

Serce staréj rosło, Biedroń karczował krzaki na łące, przestawał co chwila i słuchał. Twarda natura jego miękła pod działaniem głosów dziewcząt.

— Rwie się do chłopaka—powtarzał—jak opętana. Abo ino do chłopaka? Rwie ci się do pana, do bogacza...

Gniéw go opanował.

— Do bogacza, do bogacza — szeptał. — To ja jestem bogacz z własnéj pracy, a ten kiep nie ma nic. Do mnie się nikt nie rwie, ludzie mnie unikają, a do niego się garną... On bogacz, ja parobek u niego. Zasypią mnie ziemią, on weźmie wszystko, zabierze wszystko i puści. Żebyś miał puścić i ojcowiznę zmarnować...

Nie śmiał dokończyć, myśl, co w nim świdrowała, radby wyrwać z mózgu z korzeniami i rzucić daleko od siebie.

Po wieczerzy, gdy zaledwo świetlana chmura na zachodzie tłumiła światło księżyca, Jaś pocichu wydostał się ze stodoły, przeskoczył płotek i pognał wygonami do Zośki.

Żal go ogarniał, smutek tłoczył serce, wstyd mu było przed samym sobą, a mimo to Nastka leciała przed nim. Widział ją — podkasywała umyślnie spódniczkę, żeby zobaczył białe nogi. Śmiała się do niego, oczami strzelała... Leciał coraz chyżéj,— dziewczyna, skąpana w świetle księżyca i białéj mgle, tańczyła wciąż przed nim. Młodość w niéj kipiała i rozkosz, którą zaledwo przeczuwał, zapalała w nim płomienie.

Dopadł zdyszany do chaty, otworzył gwałtownie drzwi—w świetle ognia na kominie stała przed nim Zosia. Objął ją wzrokiem i zobaczył zarysowujące się kształty młodości, na które dotąd nie umiał patrzéć... Siadł na ławie zmęczony, wyciągnął ręce, dziewczyna się przysunęła, objął ją w pół i przytulił rzewnie i gorąco.

Dziewczę odczuło ciepło uścisku i zadrżało, koszula z po za gorsetu odchyliła się, białe ciałko zajaśniało na tle czerwonych płomyków, koszulę odsunął ustami i zaczął całować. Nie broniła się, ręką głaskała mu włosy.

— Cniłeś za swoją?...

— Okrutnie—szepnął.

— A słycham, organiścianka lata za tobą, jak jaskółka, zagląda ci w oczy, wabi cię i ciągnie.

Nic nie odpowiedział, coraz silniéj cisnął rozpaloną twarz do jéj piersi. Dziewczyna się przelękła tych uścisków i gorąca, które biło od chłopca.

— Dosyć—szepnęła, wydarła się i odsunęła.

Chłopak, zmęczony, ciężko oddychał, oczy mu świéciły, a twarz paliła. Piękny był w oczach Zosi.

— Mój ty biédaku, dużo jeszcze musisz się namęczyć, zanim ociupinka szczęścia spadnie na nas.

— Przeleci migiem — odpowiedział wesoło, wyciągając książkę z zanadrza.—Moja Zosiu, ino odrobinę! Muszę się dowiedziéć, co się stało z kolubryną i Kmicicem.

— Co za kolubryna?

— Taka ci armata okrutnie długa, co ją Szwedy pod Jasną Górę przyciągnęli i nią chcieli zmódz świętą Panienkę...

Przewracał kartki, szukał, znalazł i czytał.

— Mój Jasieczku, tylo niedługo, bo zesłabniesz.

Chłopiec nie odpowiedział, czytał wciąż, póki nie dobił do końca rozdziału.

— Uciekli—zawołał.—Chwała Bogu, uciekli.

Odetchnął.

— Kto?—spytała Zosia.

— Szwedzi — Jasna Góra uratowana, Cudowna Panienka wolna! Zosiu, te wielkie historye, to wszystko prawda, a człek o tém nic nie wiedział i tak żył, jak ten głupi... Cudowna Panienka odegnała Szwedów, ale se téż dobrała do pomocy Kordeckiego i Kmicica — chłopów lada — mądrali — dzielnych.

Objął dziewczynę, całował jéj usta, szyję, potém jakby ją chciał przepraszać, pocałował jéj rękę i wyszedł, a Zosia za nim wołała:

— A przychodźże, bo mi serce z żalu pęknie...

Chłopiec wracał zadowolony z siebie.

Szwedzi uciekli z pod Częstochowy, a Zośka odzyskana. Biegł wesoło... po promieniach księżyca i mgłach płynęła przed nim Zosia o modrych ślépkach i dobrym uśmiéchu. Czuł ciepłą jéj rękę na twarzy i pocałunki serdeczne...

— Cudowna Panienka odegnała Szwedów, to i mnie przecież pomoże, a ja będę twardo stał przy swojém—jak Kmicic...

Z tém postanowieniem wsunął się do stodoły i zasnął. Śniły mu się walki, zasadzki, kolubryna, ucieczka Szwedów. Wszędzie był przy boku Kmicica, twardo stał i dzielnie się potykał.

— Wiwat!—wołał przez sen—naprzód, wiara—za mną!...

(Dok. nast.). *Sewer.*



RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA.

I.

Nietylko ludzie w czépku się rodzą; szczęście to spotyka różne instytucye, stowarzyszenia, książki, pomysły, przedsięwzięcia, a nawet... wesołe kółka towarzyskie. Giną często na kartach historyi ślady zacnych usiłowań, rdza niepamięci pokrywa nazwiska wielkich prawodawców, artystów i myślicieli, tysiące wielkich lub szlachetnych czynów porasta pleśń dziejowa, a natomiast jakiś drobiazg obojętny, nazwiska ludzi niczém niezasłużonych, niczém nie wyróżniających się z pośród szarego tłumu, przechodzą z pokolenia w pokolenie, zajmują poważnych badaczów i cieszą się przez całe wieki rozgłosem, jedynie dzięki wzmiance współczesnego kronikarza.

W czépku urodziła się i rzeczpospolita Babińska. Przeszło trzysta lat upłynęło, jak podał o niéj wiadomość Sarnicki, a kiedy współczesne mu dzieje polityczne i wewnętrzne, współczesny rozkwit literatury, nauki i sztuki, znane są w dokładniejszym zarysie tylko garstce miłośników przeszłości, to chyba nie ma nikogo z czytających, coby nie miał jakiego takiego pojęcia o wesołém towarzystwie Jmci pana Pszonki. Co chwila, jakiś dłuższy lub krótszy artykuł otwiéra nam podwoje Babina i zapoznaje z jego konceptami i dygnitarzami. Największy geniusz naszéj literatury, Mickiewicz, w swoich prelekcyach zaznaczywszy jaskrawy kontrast między duchem panującym w Babinie, a w „Monasterze Iwana Groźnego” podniósł tém samém rzeczpo-

spolitą Babińską do stanowiska wytworu wysokiéj cywilizacyi. W czterdzieści lat po nim największy mistrz naszéj sztuki, Matejko, genialnym swym pędzlem przypomniał nasz Babin, a nie krępując, jak zazwyczaj, swojéj fantazyi, umieścił na obrazie w towarzystwie Jmci pana Pszonki najznakomitszych naszych wieku XVI-go statystów, poetów i humanistów. Babin w ogólném przekonaniu wyrastał na jakąś akademię satyry i dowcipu, na salon, w którym koncentrowało się życie umysłowe kilku następujących po sobie pokoleń inteligencyi polskiéj. To mało, ostatni jego historyk p. Stanisław Windakiewicz rzeczpospolitą Babińską uważa za wyraz pewnego stronnictwa politycznego. Oto w skróceniu jego słowa: „Rzeczpospolita powstała w wirze walk politycznych, kiedy powoli program szlachecki wcielał się w rzeczywistość i ze sfery książkowych kwinkunksów przechodził w organizacyą dotykalną... Fundatorowie jéj byli genialnymi satyrykami, którzy czerpali pełną ręką żywy materyał w bieżącém życiu politycznem... Powstanie rzeczpospolitéj należałoby odnieść do czasu walki o egzekucyę praw... Wymyślili ją członkowie stronnictwa środkowego, którzy z dworków swych i zameczków patrzyli z równym spokojem na zakusy magnatów i drobne ambicyjki partyi dworskiéj. Była ona więc wyrazem siły ekonomicznéj i niepodległości sądu ziemian małopolskich... I na potém pozostawała w bliskich stosunkach ze sferami poselskiemi i w główniejszych przełomach swego stronnictwa udział przyjmowała... Istniała ściśle określona tradycya w tym związku, mocą któréj łatwo czynić wnioski wsteczne i zblakłym rysom późniejszych podań nadawać istotne znaczenie. Rzeczpospolita była manifestacyą zdrowego rozsądku w społeczeństwie polskiém... przenosiła bowiem w krainę chimery i utopii wszelkie wygórowane pretensye. Była niejako wysuniętą placówką stronnictwa ziemiańskiego; jednocześnie z niém powstała, jednocześnie z niém upadła. I swojém tłem duchowém łączy się ściśle ze stronnictwem piastowskiém, bo tak, jak i ona, pozostaje w bliskim związku z reformacyą. Stanęła na gruncie ówczesnego liberalizmu, garnęła wszystkich, co do żadnéj koteryi nie należeli. To jéj dało potężny wpływ wśród ówczesnych zaognionych stosunków religijnych. Wyrażała wymownie opinię tolerancką swego czasu i skupiała w sobie mimowoli treść duchową danéj chwili. Jest ona w Polsce pierwszą afirmacyą indywidualizmu ludzkiego w całéj pełni i jako taka jest doskonałą kreacyą czasów nowożytnych. O zdolności obserwacyjnéj i trafności w definicyi i charakterystyce fundatorów babińskich mówi Sarnicki; słowa jego są wyznacznikiem maksymalnéj prężności ducha owego czasu. Rzeczpospolita babińska wydobywa na jaw szerokie masy społeczeństwa

polskiego i do rysów etnograficznych dodaje rysy osobiste i na gruncie ogólno-ludzkich problematów psychicznych te masy stawia. Dewiza *omnis homo mendax*, szukanie pokrewieństwa duchowego z postaciami starożytności klasycznéj, dowodzi, jak prędko społeczeństwo polskie przewodniemi ideami humanizmu się przejęło i granice obserwacyi lokalnéj z tą pomocą przekroczyło. Rzeczpospolita skupić w sobie musiała niemal całą inteligencyę Polski."

Już z przytoczonego w streszczeniu poglądu widzimy, jak wysokie stanowisko wyznacza p. Windakiewicz rzeczpospolitéj babińskiéj w pewném stadyum cywilizacyjnego rozwoju naszego społeczeństwa. Ale nie na tém koniec. Jest dla niego przedewszystkiém faktem, iż wielki Jan Zamojski stał się *spiritus movens* klubu babińczyków, a to wiele mówi, to uzasadnia poniekąd wszystkie powyższe twierdzenia. Daléj, zgodnie z Sarnickim uważa p. W. rzeczpospolitę niejako za pedagogium, w którém otrzéć się należało młodemu szlachcicowi i którego działanie na umoralnienie ogółu, a zwłaszcza młodzieży, było bardzo znaczne. Wreszcie Babin miał się przyczynić do rozwoju nowelistyki w naszym kraju, a znaczenie jego dla literatury polskiéj ma być takie, jak salonów towarzyskich z czasów Odrodzenia dla literatur wcześniéj rozwiniętych, niż polska."

A więc miał słuszność Mickiewicz, że stawiał rzeczpospolitę tak wysoko; nic téż dziwnego, że natchnęła ona Matejkę.

Czy jednak rzeczpospolita babińska była rzeczywiście taką, za jaką uchodzi, możemy przekonać się właśnie dzięki jéj aktom, wydanym przez p. Windakiewicza [1]). Akta te, „prześliczny pomnik życia i humoru" (słowa p. Windakiewicza), były już znane kilku badaczom, ale dopiéro teraz stały się dostępne szerszemu ogółowi. Są one obok relacyi Sarnickiego jedyném źródłem prawie, z którego poznać możemy organizacyę klubu babińczyków, jego idee, zajęcia, zakres działania, a przedewszystkiém charakter. A nie ulega żadnéj wątpliwości, że historya Babina z wydaniem tych aktów jest już zamknięta, bo lubo obejmują one tylko drugą większą epokę jego istnienia, to przecież sam ich układ świadczy, że po pierwszéj epoce nie pozostał pomnik tego rodzaju. Rękopis bowiem rozpoczyna się od przytoczenia ustępu z *Annales* Sarnickiego i dwóch wierszy łacińskich Wrześnianina (Wresnanus) i nieznajomego, które widocznie dla Jakóba Pszonki, syna założyciela rzeczpospolitéj były jedynym materyałem do prze-

---

[1]) Akta rzeczpospolitéj babińskiéj, według oryginalnego rękopisu wydał St. Windakiewicz. Kraków, 1894. Przed aktami znajduje się monografia Babina, a raczéj pogląd na rzeczpospolitę, pióra wydawcy.

szłości Babina. Sam własnych wspomnień widocznie nie miał, bo w chwili śmierci ojca liczył zaledwie lat 18-cie, a był już przedtém na dworze Jędrzeja Górki, ojciec zaś i brat starszy pozostawili wprawdzie cenny dla niego zbiór aktów tyczących się rodziny Pszonków, w których jednak z natury rzeczy nie było żadnych faktów, mających jakąkolwiek styczność z rzeczpospolitą babińską.

Zanim jednak przystąpimy do przejrzenia aktów i do charakterystyki Babina, przejdźmy pokrótce jego literaturę, co nam pomoże do wyprowadzenia ostatecznych wniosków.

II.

W roku 1587-ym wydał Stanisław Sarnicki swoje *Annales*, w których na str. 395 „ku rozweseleniu czytelnika" znajduje się *Descriptio Reipublicae Babinensis*. Ponieważ jestto jedyny współczesny opis epoki Babina, bez którego, jak się przekonamy, może całkiem o Babinie nie doszłyby nas wieści, ponieważ wreszcie na opis ten, jakoby na wiarogodny dokument powołują się wszyscy historycy wesołéj rzeczpospolitéj, wypada przeto treść jego szczegółowo przytoczyć.

Rzeczpospolita, która była *res faceta et plena iucunditatis*, powstała wśród szlachty ziemi lubelskiéj. Nazywała się dlatego babińską, że inicyator jéj („autor" mówi Sarnicki), za którego też rzeczpospolita najbardziéj kwitnęła, był właścicielem Babina. Sama nazwa téj miejscowości pobudzała do śmiechu, *baba* bowiem oznacza starą niewiastę, a *babine* to co do niéj należy, wszelkie zaś gadaniny, bałamuctwa i żarty zwykło się babskiemi bredniami nazywać [1]).

Babińczycy wzorowali się na porządku i urządzeniach rzeczpospolitéj polskiéj. Wybiérali dla siebie króla, senat, arcybiskupów, biskupów, wojewodów, kasztelanów, hetmanów *(praefectos oppidorum et militiae)*, sekretarzy i t. d. Jeżeli ktoś mówił o rzeczach podniosłych, nic nie mających wspólnego z jego stanowiskiem, zostawał arcybiskupem lub wielkorządcą *(magnus satrapa)*. Jeżeli ktoś mylił się

[1]) Babinów „Słownik geograficzny" wylicza siedemnaście, nie licząc trzech potoków tego nazwiska, ale nie ma jakoś śladu, ażeby którykolwiekądź z nich pobudzał swą nazwą do wesołości! Jeżeli zresztą rozśmieszał Babin, to powinny były rozśmieszać również miejscowości zwące się Baba, Babanka, Babce, Babcze, Babiaków, Babica, Babie, Babienta, Babino. Babińce, Babki, Babuchowy, Baby i t. d., a niejednéj z nich jest znowu po kilka. Toż to musiało być śmiechu na wsze strony!

w mowie, rzucał paradoksami, lub przytaczał rzeczy niewiarogodne, tego mianowano mówcą *(rethor)* lub kanclerzem. Chełpiącemu się z męstwa lub odwagi, mówiącemu w chwili nieodpowiedniéj o sprawach wojennych, przyznawano godność dowódcy, hetmana, albo rycerza pasowanego *(eques auratus)* [1]. Kto okazywał zbyt wielki zelotyzm ze stanowiska kościoła rzymsko-katolickiego, albo jakiego innego wyznania *(cuiuspiam alterius sectae)*, temu nadawano tytuł inkwizytora. Godność łowczego przyznawano rozprawiającym w niewłaściwéj chwili i szeroko o psach, dzikich zwierzętach i sokołach.

Nominacye wydawano albo zaraz na miejscu podczas wesołéj zabawy lub téż odnosili je na piśmie wybranym dygnitarzom ludzie wybitniejsi *(non contemnendi viri)*. Pisma takie opatrzone bywały pieczęcią woskową, a odnoszący wręczali je z całą powagą. Mało można było znaléść kogoś pomiędzy senatorami, duchownymi, dworzanami, coby nie był zaszczycony takim dyplomem. Zwykle przyjmowano te godności bez wahania, a jeżeli kto opiérał się przyjąć nominacyę, narażał się na wyśmianie, a im bardziéj się gniéwał, tém więcéj śmiano się z niego i to dopóty, aż wreszcie musiał przed Babinem czoła uchylić.

Daléj Sarnicki opowiada, iż nie każdy odrazu mógł zostać urzędnikiem babińskim. Jeżeli zaś jaki „nowicyusz" powiedział dowcip, zachowywano pozory namysłu czy godzien wejść do towarzystwa; musiał najprzód dać poznać, w jakim kierunku ma zdolności, aby właściwy urząd otrzymał. Nie uchodził żart kłamliwy, mogący kogoś obrazić lub potępić. Z tego może powodu zapewnia Sarnicki, że te żarty towarzyskie przyczyniały się wielce do poprawy obyczajów wśród młodszych, wyrabiały dowcip, uczyły ich skromności. Byli przytém między babińczykami tacy wyborni znawcy, cenzorowie, życia i obyczajów, iż żaden lekarz nie rozpoznał dokładniéj ludzkich skłonności, żaden profesor etyki nie wyłożyłby tak dobrze wad i obyczajów, żaden fizyognomista nie poznałby tak dokładnie natury ludzkiéj z twarzy, ruchów, chodu i ogólnego wejrzenia, jak ci boscy ojcowie *(divini patres)*.

Miejsce zebrań nazywano giełdą *(gelda)*, zapożyczywszy téj nazwy od gdańszczan; wyraz ten oznaczał także hałaśliwe zgromadzenie. Babińczycy przechwalali się, że posiadają przywileje zatwierdzające

---

[1]) Nazajutrz po koronacyi król odbiérał przysięgę od Krakowa i innych miast głównych, poczém dotykając mieczem kilku mieszczan kawalerami pasował. Kawalerowie ci nazywają się „Equites Aurati". Skrzetuski, „Prawo polit.", tom II, str. 94.

ich rzeczpospolitę przez królów, cesarza, a nawet papieża [1]). Z ludzi, stojących na ich czele przytacza Sarnicki dwóch: Piotra Kaszowskiego (Cassovius), sędziego i posła ziemi lubelskiéj, o którym skądinąd wiemy, że był właścicielem Wysokiego w Krasnostawskiém, i Pszonkę, właściciela Babina, który był zarazem burgrabią rzeczpospolitéj *(praefectus)*. Obaj mieli być ludźmi poważanymi i bardzo przyjemnymi w towarzystwie; obecność tych starców *(beati senes)* mile była widziana na każdém zebraniu, lub godach weselnych. W chwili, kiedy Sarnicki pisał *Annales* (1582 r.), Kaszowski żył jeszcze, Pszonka zaś już przed dwoma laty przeniósł się do wieczności. Sarnicki przytacza nagrobek napisany wierszem łacińskim temu założycielowi towarzystwa babińskiego, przez pewnego wcale niepospolitego poetę *(poëta quidam haud vulgaris)*.

Wreszcie przytacza Sarnicki dwie anegdoty. Oto razu pewnego zapytał się Pszonki Zygmunt August, czy babińczycy mają także swojego króla, na co Pszonka miał odpowiedziéć: „Uchowaj Boże, najjaśniejszy panie, ażebyśmy za twego życia mieli myśléć o wyborze innego króla; panuj tu i panuj w Babinie..." Król miał się roześmiać i całe otoczenie jego śmiechem wybuchnęło [2]). Druga anegdota Sarnickiego opowiada, że kiedy raz w pewném towarzystwie mówiono o starych monarchiach perskiéj, babilońskiéj i rzymskiéj, jeden z babińczyków zauważył, że rzeczpospolita babińska jest starszą od greckiéj i perskiéj i wszystkich innych, a wytłómaczył to w ten sposób: „Przecież już Dawid powiedział, że każdy człowiek kłamca *(omnis homo mendax)*, a wszak kłamstwo jest fundamentem i istotą rzeczpolitéj babińskiéj, mieści więc ona w sobie i Daryuszów i Aleksandrów i świat cały" [3]).

---

[1]) Profesor Tarnowski w swojéj rozprawie o Babinie niezbyt wyraźnie akcentuje treść tego ustępu Sarnickiego, pisząc, iż rzeczpospolita „pyszniła“ się przywilejami królów i t. d. „Pysznić się można z rzeczy posiadanéj, a więc mógłby ktoś sądzić, że rzeczypospolita rzeczywiście miała tego rodzaju przywileje. Co innego „przechwałka“, bo w samém znaczeniu tego wyrazu leży już kłamstwo. Sarnicki wyraża się: „jactabant“.

[2]) W licznych kompilacyjnych artykulikach o Babinie, autorowie ich, idąc za Szaniawskim (o którym niżéj), rozmowę tę króla z Pszonką przyjmują za fakt historyczny. Nawet prof. Tarnowski w swéj rozprawie o Babinie nie kładzie dostatecznego nacisku na podejrzaną autentyczność téj anegdoty. A przecież sam Sarnicki wtrąca do swego opowiadania „fertur“, co znaczy że „tak mówiono“, „tak opowiadano“, „tak wieść niesie“.

[3]) I tutaj przez dowolne parafrazowanie podniesiono anegdotę. Szaniawski nie wiadomo na jakiéj zasadzie pisze, że ta rozmowa odbyła się wobec króla, kiedy rozmawiał poważnie o dawnych dziejach. Prof. Tarnowski znowu przemie-

Na tém koniec relacyi Sarnickiego, na tém właściwie koniec i wszelkich naszych z pierwszéj ręki wiadomości o pierwszéj epoce Babina.

Odtąd cisza o nim zupełna przez lat 30. Dopiéro w 1617 przybywają nowe szczegóły, ale bardzo podrzędnéj wartości. Syn założyciela Babina, Jakób, wydawał wtedy córkę swą, Katarzynę, za Mikołaja Stradomskiego. Rozpowszechniona już wówczas była moda pisania wierszy okolicznościowych, w tonie panegirycznym. Znalazło się więc dwóch poetów, którzy fakt przemiany Pszonkówny na Stradomską przekazali potomności i nie omieszkali przytém sławić rzeczypospolitéj Babińskiéj. Pierwszym z nich był Bartłomiéj Wrześnianin (Wresnanus) magister i profesor Akademii krakowskiéj, autor kilku innych panegiryków łacińskich, któremu za ten wiersz, za wynoszenie Babina *ad summum honorem*, nadano tytuł propagatora i amplifikatora rzeczypospolitéj Babińskiéj. Szanowny magister powtarzał mniéj więcéj Sarnickiego, dowiadujemy się z niego przeto bardzo mało. Kiedy nowicyusz wstępował w grono obywatelów rzeczypospolitéj, mysiał wypić wielki kiélich, wilkom [1]) zwany *(vilkum)*, który mu podawał burgrabia (Pszonka) ze stosowną przemową. Po téj przemowie „weseli bohatérowie" *(heroës gaudentes)* zabiérali głos koleją, siląc się na dowcipy. Podaje ich kilka Wrześnianin, ale są one tak mało zajmujące, że bez ujmy dla rzeczypospolitéj opuścić je można. Ważniejszą jest wzmianka, iż mieli należéć za dawnych czasów do Babina: Kochanowski, Rej i Trzycieski [2]).

Drugim poetą, którego natchnęło zamążpójście Pszonkównéj był Jan Achacy Kmita, tłómacz klasyków i autor wielu broszur i dziełek

---

nia monarchię perską i rzymską na asyryjską i macedońską i rozszerza żartobliwą uwagę babińczyka, dodając, iż rzeczypospolita babińska była już za A d a m a, Daryuszów, Aleksandrów i... Cyrusów.

[1]) Wilkom. Wilkiem nazywano wogóle w Polsce wielki kielich powitalny, tak zwany z niemieckiego od *Willkommen, das Bewillkommen.* Kochowski we fraszkach wspomina o nim w czterowierszu:

Skarżysz się, że cie w i l k o m ktoś wczora pić musił,
Który cię w i l k chrzypotą o włos nie zadusił,
Ale się dobrze skarżysz, wszak to pospolita
W i l k o w i, że za gardło każde bydlę chwyta.

[2]) Prof. Tarnowski, wiersze.

Hic Kochanovius doctus, Reivsque faceto
Est vates calamo, Tricesiusque sacer...

odczytał mylnie:

Hic Kochanovius doctus reginoque faceto i t. d., przez co opuścił Reja a Kochanowskiego zrobił „wieszczem królewskim".

przeważnie przeciw żydom w tonie krotofilnym pisanych. I ten powtarza Sarnickiego, a nawet tłómaczy z niego nagrobek dla Pszonki, którego, równie jak Sarnicki, Psomką nazywa. Jest w nim jednak sporo nowych anegdot babińskich. Opowiadał ktoś, że widział dzwon z iłżeckiéj gliny, w który jak uderzą w Krakowie, to po ośmiu tygodniach w Rzymie go słychać będzie.

To takiego w Babinie historykiem zwano
Y dochód mu każdy rok pożyteczny dano,
Za każdy kunszt z gorzałki dwa achtela piany.
Godność każda na świecie ma mieć swe zamiany.

Inny chwalił się, że gdy pięścią uderzył wołu, to mu na drugą stronę aż ręka wypadła, za co otrzymał urząd hetmański. To znowu ktoś inny opowiadał o wieprzu (dziku), który, mając wybite przez myśliwych oczy, prowadzony był przez swego „syna", młodego dzika, trzymając się zębami jego ogona; jakiś myśliwy złożył się i „ustrzelił synowi figiel przy guzicy"; młody wieprz uciekł, a stary został z „chwostem w pysku", strzelec ujął za ten chwost i przyprowadził wieprza do zamku swego, o dwie mile oddalonego. Anegdota ta, bardzo często spotykana w druku i rękopisach, a w samych aktach babińskich dwa razy jeszcze z waryantami jest opowiedziana.

Frasska to, powiem ia coś, rzekł drugi, lepssego
Y wiadomości godno y coś pewnieyssego.

i opowiadał, jak „car" moskiewski, chcąc króla Stefana ubłagać, aby go przestał swojém zwycięstwem przemagać, przez biskupa rzymskiego jął się starać o to". Przysłał więc papiéżowi „krogulca w podarku y złoto"; papiéż, jako nie myśliwy, krogulca podarował królowi hiszpańskiemu, ten znowu francuskiemu, tamten cesarzowi, od którego dostał się krogulec Batoremu, przy którym wreszcie pozostał, gdyż ten jeden tylko monarcha był „dobrym żołnierzem i też myśliwcem". Pewnego razu Batory, będąc na polowaniu, wystrzelił do jelenia; krogulec schwytał kulę w locie i sam „zgonił jelenia wylotném ćwiczeniem", poczém usiadł na głowie jelenia, który, chcąc go ze siebie zrzucić, zaplątał nogę między rogami. Opowiadający tę anegdotę został „posłem do Niemiec od Babińskiéj Rzeczy".

Dziad znowu Kmity, za to, że, zajęty rozmową, nie uważał na zwrócone do niego zapytanie, tyczące się ścięcia w Piotrkowie posła tureckiego, został tureckim tłómaczem" [1]). Kiedy podstolego Garny-

---

[1]) Ścięto nie posła tureckiego, lecz jakiegoś turczyna „Cyrkasanina", który śmiertelnie ranił Gajskiego. Kazał go ściąć Mikołaj Cikowski, ochmistrz Izabelli,

sza ominęło starostwo sandeckie, dano mu wielkorządztwo w Babinie. Wojewodzie witebskiemu, Zawiszy, posłano dyplom na cześnika, ponieważ pijał tylko wino. Anegdotę o Zygmuncie Auguście powtarza Kmita szeroko z Sarnickiego, z tą różnicą, że nie Pszonka miał być autorem dowcipnéj odpowiedzi, ale kanclerz babiński, Kaszowski. Dymitrowski Stanisław, dziad Kmity po kądzieli, opowiadał cały szereg anegdot i zmyslań; miał takiego charta, który zająca brał za paznogieć; na Mazowszu widział bróg ogórków; konia, mającego tam głowę gdzie ogon; w Sochaczowie mu znowu pokazywano przetak, pełen dészczowéj wody i siekiérę z wełny; pewnego razu w Pęcławicach złapał kilka sokołów, które przybiegły aż z Francyi, zapędziwszy się tak daleko podczas polowania, urządzonego przez króla francuskiego. Prócz anegdot babińskich, przytacza Kmita inne też anegdoty, których bohatérowie lub opowiadacze mieli również nadane tytuły przez koło swoich przyjaciół, ale nie w Babinie. Zgodnie z Wrześnianinem, do cechu babińczyków zalicza Kmita „miodopłynnego pisoryma" Kochanowskiego, Reja „w polski rym łacnego" i Trzycieskiego; prócz nich wylicza jeszcze Paprockiego i Sępa (Szarzyńskiego), który „wierszem smaczny, miał urząd niepośredni w tym sławnym Babinie". Pszonkę nazywa stoletnim, lubo miał on w chwili śmierci lat 65 zaledwie.

Do dziejów wewnętrznéj organizacyi Babina nic nam z Kmity nie przybywa, z wyjątkiem potwierdzenia, że dawano przywileje i że je posyłano. Jest w nim także luźna wzmianka o jakichś rejestrach skarbowych Rzeczypospolitéj, o jakichś „prawach porządnych" i o „wakansach" [1]).

Jak widzimy, Wrześnianin i Kmita nadzwyczaj mało uzupełniają opis Sarnickiego. Nawet anegdoty, przez nich przytoczone, odnoszą się w znacznéj części do drugiéj epoki Babina. Sarnicki więc pozostaje wciąż jedyném źródłem do początków rzeczypospolitéj babińskiéj to téż powtarzają go dosłownie Chwałkowski (*Singularia quaedam Polonica*, 1696, str. 85) i Hartknoch (*Respublica Polonica*, 1694, str. 94) [2]). Pomimo stu kilkunastu lat ubiegłych od wydania *Annales* Sarnickiego i pomimo, iż obaj ci pisarze żyli jeszcze za czasów

---

królowéj węgierskiéj, siostry Zygmunta Augusta. Pisze o tym wypadku Grochowski w swoim poemacie „August Jagiełło wzbudzony".

[1]) Wiszniewski w VI tomie literatury str. 621, pierwszy dał poznać wiersz Kmity szerszemu ogółowi, ale w skróceniu i jak się zdaje z rękopisu, gdyż sporo w nim błędów.

[2]) I w trzeciém wydaniu Hartknocha (1698, str. 86) znajduje się opis Babina „verbis Stanislai Sarnitii". Chwałkowski w „Effata regum Poloniae" podaje tylko anegdotę o Zygmuncie Auguście (1694, str. 70).

istnienia rzeczypospolitéj, żaden z nich nie zdobył się na drobne choćby przyczynki do dziejów Babina i do jego ustroju. Nieznane im były nawet widocznie wiersze Wrześnianina i Kmity, co zresztą nic dziwnego, bo takich ulotnych piśmideł pojawiało się tysiące, a czytano je tylko w drobnych kółkach przyjaciół rodzin rymem chwalonych.

Dopiéro w r. 1818 dowiedziawszy się znacznie więcéj o Babinie, ks. Szaniawski czytał o nim dnia 15 stycznia na publiczném posiedzeniu Towarzystwa królewskiego warszawskiego Przyjaciół nauk. Zauważywszy na wstępie, iż „słodycz towarzyskiego życia ujmuje serca wszystkich", poświęcił kilka słów „niewinnéj miłości", wspomniał, iż Izys w Egipcie, Ceres i Bachus u Greków „były powodem do utworzenia rozlicznych owych czasów widowisk", które miały wzbudzać „czułość i śmiéch dla poprawienia obyczajów". Wspomniawszy jeszcze coś o Rzymianach, o czasach „kawalerskich i krzyżackich", przeszedł Szaniawski do czasów Zygmunta Augusta, w których nietylko prowadzono walki z nieprzyjacielem i radzono wymownie na publicznych zjazdach, ale poświęcano się i pewnym naukom, trudniono się „dowcipną zabawą, która, oświécając umysły i wzruszając przyjemnie serca, może skuteczniéj poprawia wady ludzkości, niżeli suche częstokroć filozofów szkoły". Dowodem na to dostatecznym być może „rys rzeczypospolitéj Babińskiéj". Do opisu jéj „mową Rzymian kréślonego" przybywa materyał z księgozbioru Czartoryskich w Puławach, „gdzie zdaje się, że Muzy ulubione dla siebie założyły siedlisko". Jest w tym księgozbiorze rękopis, obejmujący część aktów, czyli protokułów rzeczypospolitéj babińskiéj. Zanim jednak przystąpił ks. Szaniawski do jego opisu, przetłómaczył, a raczéj przeparafrazował Sarnickiego. Nie trzymał się jednak go ściśle, jak to już wyżéj w przypiskach zauważyliśmy. Był znany również Szaniawskiemu wiersz Kmity, nadesłany mu przez Ambrożego Grabowskiego z Krakowa. Po szczegółowym opisie zewnętrznym aktów babińskich, które do biblioteki puławskiéj dostały się ze Szwecyi, gdzie je odnalazł Felicyan Biernacki, członek Towarzystwa K. W. P. N., autor rozprawy, przytoczył z nich kilkanaście wyjątków, a zakończył wzmianką o podobnych towarzystwach, jakie istniały we Francyi i we Włoszech. Ciekawym jest szczegół, iż w Warszawie w r. 1807 było towarzystwo pod nazwą Betomanie, składające się z osób miejscowych i wojskowych francuskich. „Członki towarzystwa tego zgromadzały się na obiady składkowe", nosili, jako oznakę wiązeczkę siana na wstążce przy guziku na piersiach, czytali i deklamowali roboty własne wierszem lub prozą dowcipne i wesołe". Rozprawę swoją wydrukował ks. Szaniawski w „Pamiętniku warszawskim" (zeszyt lutowy, 1818, Windakiewicz

mylnie podaje rok 1817) i w „Rozmaitościach", dodatku do „Gazety Korespondenta warszawskiego" (1818 nr. 11 i dalsze).

Jak przedtém Sarnicki, tak teraz ks. Szaniawski stał się jedyném źródłem do artykułów o Babinie. Było ich sporo, ale szkoda miejsca na ich spisywanie. Słabe te kompilacyjki przesadzały się jedynie w superlatywach, przez które rzeczpospolita Babińska wzrastała coraz więcéj w opinii. O popularności jéj świadczy tytuł „Pszonki", nadany dwom wydawnictwom satyryczno-humorystycznym (Kaczkowskiego, w r. 1832 i Zienkowicza, w Paryżu), jako téż trzyaktowa komedya Wężyka: „I ja téż, czyli rzeczpospolita Babińska" [1]).

Po wielkich uwielbieniach przyszedł pomału czas na krytykę.

Już Wiśniewski, lubo pisze, że „w rzeczypospolitéj Babińskiéj znakomici nauką i dostojeństwy w kraju mężowie, bawić się umieli, karcąc lekkie w ludziach przywary" (VI, 4), to przecież, przytoczywszy w skróceniu wiersz Kmity, dodaje: „z czasem zwykłą rzeczy ludzkich koleją wkradł się zbytek do rzeczypospolitéj Babińskiéj, a pierwotne godło *ridendo castigo mores* zamieniło się na *scribimus et bibimus*".

W roku 1845 oglądał W. A. Maciejowski w Sieniawie (rękopis przewieziony z Puław) aktów babińskich i w „Piśmiennictwie" swojém

---

[1]) Babin znany był i zagranicą dzięki pisarzom obcym, piszącym o Polsce. W dziełku „Essai politique sur la Pologne" (1764, à Varsovie de l'imprimerie de Psombka) znajduje się obszerny opis Babina, wzięty z Sarnickiego, i ze wzmianką o francuskiém towarzystwie tego rodzaju, noszącém nazwę „Regiment de la Caotte". F. A. Schmidt, domownik Brühla, w dziełku „Abrégé chronologique de l'histoire Pologne" (1763) pomiędzy „savans illustres" umieścił i Kaszowskiego z tego tylko tytułu, że był kanclerzem babińskim. Ze Schmidta wziął tę wiadomość „Constant d'Orville („Le fastes de la Pologne et de la Russie"), a z niego znowu Nougeret („Beautés de l'histoire de Pologne). W taki sposób poczciwy Kaszowski stał się znanym zagranicy na równi z największymi mężami naszéj nauki i literatury.

W bibliotece Czartoryskich znaleźliśmy ośmiokartkową broszurę p. t. „Beschreibung des Ursprungs der Alabander" (1654, bez miejsca druku). Jestto opis początków założonego w Prusach książęcych stowarzyszenia humorystycznego. Opis ten jest bardzo krótki, bo większą część broszury zajmuje przedruk dosłowny wiadomości Sarnickiego o Babinie, wraz z dosłownem tłómaczeniem niemieckiém. Jestto têm więcéj charakterystyczne, że na przekład polski Sarnickiego nikt się do naszych czasów nie zdobył.

Dzięki uprzejmości dyr. Estreichera, wypisaliśmy z jego notat tytuł broszury niemieckiéj (bez daty i miejsca druku), podany w jakimś katalogu antykwarskim niemieckim. Oto jego brzmienie dosłowne: „Nosce te ipsum. Noth u. Hülfs Büchlein für die sichtb. u. unsichtb. sowohl weibl. als männl. Glieder des in Dülken v. unseren Vorfahren zugl. auch in Polen gestft. u. d. Namen B a b i e n a bekannten so fort v. uns bei'm diesjähr. Fasching erneuerten Narren-Ordens".

opisał go, podając przytém kilkanaście z niego wyjątków (III, str. 258). Kilka ostatnich zapisek nazywa Maciejowski „konceptami", a to dlatego, że „nader lichemi ukazują się być dowcipki, wylęgłe w głowach nowszych babińskich republikantów". Zobaczymy późniéj, czy Maciejowski słusznie ocenił owe „dowcipki"; tu zanotujemy jednak, iż nie miał słuszności, czyniąc różnicę w ocenie swéj całości aktów, a przydanych do niéj na końcu „konceptów".

Tenże sam Maciejowski oglądał w bibliotece zakładu im. Ossolińskich księgę rodziny Pszonków, która jednakże nie ma żadnego związku z samą rzecząpospolitą. Bielowski w r. 1873 wydał część téj księgi, jako „Pamiętnik Jakóba Pszonki". Jest on dość zajmujący, oprócz bowiem materyału do rodowodu Pszonków, zawiéra nieco wiadomości historycznych. Dla nas jednak, dla rzeczypospolitéj właściwie, jest on całkiem obojętny.

Trzecim, który widział akta babińskie, a raczéj z nich skorzystał, był hr. Stanisław Tarnowski. Kiedy Matejko wystawił swój obraz, przedstawiający rzeczpospolitą babińską, zajrzał prof. Tarnowski do biblioteki Czartoryskich i porobił z aktów babińskich stosowne wyciągi, które mu posłużyły do napisania barwnego artykułu o rzeczypospolitéj. Do ostatnich czasów była to najobszerniejsza jéj monografia. Po za aktami i przytoczonemi powyżéj drukowanemi źródłami, nie zalazł prof. Tarnowski żadnego więcéj do swéj rozprawy materyału. Jestto rzecz bardzo wymowna, na którą późniéj zwrócimy baczniejszą uwagę. Prof. Tarnowski pierwszy stanowczo zachwiał zbytnie zaufanie, jakie pokładano w humorze i satyrze Babina, w drugiéj, większéj epoce jego istnienia. Jak widzieliśmy już, Wiśniewski i Maciejowski podnosili zarzuty, ale dopiéro prof. Tarnowski silnie zaakcentował swoje „rozczarowanie". Usiłuje wprawdzie dowodzić, że nie można z epoki drugiéj sądzić o pierwszéj. „Nieraz tak bywa—pisze—że to, co żywotne i silne, zapisuje się czynami w pamięci ludzkiéj i o to nie dba, by zapisać się na papiérze, dopiéro, gdy czuje, że z życia wychodzi, że może zniknąć zupełnie, wtedy, chcąc ślad jakiś i pamięć po sobie zostawić, ucieka się do pióra i inkaustu". Tak miało być z Babinem dopóki kwitł, stał *moribus antiquis virisque,* a kiedy gwiazda jego zbladła, chciał zabezpieczyć pamięć o sobie. Czy to odróżnienie dwóch epok ma podstawy, jest rzeczą zapatrywania. Dość, że prof. Tarnowskiemu cokolwiek przykro, iż w czasach bardzo już nieszczęśliwych „bawiono się spisywaniem złych czy dobrych konceptów i kłamstw wszystkich facetusów z Korony i Litwy". Zapewnia, że nie było w tém złéj myśli, lecz prosta naiwność. Dziwna i to, że „żart tak długotrwały nie sprzykrzył się, nie przejadł". Ale gdyby

chociaż te koncepta i wymysły były zabawne! Zawiedzie się, kto sądzi, iż znajdzie w aktach niewyczerpaną kopalnię dowcipów ciętych satyrycznych. Tego, co byłoby najciekawsze, a stanowiłoby zarazem zasługę rzeczypospolitéj, t. j. satyry politycznéj, aluzyi do stosunków, lub zdrożności życia politycznego do bieżących wypadków, nie ma w aktach wcale. Najwięcéj jeszcze interesować mogą nazwiska, z którėmi czasem spotykamy się na kartach dziejów i literatury. Ku końcowi prof. Tarnowski podejrzéwa nawet wielkość pierwszéj epoki Babina. „Za Zygmunta Augusta już może nie wesoła do widzenia przez swą lekkomyślność, ale przez naiwność swoją, przez samorodny popęd wesołości sympatyczna, za Jana Kazimierza ona nie do śmiéchu usposabia, ale do politowania... Wziętości zawsze miała dosyć (i to jeszcze pytanie *B. K.*) i więcéj na prawdę, niż dowcipu i fantazyi". Może w swoich początkach Babin był ożywiony myślą głębszą i był trafną satyrą, ale późniéj nie można się niczego podobnego w nim dopatrzéć.

Tak wygląda w streszczeniu pogląd prof. Tarnowskiego na rzeczpospolitą Babińską. Widzieliśmy, jak krańcowo jest mu przeciwny pogląd p. St. Windakiewicza. Który z nich jest prawdziwszy, przekonamy się, przejrzawszy „Akta rzeczypospolitéj Babińskiéj". Zaznaczamy jeszcze, iż wydawca ich dokonał swéj pracy sumiennie, nie szczędził trudów, aby odczytać dokładnie rękopis, objaśnił go licznemi tekstowemi i rzeczowemi przypiskami i opatrzył indeksem osób.

III.

Na pierwszych kartach „Aktów babińskich" znajduje się: opis rzeczypospolitéj przez Sarnickiego, wiersz Wrześnianina i wiersz nieznanego autora p. t.: *Inclitae Babinensis monarchiae brevis descriptio.* Ten ostatni utwór, najlepszy bez wątpienia pod względem literackim, nie przynosi jednak nic nowego do dziejów Babina. Po nim zaraz idzie: „Dla pamieczj: Vrzędników babińskich Regestr", który wypełnia resztę całéj księgi.

Regestr ten rozpoczął prowadzić w r. 1601 Jakób Pszonka, syn założyciela rzeczypospolitéj. Po jego śmierci w r. 1622, zięć tegoż, Wacław Zamoyski, opiekował się księgą, zanim nie objął rządów w Babinie ostatni z Pszonków, syn Jakóba, Adam, późniéj chorąży chełmski i podkomorzy lubelski. Z nagrobka Adama w Lublinie dowiadujemy się, że umarł w roku 1677 i na tym téż roku kończy się

właściwie „Rejestr urzędników babińskich". Wyginął ród Pszonków — zgasła z nim rzeczpospolita Babińska. Po śmierci Adama przybyło do aktów już tylko dwie zapiski. Wreszcie położył ktoś datę 2 kwietnia 1782 roku — i nic pod tą datą nie umieścił. Cały „Rejestr", z bardzo małym wyjątkiem, jest księgą nominacyi. Czasem, ale to rzadko, nominacya jest zanotowaną bez motywów, motywem zaś była jakaś anegdotka, a przeważnie jakieś nieszkodliwe, dla przyjemności właściciela Babina wymyślone na poczekaniu kłamstwo. Spotykamy w „Aktach" wyraźnie: „X., chcąc wkupić się, powiedział to a to". Znajdzie się i rym od czasu do czasu, lub anegdota poza-babińska, przez kogoś nadesłana, lub ustnie za jego pobytu w Babinie przytoczona. Za czasów Jana Pszonki prowadził księgę on sam, przy pomocy paru innych babińczyków, znajdujemy bowiem autografy gości babińskich, w dniu położonéj zapiski mianowanych urzędnikami rzeczypospolitéj. Adam Pszonka przeciwnie był wielkim zwolennikiem autografów, bo prawie połowa nominacyi jest podpisana własnoręcznie przez nominowanych, a częstokroć i przez świadków nominacyi.

Niesposób prawie wyliczyć wszystkich urzędów, nadawanych przez Babin, za czasów téj drugiéj jego epoki. Wogóle bardzo mało udzielała rzeczpospolita większych godności. Gdzieniegdzie tylko spotykamy się z nominacyą na arcybiskupa, sufragana, podstolego, referendarza spraw cudzoziemskich, rotmistrza, pułkownika, admirała, — za to roi się w rejestrze od kuchmistrzów, koniuszych, rybitwów, łowczych, aptekarzy, medyków, lektorów, piwniczych i t. d. Znajdujemy też po jednym lub po paru architektów, konserwatorów, cyrulików, anatomistów, lodowniczych, świadków, ślusarzy, tokarzy, dystylatorów, zegarmistrzów, bankietników, osaczników, karocierów, ogrodników, kapelanów, sędziów, ptaszników, spowiedników i t. d. Jest nawet apostoł, jest majordomus, kucharz sobotni (postny), rarożnik, spekulant, miodowarnik, łaziebnik. Czasem jedna i ta sama osobistość posiada po parę, a nawet po kilka urzędów, bo *in Republica Babinensi compatibilia sunt* dwa urzędy miecz". A nikt się tak o te urzędy nie ubiegał, jak p. Tomasz Zaporski, skarbnik lubelski, widocznie bliski sąsiad Babina, bo często go odwiedzający. Został naprzód w tym samym dniu alfabetistą i „życząc mieć jaknaiwięcéj vrzędów sobie w Babinie" zarazem „antipatistą much"; niedługo potém przybyły mu urzędy: łowczego, stawidlarza, starszego cechu kuśnierzy i skrupulanta. Należał mu się jeszcze urząd „skromnisia", bo łobuz wierutny był ten pan Zaporski; gdzie tylko mógł coś o „kobiétkach" wtrącić, nie iczył się ze słowami, ani ze stanem kapłańskim. I sam wiersze pisał i do niego rymy układano.

Z czasów Jakóba Pszonki (1601—1621) pozostało 158 zapisek. Przypatrzmy się im bliżéj.

Rozpoczyna „Rejestr" Wincenty Wielogłowski, *oficialis babinensis*, a na przydatku dozorca babiński" [1]). Wyniesiony na te urzędy babińskie z téj przyczyny, że wstawione przez niego trzy beczki do zakrystyi wypito w ciągu dwóch tygodni. Wielogłowski dodał jeszcze uwagę, że „do mszy wina było dostatek".

Po nim pan Cieszkowski został przewodnikiem i ślusarzem, a pan Szamotulski rotmistrzem — za co spotykały ich te zaszczyty, „Rejestr" nie podaje.

Najwięcéj w téj epoce było myśliwców, strzelców i łowców babińskich. Został nim naprzód p. Jakób Dąbrowski, „Jego Mci Pana Dunina z Skrzynna sługa", ponieważ za jedném puszczeniem jastrzębia po Trzech Królach, dziewięć kuropatw ugonił. Po Dąbrowskim został strzelcem (urząd więc ten sam) Stanisław Bobrownicki, bo za jednym strzałem 50 kaczek zabijał, a każdy ptak „zdechł", skoro tylko kula choć po pierzu go musnęła. Krzysztof Średziński, podczaszy halicki, znał strzelca, który ptaki tak „zamawiał", że „przypaść do ziemi musiały"; zamówione, nie ruszały się, aż do tego dnia, kiedy przyszedł i wszystkie wystrzelał; — „*et ideo supremus ioculator*, *alias* strzelecz zwierzyni dla kuchnie babińskiej". Łowiectwo „sobolowe" konferowano Adamowi Jordanowi z Zakliczyna, wsławionemu późniéj pod Cecorą i Chocimem, który, powróciwszy z wyprawy Dymitra Samozwańca, „albo raczéj żałosnego wesela", opowiadał, że za Laponią wychodzą sobole stadami, liczącemi po kilkadziesiąt tysięcy, a Lapończycy zabijają tylko te sobole, które przynajmniéj trzy lata mają. Niewiadomo, dlaczego nie dostał nominacyi Jan Dierżek, chociaż powiedział przed „autorem rzeczypospolitéj Babińskiéj", że widział w Niemczech, jak 14 tysięcy jeleni przebiegało przez pewne miasteczko. Za to nie ominął urząd łowczego Mikołaja Spytka Ligęzy, kasztelana czechowskiego, głośnego mówcy sejmowego, posiadającego taką wronę, „czo kuropatwy uganiala". Nie wydało się babińczykom prawdą, jakoby książę Konstanty Ostrogski w nocy przy świetle „lanich swicz" szczwał zająca, a ponieważ opowiadał to pan Wacław Zamojski, ożeniony późniéj z Pszonkówną, przeto „dal się Jego Moszczy urząd *supremus venator* babiński". Myśliwcem „otokowym" został Maryan Sierakowski, bo miał sługę, który zamiast wyżła na otoku wszystko wiatrem poczuł; był mu więc bardzo pomocny

---

[1]) Słowa: „Qua propter sit in eterna secula oficialis Babinensis", odczytał prof. Tarnowski: „Qua propter sit in E c c l e s i a oficialis Babinensis".

w Wołoszech, bo wywąchiwał zboże, szaty i klejnoty zakopane. Do łowczych należeli jeszcze: Stanisław Snopkowski, który miał jastrzębia, goniącego kulę wystrzeloną z muszkietu [1]), Jan Zaręba, starosta stawiszyński, głośny awanturnik, bo słyszał, jako jeden z jego krewnych miał krogulca, który uciekającego wpław przez rzekę wilka dogonił i zatłukł, bijąc go po głowie, Jerzy Rzeczyński, starosta urzędowski (zginął podczas oblężenia Zbaraża) za opowiadanie, iż żubr, gdy chce dosięgnąć ozorem chłopa, przed nim za sosną chowającego się, tak drzewo zliże, że je „do kęsa" z kory obierze", Mikołaj Ożarowski, który „za późnych i niezamrożonych siewów" szukał kuropatw na wodzie, Jan Tarnowski (kasztelan żarnowski) za to, że miał rękawicę, w którą ułowiona została przepiórka. Ta wielka ilość łowczych, myśliwych, strzelców, zwróciła uwagę Pszonki i jego towarzyszów, namyślali się więc, czyby nie wstrzymać dalszych na ten urząd nominacyi, ale cóż robić? Kiedy urodzony p. Piotr Gierałtowski miał charta tak rosłego, że człowieka „przedniego wzrostu" dosięgał do pachy, a dogoniwszy zająca, nogą go trącał i dopiéro, „naigrawszy się z nim", brał go zmordowanego. Wobec tego faktu uradzono, że lubo już „kilkom konferowany jest urząd łowiecki", to jednak ponieważ „rzeczpospolita ma swoje własne prawa i nie podlega konstytucyom koronnym", przeto nie może pomijać zasług p. Gierałtowskiego, który téż był ostatnim łowczym, mianowanym za życia Jakóba Pszonki.

Po łowczych największa była liczba kuchmistrzów, podczaszych i cześników, bo aż do dwudziestu. Nie będziemy wszystkich przytaczali, tylko co ważniejszych, lub takich, których powody nominacyi mieszczą w sobie choć odrobinę dowcipu. Ks. Wysocki Szymon, Jezuita, został cześnikiem, ponieważ „powiedal", że dla poczęstowania jednego filozofa potrzeba było „kocziel klosków nawarzicz", a gdy komuś zabrakło pszennéj mąki, szyszek sosnowych dwa kotły ugotował „y tem onego filozofa vczęstowal". Wojciech Zawisza został podkuchmistrzem za to, że widział tak wielkie ryby w Moskwie, że kiedy je warzono w kotłach, to szumujący owe ryby czółnem musiał jeździć po kotle. Jednego dnia przybyło Babinowi od razu dwóch kuchmistrzów: p. Mikołaj Plesznicki, kasztelan małogoski i p. Koryciński (może Jędrzéj, kasztelan wiślicki); pierwszy z nich opowiadał (choć nie był naocznym świadkiem), iż na pogrzebie Mniszkowéj, wojewodziny sandomierskiéj, matki Maryny, zabito do kuchni 160 karmnych wołów, a drugi zachęcony widocznie tém opowiadaniem zaręczał, iż na bankiecie u arcybiskupa gnieźnieńskiego, Gamrata, kuchmistrz, „nie

[1]) Porównaj anegdotę Kmity o krogulcu Batorego.

mając materyi, z czegoby półmiski wymyślał, aż z sieczki wymyślać i przyprawiać dobrze kazał", a ponieważ potrawy te dawano na końcu, kiedy się wszyscy już najedli, arcybiskup pokosztowawszy ich, „frasował się, iż co najlepsze z sieczki półmiski na ostatek zachowano". Również jednego dnia (17 lipca 1612 r.) przybyli rzeczypospolitéj cześnik i podczaszy. Pierwszym mianowano Krzysztofa Buczyńskiego, który opowiadał, iż Stanisław Czelabski (Czelapczky) „miewa na się takie godziny", w które go takie pragnienie napada, że bez upicia się dziesięć garncy duszkiem, „garniecz po garnczu" wypija. Jak poprzednie opowiadanie Plesznickiego było zachętą Korycińskiemu, tak tu znowu p. Buczyński pociągnął za język p. Zbożnego Pieniążka, który widział jak Joachim Siemichowski, przybywszy do Krzysztofa Byliny, najprzód wypił dwa garnce gorzałki, po obiedzie dwa garnce małmazyi, którą popłukał dwoma garncami przedniego wina, „a iż sobie podpić nie mógł, konkludował pół achtelek dobrego piwa, a przedsię trzeźwo odjechał", golnąwszy sobie jeszcze strzemiennego kilka garncy miodu. Słysząc to pani Pieniążkowa, uniesiona snać ambicyą prześcignięcia wesołych towarzyszy, wlała duszkiem (naturalnie słowy tylko) w gardło jakiegoś pana Gładysza, ni mniéj ni więcéj, tylko trzy beczki wina, za co Babin cześniczką ją swoją ustanowił. Mąż téj pani Pieniążkowéj, Jędrzéj, otrzymał urząd pokrewny, bo „austeryarza" za opowiadanie o p. Bielskim, który we Wrocławiu kazawszy na 50 osób „nagotowacz ieszcz", sam wszystko zjadł, a chciał zapłacić od jednéj osoby; gdy zaskarżono do sądu, sędzia, pragnąc wydać wyrok, oparty „na doświadczeniu", kazał uwarzyć kopę karpi, które p. Bielski zjadł, popiwszy dwoma achtelami piwa i w ten sposób uwolnił się od zapłaty gospodarzowi. Adam Regowski widział w Anglii, jak kupujący szczupaki, rozrzynają im brzuchy i patrzą czy są tłuste; w przeciwnym razie, puszcza się je napowrót do wody, aż nie wyzdrowieją— „za to dał się jegomości urząd kuchmistrz rybny babiński". W roku 1615-ym p. Pieniążkowa, cześniczka, otrzymała koleżankę w osobie p. Doroty Rejowej, za to, iż młode wina przemieniała w stare, lejąc je do starych szklenic.

Do liczniéj reprezentowanych w Babinie urzędników, należeli jeszcze koniuszowie, rybitwowie, rybołowi i ekonomi. Stanisław Janowski [1]) został rybołowem pstrągów i łososi, bo widział w Podgórzu nurków, co cały dzień i noc siedzą w wodzie, pstrągom łamią głowy, kładą je pod

---

[1]) Maciejowski, a za nim prof. Tarnowski nie wiadomo dlaczego przerobili go na Stanisława Tarnowskiego, kiedy (jak to sprawdziliśmy) najwyraźniéj jest w oryginale: Janowski.

kamień, a potém wybiérają. Mikołajowi Brzozowskiemu przypadł ten sam urząd za szczupaka długiego na dwa sążnie i pięć piędzi. Latalski „upiwszy się w stajni za koniem spał”, a więc został koniuszym. Mikołaj Wolski, marszałek koronny nadworny, karmił kapłony sieczką drobno rzezaną, „kiedi ia vkropem wrzacem zatrze”, a więc otrzymał tytuł ekonoma. Ten sam urząd nadano Mikołajowi Ossolińskiemu, bo znał ekonoma wojewody kijowskiego (Tom. Zamojskiego), który miał dochodu od każdéj gęsi 6 złotych, a od kokoszy 3 złote, „sam zaś Jego Moszcz miał gospodynię, która sama kurczęta z iaiecz wilegała, także y gasieta.”

Zaznaczywszy, iż najwięcéj było urzędników od jadła, picia i polowania, nie będziemy kolejno innych urzędów przebiegali, a tylko w chronologicznym porządku podamy jeszcze w streszczeniu lub w całości kilkanaście najlepszych, najdowcipniejszych, lub mogących czém inném zainteresować zapisek.

„*Anno 1603 15 Octobris* w Radomiu, Pan Biesiekiersky zostal vrzednikiem babinskiem *riualis Babinensis*, iss do domu, w posczieli polozony, czepiecz prziwiosl, ktori czepiecz tak wiele rozruchu vczinil w domu, ze piethnasczie razy przisiegal, ass w Krakowie na iubileussu z tego wziol rozgrzessenie. Mial natenczas lath do 70.”

Waleryan Trepka został doktorem „z tej miary”, iż kilka garncy małmazyi każe wypić w najcięższéj gorączce; „powiedal, że pana ojcza tak uleczyl. *Probatum*”.

Jakób Ostrowski otrzymał tytuł rewizora, gdyż przez 12 lat, będąc dwa razy tylko w Babinie, „bardzo się bał, aby się nie uprzykrzył częstem bywaniem swojem”.

P. Stanisław Sokół uraził widocznie Pszonkę, twierdząc, iż w Chorążycach (koło Proszowic) jest izba, „jako tych trzy babińskich wzdłuż i wszerz”,—za co został architektem i geometrą.

Marcin Silnicki „ma być zwany na potém Herkules”, bo powadziwszy się w Niemczech o elekcyę „dzisiejszego Pana” (Zygmunta III-go), mimo, że miał dopiéro 14 lat, tak ciął Niemca w ramię, że szpada dopiéro o pas żelazny się oparła, płuca wypadły, a ręka tak się spuściła, że ze stopą się zrównała. „A przedsię niemiecz ziw zostal.”

Jan Jatmański, dotychczas kapelmajster babiński, postąpił na admirała morza babińskiego, bo widział jak wóz opatrzony w żagiel 14 mil „za dwie godziny ubieżal”. Takich wozów bez koni szybko posuwających się, jest w „aktach” jeszcze kilka: zwykła za to nominacya karocyer babiński.

Chorąży Czerny proponował, aby przy wnoszeniu zdrowia nie

wstawać, czapki nie „zdejmować", a sam się do tego nie stosował, „aż z naprzykrzeniem." „Legislator babinsky s tey miary" [1]).

Krzysztof Latyczyński, marszałek babiński, opowiadał bajdy jakiegoś księdza Ziemiana. Był on w jakiémś mieście, które się na śrubach obracało, a którego panem jest Farnodziej. Płynie przez nie mléczna rzeka, mająca jaglane brzegi, a trzy razy szersza od Wisły. Na środku rynku stoi wół pieczony z wielką bułą chleba papieskiego między rogami [2]). Każdy może ukrajać chleba i wołu, ile mu potrzeba, a nic nie ubywa. W témże mieście jest zégar, „co go jeszcze nieboszczyk najpierwszy człek Adam" zrobił „i zaraz nakręcił". Ks. Ziemianinowi dawano w tamtejszym klasztorze urząd z wielkiemi dochodami, ale nie przyjął, bo to zakon „przytwardszy"; każdemu mnichowi ucinają nogi po kolana i musi przysiądz, że nie uciecze. Tego miasta jest siedm mil, a ptaki w niém są tak wielkie, że kiedy jedną nogą stoją na jednéj bramie miasta, to drugą opiérają się na drugiéj. Pewnego razu stłukło się jajo takiego ptaka i trzy prowincye zalało. „Dało się jego mości oficyałem być babińskim."

Inny ksiądz, scholastyk włocławski, Krzysztof Charbicki, został sufraganem, bo, będąc w Rzymie, musiał przejść dziennie 40 mil włoskich, „a tho dziewiecz koscielow obchodzacz". Konfirmacyę polecono Charbickiemu wyjednać sobie u Jegomości księdza arcybiskupa babińskiego. Kto nim był i czy wogóle był, nie wiadomo, bo z arcybiskupem spotykamy się dopiéro w 40 lat późniéj.

Ostroróg, wojewoda poznański, teolog babiński (z jakiéj racyi, nie ma wyjaśnienia), zapisuje w księdze dwuwiersz:

Dajcie mu w skok kałamarza,
W każdym stanie znajdzie łgarza.

Dwuwiersz ten znajduje się napisany z boku przy wierszu łacińskim ks. Stanisława Łubieńskiego, proboszcza gnieźnieńskiego, późniejszego biskupa płockiego, wybitnego historyka [3]). Wiersz swój

---

[1]) Kochanowski w „Apophtegmatach" opowiada podobną anegdotę o Myszkowskim, biskupie płockim, tylko że tamta jest dowcipniejsza.

[2]) Maciejowski zauważył z powodu owego chleba papieskiego, że „protestant powiedział ten dowcip". Ponieważ jednak ks. Ziemianin był „starszym sługą Jegomości ks. biskupa chełmskiego", przeto chyba tylko powtarzał dowcip protestanta. Wogóle tego rodzaju bajeczki były wówczas nadzwyczaj upowszechnione za granicą—p. Windakiewicz przytacza kilka tytułów dzieł obcych dla porównania. Ks. Ziemianin powtarzał więc to tylko, co gdzieś wyczytał, lub co usłyszał od tego, co wyczytał.

[3]) Niektóre jego utwory przetłómaczył Jocher i wydał w „Dziejopisach" Wolffa, poprzedzając je życiorysem.

komponował ks. Łubieński w obecności Jakóba Pszonki („siedzacz z burgrabiem babińskim"). „Zanim się nie otworzy urząd wielki, dał się jegomości urząd *laureatus poeta Babinensis.*"

„Jego M. Pan Krzisstow Rawa odzwiernem babinskiem zostal s tey miary, iss dwa razi przes latb kilka bedacz, bal się, abi sie nie vprzykszyl y zebi sie zaviasi nie wyrobili."

Jan Potocki otrzymał urząd ochmistrza, a jego żona ochmistrzyni, ponieważ burgrabia babiński, „mając małżonkę swoją własną, z którą chwała Bogu lat już 20 i więcéj przemieszkiwał", córkę ich pannę Annę „za małżonkę sobie z pozwoleniem Ich Mości upatrzył". A urząd ten Potoccy mieli sprawować dopóty, „aż się skończy skutek téj rzeczy".

Zapiska 108: „Samuel Xiąże Korecki czcić się ręką swą vczyl." Ten Korecki jestto ów znany z dum awanturnik i bohatér, który zginął uduszony w więzieniu tureckiém.

Zapiska 109 jest o tyle interesująca, że występuje w niéj jako narrator Jakób Sobieski, późniejszy kasztelan krakowski, ojciec króla Jana.

„*Anno Domini 1617 die 6 Juny.* Jego Moszcz Pan Marczin Sypowski zostal rufianem i praczką babińską z pewnych prziczin, ktorich sie nie godzi bialey płczi wiedziecz. A ktorabi nie wierzela, ze temu vrzędowi podolac moze, niech da sprobowacz."

Andrzej Zborowski został „skatulnikiem" za to, że gdy ktoś „bardzo się wyrywał z rozumem swym" przed trybunałem, zawołał do niego: „milcz błaźnie! bo ty jedno pusdro masz na głowę, a więcej nic!" Znać Zborowskiego!

Mikołaj Stradomski, zięć Pszonki, na którego ślub pisali wiersze Wrześnianin i Kmita, drzewo grabowe tak długo moczył, aż się w krzemień obracało i można było z niego wykrzesać ogién. Został chemikiem.

Zuzanna Komorowska „nie wytrwała, aby nie miała ksiąg babińskich widziéć", a więc mianowano ją pacyentką.

Michał Stanisław Tarnowski, kasztelan sandomierski, na weselu Pszonkówny ze Stradomskim, został „moderatorem tańców weselnych", ponieważ innych zachęcając do umiarkowania w tańcu, sam nie ominął żadnego.

W jednym dniu w r. 1618-ym utworzono sąd babiński. Adam „Ibiecwinsky" został sędzią, Bernath Sobieski podsędkiem, a Roman Wieczkowski notaryuszem. Za co spotykały ich te zaszczyty nie wiadomo.

Ponieważ „źle tak zacnemu grodowi bez żołnierzów, przeto

„przyjeżdżających pięciu szlachciców z ziemi pruskiéj": Miliusa, dwóch Engielków, Wündmilera i Gierwina przyjęto *in milites laureatos*.

Jan z Polanowic Polanowski „ochotą i ludzkością gospodarza smacznego ukontentowany będąc, wypiwszy stosownie do praw i powinności rzeczpospolitéj *Vilcomem* kielich wielki dobrego wina", pisse się na wszystkie prawa rzeczpospolitéj. Natomiast Jan Siedlikowski, widocznie słabego zdrowia, lub nie tęgi do kielicha, uwolniony został od „wilku" z tytułem *liber baro* i rachmistrz babiński, „bo *quator* tak pisze Ⱶ ".

Wybraliśmy wszystko, co było najdowcipniejszego — nie nasza wina, jeżeli te dowcipy rzadko i mało kogo rozśmieszą. Bawiły one jednak widocznie Babińczyków, kiedy przekazywali je potomności. Widzimy, że przeważnie cały dowcip się zasadzał na wypowiedzeniu czegoś, co zazwyczaj żadnego sensu nie miało. Dowcipniejsi umieli wynaléść jakąś anegdotę, która jako tako ratowała honor humoru rzeczypospolitéj; mniéj dowcipni za to mówili trzy po trzy, co ślina do ust przyniosła. P. Kasper Kiepski (prawda, że kiepski) został cerotanem (aptekarzem), bo poddanego jego mszyca zjadła na śmierć. Krzysztof Uzarzowski wskrzeszał ciepłym popiołem zdechłe muchy. Referendarz cudzoziemskich spraw i podskarbi babiński, Stanisław Korzeński, mówił, że w Rzymie niedokończony kościół kosztuje więcéj, niż „dziesiękroć sto tysięcy milionów". Cyrulik babiński, Waleryan Otwinowski, zaręczał, że gdy powracał z Turcyi z Piotrem Zborowskim, słudzy jego usłyszeli w górach psalmy łacińskie; wyśpiewywał je chłop, któremu Turcy zdjęli czaszkę z głowy, a wsadzili na to miejsce łeb barani z rogami. Mikołaj Viesczky [1]) znał sekret robienia dyamentów „z białka jajowego". Ks. Myszkowski był na górze opanowanéj przez złego ducha, a zawierającéj skarby „króla Matatiasza" (Macieja Korwina). Mikołaj Charmęski, będąc w Babinie, chciał widziéć przez rurę, co konfederaci pod Krakowem robią (1613 r.), za co został ostrowidzem babińskim. Jakób Dunin Prymusz, peregrynując z Radziwiłłem Sierotką, zwiedzał w Neapolu górę tak wysoką, że szpadą nieba sięgał. Laskowska widziała taką jabłoń, że na niéj dom zbudowano, a gałęzie okrywały domek; „i król Stefan tam siadał". Piotr Zaklika

---

[1]) P. Windakiewicz pisze go w indeksie: Wiescki. Brzmienie to dziwnie niezgodne z naturą naszego języka. O Wiesckich nie znalazłem nigdzie wzmianki. Za to są w Niesieckim Wiesczyccy w lubelskiem, a więc blisko Babina. A może ten Viesczki to Uiescki, Ujejski, bo w tym czasie żył Mikołaj Ujejski, komornik graniczny proszowski.

woził żywe karpie bez wody o mil trzydzieści, „wbiwszy im gwóźdź w łeb i małmazyą napoiwszy”.

Tak się przedstawiają akta babińskie w pierwszych 21 latach ich prowadzenia. Zostawiliśmy sobie wprawdzie z nich kilka szczegółów na późniéj, ale tyczą się one przeważnie organizacyi wesołego towarzystwa, o czém osobno przyjdzie nam pomówić.

„Jeżeli wierzyć źródłom — powiada p. Windakiewicz—to czasy Jakóba były niewątpliwie dla rzeczpospolitéj najświetniejsze.” Babin, według tegoż swego historyka, stał się „kasynem średnio zamożnéj i wesołéj szlachty”. Szkoda, że pomysłu albumu wcześniéj nie powzięto. Od r. 1607 rzeczpospolita zaczyna się cieszyć „ugruntowaną powagą”. Dzięki pomyślnym warunkom, „następuje swobodny rozkwit idei towarzyskiéj w rzeczpospolitéj i łagodny a potoczysty rozwój wesołości i humoru wśród babińczyków. Zapiski z czasów Jakóba „rzucają pęki świateł na ówczesne stosunki towarzyskie”. Sam pan Jakób „przedstawia rysy indywidualności tęgiéj, wykutéj jakby kilku energicznemi rzutami z jednéj bryły ciosowéj”.

Wszystko to p. Windakiewicz wyczytał w téj części „Aktów babińskich, z któréj możliwie dokładne złożyliśmy sprawozdanie. Może wzrok nasz zepsuty i dlatego nie zdołaliśmy dojrzéć tego wszystkiego, co dojrzał ostatni historyk Babina. Zanim wypowiemy własne zdanie, pocieszajmy się tém, że zachwyt p. Windakiewicza nie udzielił się dotychczas nikomu z tych, co mieli poprzednio sposobność przeglądania przed nim „Aktów babińskich”.

(D. n.) *Kazimierz Bartoszewicz.*



LILITH

(wyjątek z poematu).

Poeta schodzi do nieznanych krain, gdzie jako w baśniach, które nam niańki prawią—napotyka zamek czarodziejski, a w nim tłumy dziewic i bogiń, znanych z dziejów i z Pisma świętego i z baśni ludowéj, i z fantazyi poetów, a po nad niémi—jako władczyni tych wszystkich, pierwsza Adamowa żona, Lilith... Owo, tę jak ujrzał poeta—i co jéj potém powiedział...

Lecz po nad wszystkie owe promieniała
Na tronie z złota i kości słoniowéj,
Bogini Juno podobna—wspaniała,
Jak gdyby grecki posąg marmurowy.
Kobiéta boska tak cudnego ciała
I tak wyniosłéj potęgi duchowéj,
Że, kiedym ujrzał jéj postać świetlaną,
Jak przed ołtarzem ugiąłem kolano.

Białe jéj czoło miało cierpień znamię,
Oko jéj lśniło lazurem tęsknoty;
Na białośnieżne marmurowe ramię
Rozfalowany padał warkocz złoty;
Wargi kąpane w różanym balsamie
Zapowiadały najwyższe pieszczoty:
Dwóch marmurowych wzgórz—zaokrągloną
Falą—bielało półotwarte łono. —

Złotem i srebrem jaśniała purpura
Jéj szat. Korona zdobiła jéj skronie —
I stała dziwnie piękna i ponura,
Olśniewająca na wyniosłym tronie,
Niby królowa tych wszystkich, a która
Zda się odczuła w swojém własném łonie
Wszystkie ich męki—szały i rozkosze —
I wszystkie walki—żądze i rokosze.

Ta, którą na świat powołał Jehowa,
Gdy jeszcze Adam—jako martwa glina —
Spał. Potém pierwsza żona Adamowa,
Która z boleścią swój niebyt wspomina,
I która wielką miłość bytu chowa,
Kain niewieści—kochanka Kaina —
Demonów córa—czcicielka szatana —
Na poły mniszka—na pół kurtyzana. —

Ta, któréj dusza pośród walk bolesnych —
Na poły w piekle—w niebiosach na poły —
Raz w dzikich orgiach szalała cielesnych —
To znów sypała na głowę popioły;
Raz w namiętnościach tonęła bezkreśnych
To znów leciała pomiędzy anioły,
Wiecznie spragniona—nieskończenie smutna —
Ta pani mądra—piękna i okrutna —

Lilith... U stóp jéj roztoczywszy kołem
Tęczowy ogon, strojny w złote oczy,
Stał ptak iremski, co z czarnym aniołem
Wespoły działał śród rajskich przezroczy,
Snując pokusy nad Ewiném czołem
I niewinności zdarł nimb z jéj warkoczy:
U stóp Lilithy stał przyjaciel węża —
Paw—i sto oczu w oczy me wytęża.

Kiedy raz dusza wejdzie w senne baśnie,
To już z nich wyniść ledwie się jéj uda:
Więc nim tę sprawę wytoczyłem w jaśnię,
Jakieś mię dziwne opętały cuda
I Lilith naraz zda mi się tak właśnie,
Jak owa życia mego straszna złuda,
Co serce moje w czarny gruz popiołów,
A wszystką pamięć zmieniła mi w ołów.

I gdy mnie Lilith jak królowa wita,
I gdy boginie zebrane dokoła —
Pieśń mi śpiewały, w dźwięku któréj świta
Nadziei wiecznéj melodya wesoła:
Mnie krew do mózgu wezbrała obfita,
A w piersi mojéj całe piekło woła
Wspomnień okrutnych i straconych marzeń
Trucizny kłamstwa i chytrych porażeń.

Nie słucham pieśni—nie słucham powitań—
Jedno spoglądam w jéj oczu głębiny —
Drogą tajemnych w źrenicy jéj czytań,
Odgadłem wszystkie jéj myśli i czyny
I stałem pełny zdumień i zapytań,
Lecz wszystkie w okrzyk zlały się jedyny
I zawołała dusza przerażona:
To nie jest Lilith! to ona — znów ona!

I jakby do niéj, mówię do Lilithy:
Czemu-ż mi serce zatrułaś, o pani!
Od dnia owego, który znasz, — rozbity
Na dwoje — błądzę jakoby w otchłani!
Chmura na zawsze kryje mi błękity
I niemasz dla mnie spokoju przystani —
Nic mię nie zgnębi, nic mię nie pocieszy —
Ni cisza pustyń, ni gwar ludzkiéj rzeszy!

Po cóżem kochał? Jeśli są wyroki,
Że się dwa serca muszą na tym świecie
Zejść i pokochać? Jeśli jest bezoki
Los, co je z sobą w pocałunek splecie?
Po cóżem kochał? Po co łez potoki,
Które człowieka przemieniają w dziecię?
Po co ta nagła księżyców odmiana —
Po co przerwana pieśń — niedośpiewana?

Po co złamane rozkazy przeznaczeń
I niespełniona święta wola bogów?
Po co te zimne słowa bez przeznaczeń,
Co rozdzielają dwoje serc, jak wrogów,
Że, gorączkowych dziś pełny majaczeń,
Błąka się duch mój śród życia rozłogów,
Ukrzyżowany — pod wieczną agonią
I za straconą płaczący harmonią!

Kochałem ciebie — to był mój jedyny
Błąd. Ja kochałem cię więcéj nad życie,
Więcéj nad myśli własne i nad czyny,
Nad miłość samą, któréj czar w rozkwicie
Pieścił mych rojeń słoneczne godziny,
A które w twoim roztopiłem bycie.
O, więcéj w twojéj kochałem osobie,
Niż w téj miłości, co czułem ku tobie!

Byłaś mi wszystkiém! Ty mi byłaś słońcem,
Byłaś mi tęczą, zorzą i błękitem —
Byłaś mi bóstwem z nieba jaśniejącem —
Byłaś natury najwyższym wykwitem —
Byłaś ludzkości początkiem i końcem —
Byłaś mi słowa bożego zenitem,
Byłaś mi Czuciem — i Myślą — i Wiarą —
I winem Prawdy — i Piękności czarą!

Piękny jest posąg Wenery wspaniałéj,
Piękną melodya arfy po wieczorze,
Piękne mistrzowskie malowidło chwały,
Piękne dni wiosny i poranne zorze,
Piękny jest łabędź, jako śniegi biały —
Piękną jest róża: lecz nad kwiaty boże —
Nad jutrznię — wiosnę — posągi — obrazy —
Nad pieśń — piękniejszą byłaś mi sto razy.

Nad wszystkie twory — i wszystkie istoty
Piękniejszą dla mnie byłaś ty! Zaiste,
Gdym patrzał na cię — to twój warkocz złoty
Lśnił mi jak słońca promienie złociste,
A oko twoje — jak niebios namioty —
Nieskończoności jakieś przezroczyste
Otwierało mi w swéj głębi bezdennéj,
Lecz byłaś twardsza, niźli głaz kamienny.

Twardy jest marmur, co groby pokrywa,
Twardy jest dyament, co szkło twarde kruszy,
Twarde kutego żelaza ogniwa,
Których najtwardsza zima nie poruszy;
Twardy pień dębu, gdy nielitościwa
Fala go czasu na kamień wysuszy:
Lecz nad dyament, dąb, marmuru głazy —
Nad stal — tyś twardszą była mi sto razy!

Nie tyle świeci gwiazd na firmamencie,
Nie tyle mędrzec ma wątpień w badaniach,
Nie tyle ludu w śmiertelnym okręcie,
Nie tyle złudzeń w edeńskich podaniach,
Nie tyle jęku w dziejowym zamęcie,
Nie tyle płaczu w tych strasznych wołaniach,
Któremi tęskni ludzki duch do Boga,
Ilem ja cierpiał dla ciebie, o sroga!

Bóg swéj miłości uderzył mię strzałą
I dał mi rozkaz śpiewania na lirze,
Lecz dał mi razem ścieżkę życia małą,
Nie tyle straszną w huraganów wirze,
Ile w milczeniu mogilném skostniałą!
Nie tyle smętną w zbyt pomrocznym kirze,
Ile promieni słońca pozbawioną —
I dał mi raju wiecznie głodne łono.

I dał mi ciebie, jako promień słońca —
I jako świętą nagrodę goryczy,
W jakie wybranych swéj miłości strąca
Bóg, gdy ich smętne dni żywota liczy.
I wybrał ciebie z pomiędzy tysiąca,
Abyś mi była nakształt Beatryczy,
Lecz tyś nie chciała — ciebie zło urzekło:
Nie, tyś mi sama przyrządziła piekło!

Nie, ja nie miałem Beatryczy swojéj,
Twoja piekielna krew mię przepaliła —
I nic boleści méj nie uspokoi:
Splamiony jestem! Każda moja żyła,
Co wiecznie szuka własnych burz ostoi —
Przeciwko sobie, jak zawrotna siła —
Burzy się cierpień ostatecznym mętem,
Samopogardy krwią i samowstrętem!

I chciałem uciec od tych plam trucizny,
Ale mię one ścigały jak cienie —
A miały w sobie jakiś oddech żyzny,
Coraz plam nowe rodząc pokolenie.
Ach, chciałem uciec na puszcz jałowizny,
I tam swe ciało dać na żer hyenie —
Ale mi furye świszczały z żałobą:
Nie ujdziesz! Gdzie ty — i my idziem z tobą!

O Prawdo moja, gdzieś mi się podziała?
Wciąż ciebie szukam, jakoby w obłędzie,
Zdarła mi blask twój jakaś dłoń zuchwała,
Jakaś bezbożna dłoń — obecna wszędzie!
Opadła maska! Twarz się ukazała
Téj, co być miała słońcem mém, a będzie
Ducha méj nocy złowrogą zwiastunką,
Rozpaczy moich splamionych piastunką!

Są, co żegnają miłości ołtarze
Z jakąś rozpaczą świętą i podniosłą;
Są wiekuiści rozkoszy żeglarze,
Co w inne fale wnet skierują wiosło;
Są, którym uczuć zamarłych miraże
Wonieją kwieciem, co w serce im wrosło:
Lecz są i tacy, co przez piekła zamach,
Odchodzą w zgrozie, ohydzie — i plamach!

O, kłamstwem byłaś dla siebie i dla mnie —
O, cała kłamstwem! cała: ciałem, duchem —
Oko się twoje uśmiechało kłamnie,
Kłamałaś uczuć gorących wybuchem,
Pocałunkami kłamałaś zło - plamnie —
Kłamałaś pieszczot jadowitym puchem,
Kłamałaś słowem, myślą — i uczynkiem,
Sercem i usty — pracą i spoczynkiem!

Lecz ja nie mogłem pod kłamstwem pozostać,
Więc się ku prawdzie najczarniejszéj rwałem,
Żeś drżała, chcąc mi swoją pychą sprostać
I jasnym w oczach mi błysnąć kryształem.
Ból mi rozdzierał pierś, gdy miałem dostać
W głąb twojéj duszy spojrzeniem zbyt śmiałem,
Bo mnie ogarnął przestrach niepojęty,
Żem z ciebie przejął jakiś jad przeklęty!

Jam w ciebie rzucił prawd okrutnych noże
I przekleństwami płakałem ja ciebie
Ale są rzeczy, których nikt nie może
Mówić, a które tylko grób pogrzebie!
Są w duszy moce nieskończenie boże,
Których nic nie tknie—jakby lśniły w niebie,
Ale tyś jadem swego ducha nocy
Sprofanowała blask najświętszych mocy.

Ale nie wszystko już wiész. Są boleści,
Których się nigdy nie dowiész odemnie —
Których się nigdy nie domyślisz treści,
I które zawsze ci będą jak ciemnie;
Nigdy nie pojmiesz, co się w łzach tych mieści —
Milczenie wieczne kryć je ma tajemnie!
Lecz teraz cierpiéć więcéj już nie mogę,
Mów mi i ukaż znowu prawdy drogę.

A. Lange.



Z literatury podróżniczéj.

Bełza Stanisław, „Na lagunach“, Warszawa (Gebethner i Wolff), Petersburg (K. Grendyszyński), 1895. — Hajota, „Z dalekich lądów“, Warszawa (S. Lewental, bez daty). — Jankowski Czesław, „Po Europie“, Warszawa (Gebethner i Wolff), 1893. — Nossig Alfred, „Szkice artystyczne z Wiednia“, Warszawa („Kuryer Warszawski“ i Lewental, bez daty). — Szreniawa Roman, „Wspomnienia z podróży do Australii“, Lwów (Jakubowski i Zadurowski). Warszawa (Gebethner i Wolff), 1893.

Gdyby zwiedzanie stron obcych nie było połączone ze znacznemi wydatkami, nic-by nie mogło iść w zawody z rozkoszą i pożytkiem, jakie przynosi podróż. Co do rozkoszy, tkwi ona przedewszystkiém w nieprzebranéj zmienności wrażeń wciąż odnawiających się, świeżych, bezpośrednich; pożytek znowu osiąga się dwojaki, przez bogacenie zasobu doświadczeń już nabytych poprzednio i przez rozszerzanie skali umysłowego naszego poglądu na dalszą wędrówkę życia. Jest to jeden z najlepszych systemów wychowawczych,—naoczna i obrazowa nauka rzeczy, dzielniéj i skuteczniéj może, niż każda inna wpływająca na podniesienie i uzacnienie ogólnych wyobrażeń ludzkich, z których jedne, przesądne, oczyszcza i łagodzi, drugie, trafniejsze i jaśniejsze, wzmacnia i ustala. Szkoda tylko, że szkoła ta przenośna za drogo kosztuje...

Ale dobry książkowy opis krajów zwiedzanych usuwa tę niedogodność, pozwalając nam, za cenę kilkunastu rubli, guldenów lub na-

wet marek przebiedz i przetrząsnąć, bez odrywania nas od trybów bytu codziennego, w chwilach wolnych, w lecie czy w zimie, u ciepłego kominka lub w cieniu ulubionych bzów i leszczyn, najodleglejsze i najciekawsze zakątki świata. Moc i barwność wrażeń tych wycieczek idealnych znacznie są co prawda słabsze, niż rzeczywistych, ale i to zależy od wyboru przedmiotu opowiadania, od opowiadającego i od stanu naszéj duszy. Bywają położenia i nastroje myśli tak zgmatwane lub zmęczone, że na pytanie, cobyśmy woleli, natychmiastową jazdę do Wenecyi, czy téż odczytanie kiedy się nam podoba najświeższego dzieła p. Stanisława Bełzy, bez namysłu wyciągamy rękę po dzieło. I najzupełniéj słusznie: większe niekiedy zaufanie budzi w nas spostrzegawczość wytrawnego i doświadczonego przewodnika, niżli nasza własna. A rękojmię wytrawności i doświadczenia, jako turysta, p. Stanisław złożył oddawna, lubo z zawodu jest prawnikiem, autorem kilku cennych prac i studyów fachowych, jak np. „W obronie opuszczonych" (1886), „O upadłościach i bankructwach" (1891), „Instytucya sędziego komisarza w masie upadłości" (1894) i t. d. Ze wspomnień i zarysów podróży, od wydanych w r. 1882 i dziś już wyczerpanych kartek „W Danii i z Danii", cieszą się uznaniem i wziętością wielką szczególnie jego „Odgłosy Szkocyi" (Kraków, 1889), „Holandya" (wyd. drugie, 1894) i „Za Apeninami" (wyd. trzecie, 1890). Tom najświeższy „Na lagunach", sporych rozmiarów, ilustrowany licznemi rycinami, obejmuje wrażenia pobytu w Wenecyi i z pewnością zasłuży na takież samo, jak i poprzednie przyjęcie.

Wycieczkę swą dla złożenia hołdu staréj, ale zawsze jeszcze pięknéj królowéj Adryatyku, p. Bełza odbył koleją żelazną z Wiednia do Tryestu przez Graz, stolicę Styryi, „to Eldorado emerytów austryackich, jedno z najpowabniejszych miast w wielojęzycznéj monarchii Habsburgów, gdzie chłodny powiew północy łagodzą już ciepłe promienie południowego słońca, a modre oczy zwinnych i ponętnych jego mieszkanek ustępują miejsca czarnym niby węgiel magnesom niewieścich twarzy." Tym magnesom w drodze z Grazu do Tryestu i w Wenecyi napatrzymy się jeszcze dowoli; tymczasem niech nam wolno będzie zawrócić z Grazu na chwilę do stacyi Kapfenberg, przy któréj, wśród skał różnobarwnych, rozigranych na słońcu, skacze głęboko-spadzistą doliną srebrnodźwięczny Mürz i wznoszą się białe ściany Fürstenhofu, kąpielowego zakładu d-ra Jana Czerwińskiego, autora „Polityki nerwów". Złożywszy tu w przelocie staremu znajomemu pozdrowienie wdzięczne, serdeczne, śpieszymy daléj ponad krętemi wąwozami, brzegiem urwisk fantastycznych, do Wiednia, gdzie na nas oczekuje p. Alfred Nossig.

„Szkice artystyczne z Wiednia" p. Nossiga skréślone zostały językiem dziennikarskim, ściśle sprawozdawczym, z którym zawczasu oswoić się nam wypada, chcąc szybko i zwięźle, bez zbytniego znużenia, uporać się z bogactwem rozwiérających się przed nami widoków, zjawisk i zdarzeń. Z powodu zdjętego w grudniu 1892 r. rusztowania, zasłaniającego budowę głównéj fasady starego zamku cesarskiego na Michaelerplatz, autor daje nam najpierw ogólny rzut oka na architekturę stolicy naddunajskiéj i rozmaite jéj pozostałości z okresów gotyku XV-go stulecia (wieża tumu św. Szczepana), odrodzenia, nader skąpo reprezentowanego i wreszcie z obfitéj epoki baroka. Czyniąc spostrzenia nad różnolitością tych stylów, p. Nossig zaznacza epizodycznie, że i Warszawa obfituje w przykłady przeciwieństw analogicznych. „Porównajcie np. —powiada— bramę pałacu brühlowskiego z trzeźwemi klasycznemi portykami gmachu teatralnego, pałac w Łazienkach, lub zamek wilanowski z gmachami publicznemi, które powstały u samego schyłku zeszłego stulecia, — i powiédzcie, co bardziéj odpowiada usposobieniu warszawian, czy świetne, wesołe *barocco*, czy surowy purystyczny klasycyzm?" W nowym okresie budowlanym, poczynającym się w Wiedniu od r. 1857, kiedy postanowiono znieść dawne fortyfikacye miejskie, pamiętające czasy Sobieskiego, górował naprzód styl romański, bądź w rozwiniętéj i wesołéj onego odmianie włoskiéj (kościół w Altlerchenfeld, według pomysłu J. G. Müllera), bądź w formie barwnego i złoconego a ponurego zawsze w zarysach głównych bizantynizmu (arsenał, wzniesiony pod kierunkiem prof. Nülla, Siccardsburga i Teofila Hansena); późniéj zabrano się znowu do rozmaitych odmian gotyku, którego najcelniejszym przedstawicielem był Fryderyk Schmidt, budowniczy ratusza wiedeńskiego. Renesans niemiecki, budownictwo rzymskie, architektonika grecka, znajdowały również zwolenników i mistrzów. Do stylu greckiego należy téż i gmach parlamentu przedlitawskiego, który p. Nossig nazywa najpiękniejszym budynkiem wiedeńskim i jednym z najpiękniejszych pomników całéj architektury nowoczesnéj". Przyznając mu charakter wielkiéj szlachetności i harmonii, autor powiada, że „gmach parlamentu sprawia kolorystycznie równie korzystne wrażenie, co nowa fasada zamku cesarskiego, — jest on niezmiernie jasny, u góry wyzłacany, a szczyty jego wieńczą rydwany czterokonne, lane ze spiżu, których barwa ciemna odbija przepięknie od białéj fasady i pozłoty". W dalszym ciągu pokazuje nam p. Nossig kilka pomników w Wiedniu (Maryi Teresy, Radeckiego), oprowadza po galeryach obrazów, cesarskiéj i Akademii sztuk pięknych, poświęca osobnych słów kilka wiedeńskiemu obrazowi rodzajowemu i kończy na wyliczeniu naszych

zbiorów artystycznych nad Dunajem (ks. Czartoryskiego, hr. Wodzickiego, Kazimierza Chłędowskiego, d-ra Arnolda Rapaporta i Karola hr. Lanckorońskiego), oraz na wizytach u artystów polskich w Wiedniu: Kazimierza Pochwalskiego, Tadeusza i Zygmunta Ajdukiewiczów, Tadeusza Rybkowskiego i innych. Pobieżna ta przechadzka w towarzystwie, gruntownie ze sztuką obeznanego recenzenta, gromadzi w nas miły i do dalszéj drogi niezbędny zasób swojszczyzny i wspomnień nieco bliżéj z nią związanych.

P. Stanisława Bełzę odnajdujemy w Tryeście. Wsiada oto na parostatek, który nas niebawem przeniesie na laguny weneckie i z Byronem w ręku duma... zupełnie nad czém innėm. Wśród zmieszanego gwaru języków i narodowości—włoskiéj, angielskiéj, niemieckiéj—myśl jego krąży wyłącznie dokoła jednéj, téj, którėj tu nie słychać, choć w samym Tryeście stanowi ona piątą część zaludnienia, a jak się nieco oddalimy od brzegów Adryatyku w głąb lądu, obcujemy już z nią wyłącznie. Jestto narodowość słowiańska, „nie zasiadająca przy olbrzymim stole, zastawionym wykwintnemi potrawami, stojąca skromnie w kącie, odepchnięta, jako uboga, przez wszystkich i z góry przez wszystkich traktowana", bez względu, że po Włochach jest ona w tych stronach najliczniejsza. Pogardzeni, zdeptani w Tryeście, Słowianie nietylko zdają się tonąć w morzu włoskiém, lecz poniekąd przeniewierzać się samym sobie. Naturalnie jestto złudzenie. Zejdźmy z placów i ulic pierwszorzędnych, usiądźmy w odludnéj austeryi przy szklance wina, lub w skromnéj barce puśćmy się na szerokie morze, a wnet ze zdziwieniem posłyszymy ostre dźwięki pobratymczéj nam mowy. I tu, nad brzegami tego Adryatyku, dziwnie nas ta mowa za serce chwyci i dziwne myśli, wsłuchując się w jéj smętne echo, nasuną się nam do głowy. Przypomną się nam utyskiwania Kollara: „czy daleko spojrzymy na prawo, czy bystro rzucimy wzrok na lewo, nadaremnie szukamy w Słowiańszczyźnie Słowian..." Tak w rzeczy saméj było do niedawna. Dziś—zapewnia autor—jestto już anachronizm. „Na granicy romańskiego świata, u progów prastaréj cywilizacyi, stoją Słowianie Istryi, Krainy i Kroacyi i z dniem każdym coraz głośniéj dopominają się o przysługujące im w tych stronach prawa".

Refleksyjne to oglądanie się po za siebie i na swoich, zarówno u p. St. Bełzy, jak i u innych naszych podróżników, powtarza się dość często jako przyrównanie raz rzewne i smutne, to znów pełne otuchy i życzliwości, niekiedy opromienione promykiem poetyckiéj przenośni, lub zacieniowane lekką chmurką ironii, nigdy jednak nie przechodzące w ten sarkazm cięty i zgryźliwy, który się nieraz ciśnie nam do ust, ilekroć jesteśmy u siebie i wśród swoich. Bez tych odwoływań się

i zarzutów ku sobie trudnoby nawet było skupić na czémkolwiek uwagę współziomków, wzdłuż i wszerz krajobrazów, osób lub wypadków, o tyle nam obojętnych, że są obce, nieznane, dalekie — choćby skądinąd nurzały się one w przepychu i wspaniałości, lub zewsząd jeżyły się okropnościami i dziwadłami.

I ostatecznie, po co byś jeździł do téj czarodziejki, pląsającéj wiecznie w złotém ogniu swego nieba i wiecznie upijającéj się swém powietrzem, słodkiém jako nektar bogów? Po Goethe'm, po Byronie, po tylu mistrzach rymu i prozy, po co byś się silił na nowe dla téj rozpieszczonéj rozkosznicy pochlebstwa i uwielbienia? Rzuciłbyś jéj wzorem Czesława Jankowskiego, jeden jakiś perełkowy frazes Taine'a... *C'est la perle de l'Italie, je n'ai rien vu d'egal...* — i popłynąłbyś daléj, za czémś mniéj jaskrawém, rażącém i świetném. Ale nie. W przezroczystém i uroczém zwierciedle lagun, czy na zbałwanioném chaotycznie tle przyrody podbiegunowéj, w niebie czy w piekle, człowiek uporczywie i zawzięcie szuka rozterki, sprzeczności, kontrastu. Dlaczego? Dlatego, aby przy nich w sobie lepiéj mógł się rozejrzéć, aby w nich siebie dokładniéj mógł odmalować,—mniejsza już o to nędzarzem, czy mocarzem...

Więc i tym razem to samo. Zmęczyła cię nareszcie ta jednostajność nieskończenie czystych i jasnych przestworzy, wyczerpało nieprzejrzane morze złoceń, rzeźb, odlewów, fresków i arabesków, ubezwładnił i zgnębił ciężar nieobliczonych arcydzieł dłuta, rylca, pędzla, młota, kielni, obrzydliwą, niemal wstrętną stała się ta smukła, łabędziowa, tureckiemi dywanami wysłana gondola z miodowo rozpłyniętym na niéj profilem towarzyszki twych wycieczek na Lido, ze zwiędniętym kwiatkiem w anemicznéj dłoni. Stanąłeś na najdalszym, bezludnym cyplu Chioggii i wzrok znudzony wytężyłeś w dal pustą i bezmierną. Tam, na zachód, po za przepaściami wód, poprzerzynanych płachtami gór niebotycznych, po za dymami Etny i po za słupami Herkulesa, u brzegu małéj wysepki, uwieńczonéj ostro z obsłony lasów wyskakującą w górę koronką krateru,—huczy huragan. Akurat w téj chwili uderza w uciekającą ku przystani szalupę, na któréj, w środku czerniejącéj jak mrowie gromadki ciał obnażonych, bieli się piękne blade oblicze młodéj kobiéty i przy niém czerstwa, a zasępiona twarz energicznego mężczyzny. Krajobraz dziki, ponury—a oni sami jedni... „Dopływaliśmy właśnie do jakiegoś wytrzebionego wzgórza, na którém szarzały dwie na wpół rozwalone szopy. Nagle, ledwo szalupa wryła się w grunt, szalony wicher zatrząsł drzewami w górze, nadbrzeżne trzciny zachrzęściały ogłuszającym grzechotem, z czarnéj chmury, która, dognawszy nas, nad głowami naszemi zawisła, lunął

dészcz rzęsisty, dészcz podzwrotnikowy, a przypędzony wichrem bałwan wparł się z tyłu do łodzi, zaléwając nas i rzeczy. Wyskoczyliśmy na ląd co żywo, mocując się z wściekłą wichurą, podczas, gdy ludzie ledwo mogli dać sobie radę z szalupą, którą tornando chciał zapędzić na morze. Przemoczeni do nitki, wdrapaliśmy się na urwistą pochyłość wzgórza, pędząc co sił do jednéj z szop, z któréj wydobywający się dym zwiastował obecność ognia. Na drodze, którą przebiedz nam trzeba było, stało jedno, jedyne olbrzymie drzewo. Nim jeszcze dopadliśmy chaty, potężny konar ułamał się i spadł za nami tak blisko, że parę jego drobnych gałązek otarło się o moją suknię... Chwila wcześniéj, a nietylko wyprawa na szczyt Clarence-Peaku, dumnego strażnika przyszłéj mojéj siedziby, wyspy Fernando-Poo, lecz wszystkie sprawy doczesne byłyby rozstrzygnięte dla nas w sposób ostateczny..."

Gruba ściana mgieł i tumanów podniosła się już oto z morza i zasłaniając przed nami obraz, odgrodziła nas od niego, — kto wié, może na wieki, a może i na parę tylko minut. Widnokrąg wypogodniał. Wyrównały się wody i zlały się w jeden kryształ nieskończoności. Z niebios bez oddechu niewidzialnemi strugami eterycznych spojrzeń słońca zeszedł spokój i rozpostarł się nad otchłaniami w milczeniu bezwzględném, uroczystém i jak nicości uśmiéch, ponętném. Południe. Na całym obszarze wszechświata ani jednéj żywéj duszy, ani jednego ukradkowego świegotu ptaszyny. Słyszysz tylko równomierne uderzenia tętnic własnéj twojéj skroni. Z po za srebrno-błękitnawego rąbka lekkich obłoczków, znaczących na lustrzanéj powierzchni morza, tam w głębi wulkaniczne wybrzeża Sycylii, a tu bliżéj cieśninę Messyńską, wysunął się nikły kłębek dymu. Pod nim ukazała się wnet łupinka orzechowa, szybująca w kierunku wschodnim pomiędzy rozłożonemi jak obozowisko lilipucie białemi domkami Messyny na prawo i niby mrowie czerwonawe, kryjącemi się wśród ogrodów oliwnych i lasów pomarańczowych willami rumianego Reggio—na lewo. Łupinka dochodzi wkrótce do rozmiarów pokażnéj łodzi kanonierskiéj, następnie zaś wyrasta na jeden z najpiękniejszych francuskich statków przewozowych, — gmach co się zowie, długości przeszło 160 metrów, wysokości dwupiętrowéj naszéj kamienicy. Ruch ogromny panuje na pokładzie. Od góry przygrzéwać zaczęło na dobre i majtkowie z pośpiechem zaciągają dachy płócienne, przygotowując się na spotkanie prostopadle rażących promieni słońca afrykańskiego. W masie podróżnéj gwarno, hucznie i wesoło. Jedna tylko postać wątła, skulona, acz młoda jeszcze, odosobniwszy się od zgromadzenia, oparła się o poręcz lewéj burty i błędnym wzrokiem wpiła się w siny, mglisty skraj nieba północnego. Na okręcie rozległ się naraz oklask siarczysty. Trzy ptaszy-

ny, przelatujące cieśniną Messyńską, wpadły — chcąc czy nie chcąc — pomiędzy — sploty masztów i spostrzegłszy snadź, że nic złego się im nie stało, przytuliły się ku sobie i roztasowały, jak we własném gnieździe. Były to dwa szczygły i wróbel. Wyprostowany młodzian wyciągnął ku nim ręce... Już jesteśmy przy nim. Nazywa się Roman Szreniawa. Podąża do Oceanii. Statek, z „Messageries Maritimes”, wypłynął z Marsylii,—najpiękniejszy, największy to statek — „Australien”, to dość powiedziéć. Daleka droga, aż za Sydney, do przystani Balliny, w dystrykcie Richmond-River, najpiękniejszym w całéj Australii, już choćby dlatego, że mieszka tam i ma swoją zagrodę kolega i przyjaciel młodocianego wieku — z nad Bugu, z okolic lasów Tyszyckich...

— Źle mi jest na świecie — powiada Szreniawa — tęsknota dławi, smutek dobija... Miejsca sobie znaléść, rady sobie dać nie mogę. Jadę, by ulżyć cokolwiek nudzie, czas zabić. Podreperować chcę téż nieco siły moralne... Mają być polowania... W każdym razie zobaczę cośkolwiek nowego, nowe lądy, inszych ludzi. Inszych tylko, nie mówię lepszych... Bywałem tu i owdzie, to wiem... A przytém tam, w téj Oceanii, na czele wydziału obrony krajowéj stoi nasz rodak, p. Wolski...

Szreniawa obserwuje wybornie, ale opowiada zbyt zwięźle, urywając i utykając raz po raz. Zacznie jedno, wtrąci drugie, dopiéro po trzeciém i czwartém dopełni drugie i dokończy pierwsze. Niekiedy nie kończy wcale. Weźmy ten wstęp przepyszny do czegoś, o czém następnie nie ma żadnéj wzmianki. „Dla mnie, dla mego oka, zawsze w różnych podróżach po Europie i teraz, przepływając pół globu, spostrzegałem ogromną charakterystyczną różnicę krajów i ziem różnych”, nie już tylko w przyrodzie organicznéj, lecz głazach i ogólnych zarysach topograficznych. „Ten martwy wygląd, te linie czy gór czy wzgórzy, czy równin wreszcie, zawsze są inne wszędzie i odrębne. Tak włoskie brzegi niepodobne do francuskich; te znów inne są, niż dalmatyńskie. Równiny Holandyi lub Belgii różnią się od naszych i niemieckich. Tak samo Australia, zdaleka widziana, zupełnie jest odmienna od Afryki, od Azyi i pewnie inna od Ameryki. Coś w tych konturach czy to skał, czy płaszczyzn falistych, czy lasów i równin, — a zwłaszcza w ich kolorycie, całkiem a całkiem jest odrębnego, co mówi, że to Australia”. Czekamy na bliższe uwydatnienie żywéj i mocnéj téj zapowiedzi charakterystycznego określenia Australii — i nie otrzymujemy go nigdzie. Za to szczegółów i drobiazgów, wyrwanych źdźbło po źdźble z samego niejako wnętrza tych błot, tych puszcz, tych trzcin cukrowych, tych lasów eukaliptusowych, tych za-

rośli paprociowych, tych dészczów potopowych, tych upałów wściekłych, do szaleństwa doprowadzających — bezdeń. A każda góra zawalonych drzew, każdy odgłos dingi, skomlącéj w ostępie, każda łuna pożarów leśnych, wybuchających raz po raz dokoła i przerzucających się na stumilowe przestrzenie, każde krwawe po przez niebotyczne dymy, zapłonięcie słońca, każdy szelest po nad dachem „latającego lisa, zwanego *flying-fox*, w gatunku nietoperza wielkości dużego kota, z żółtą, jak u lisa, siercią, odrażającego i wyglądaniem i swą wonią nieznośną" — dreszczem cię przejmuje przez swą odręczną, fotograficznie z natury zdjętą podobizną.

W afrykańskich wizerunkach Hajoty „Z dalekich lądów" także często trafiamy na podobne do australskich spaczenia żywiołów spazmatycznie wijących się w ukropach strefy podzwrotnikowéj. Zarówno w malowniczéj relacyi z wyprawy Rogozińskiego na wierzchołek Clarence Peaku, jak i w trzech ładnych nowelkowych zarysach utalentowanéj powieściopisarki, obrazujących przyrodę i ludzi Czarnego lądu, szczególnie co do tych ostatnich upadlający i haniebny stosunek rasy murzyńskiéj do białéj, panującéj i wyzyskującéj, mnóstwo niestworzonych w Europie lub dawno w niéj zamarłych zjawisk uderza nas, zastanawia, zdumiewa swą nadzwyczajnością, nie mniejszą jak i u Szreniawy. Ale to są wszystko rzeczy pod względem literackim wypełnione i zaokrąglone, podane w obrobieniu kunsztownem. W dni duszności i spiekoty „gęsta, szara, do gorącego popiołu podobna mgła sypie się od rana na rozpaloną ziemię z nabrzmiałych, niskich, popielatą watę przypominających obłoków... Tumany mgły chłoną w siebie wszelką złośliwość słonecznych promieni, a ono samo, albo żarem tylko zdradza swoją obecność, albo przez matowe opony spogląda na omdlewającą ziemię, jak krwawe bezrzęsne oko..." A gdy na pewnéj wyniosłości podgórza zanurzymy się w gąszcz lasu, w samo centrum macierzystego łona natury", — „jakiś oszałamiający nadmiar żywotności rwie tu i zapiéra oddech w piersiach, gniecie myśl w minotaurowych kręgach swéj dzikiéj ślepéj siły. Posępne kadzielnice wilgoci błękitnemi oparami dymią z jam i bruzd, wyżartych przez zgniliznę; sinozielonawe półświatło sączy się z góry na fantastyczne floresy leśnego sklepienia; stosy zbutwiałych liści poruszają się nieprzyjemnie ukrytém w nich życiem tysiącznych podzwrotnikowych płazków, robaków, owadów; mokre mchy połyskują mętnie na brunatnéj chropowatości pni; strugi lianów zielonym dészczem spływają z gałęzi..." Nie ma najlżejszéj w całém tém opisowém bogactwie dowolności i przypadkowości, na wzór tego, czém nas darzy powszedniość, obecnie szara, za godzinę słoneczna, późniéj postno-obiadowa, daléj pracowita, tu przer-

wana wejściem listonosza, tam zadymiona fajką i t. d., bez końca. Wszędzie części kompozycyjne zrównoważone, tony logicznie powiązane, wypadki jednorodne, wprzężone do jarzma ciągłości i ustopniowania.

Nic podobnego we „Wspomnieniach podróży do Australii" Romana Szreniawy. Trzeba pokilkakroć odwracać karty wtył i naprzód, żeby módz ściągnąć do pary dwa zwierzęce okazy jednego i tego samego gatunku. „Strzeliliśmy do lecących łabędzi raz i drugi, ale bez rezultatu. Ptak to olbrzymi o twardych piórach i puchu gęstym, żaden śrót na większą odległość nie wystarczy". Idzie daléj charakterystyka australskich lasów nawodnych i mniéj więcéj okolicznościowo umotywowane napomknienie o sile zbrojnéj w Australii i o armii wolontaryuszów. Ornitologia wraca, a raczéj wracać do niéj potrzeba o kilka kart niżéj lub wyżéj. „Wróbli nie ma wcale, ich miejsce powszechnością swoją zajmują zimorodki. Wrony podobne do naszych, tylko większe i sroki, śpiéwające jak wilgi... Australia słynie mnogością i pięknem upiérzeniem skrzydlatéj fauny. Ale natura, uposażając je w barwy, upośledziła w innym kierunku: śpiéwających ptaków jak nasze, nie ma. Drapieżnych jest niewiele, bo cóżby rabowały po lasach takich? Nad wodą widziałem tylko duże jastrzębie." Gdzieindziéj znowu, po topografii miasteczka Lismore, stolicy dystryktu, schludnéj, w pięknem nad rzeką Richmond położeniu, liczącéj 3,000 mieszkańców, posiadającéj ulice asfaltowe, oświetlenie gazowe, wodociągi, kilka hoteli (nb. „z lwowskiemi o lepsze rywalizować mogących"), dużo banków i wielkich sklepów, dwukolne kaby londyńskie, wyścigi dwa razy do roku, a nadto burmistrza Polaka, d-ra medycyny z Warszawy, któremu głównie miasto to wszystko zawdzięcza",—następuje wraz prześliczna notatka o wężach, pijawkach i t. d. „Zaczęły nas trapić plagi przeróżne. Najpierw masa węży powyłaziła na ciepło po słotach. W lesie raz zastrzeliłem dwa, z których większy miał cztéry metry długości i był — grubszy od ramienia; te jednak nie są niebezpieczne. Gorsze, bo śmiertelne, są czarne węże na półtora metra długie i zielono-żółte na metr długości. Czarnych zabiłem dwa pod samym domem, zielonego zastrzeliłem na drzwiach pokoju. Jeżdżąc konno, spotykaliśmy także po drogach dużo pełzających węży, lub już zabitych przez przejeżdżających, miejscami natrafialiśmy na zatrute okropnym odorem powietrze z psującego się cielska... W lasach cięły nas pijawki tak, iż poprostu nie możliwe było chodzenie piechotą... Widocznie Australczycy przyrośli do koni z potrzeby i konieczności..." Gdzieś w innem miejscu znajduje się wzmianka (trudna już w téj chwili do odnalezienia), że po sprawunek

o kilkanaście kroków jedzie się konno; trwa to z pół godziny — łapanie zaś konia na pastwisku do téj posługi trwa nieraz godzin kilka. Orszaki pogrzebowe ciągną również konno, jak w Wenecyi gondolami.

Od czasu do czasu rozrzucone te kropki i rysy trafem szczęśliwym zbiegają się pod wspólny mianownik na jedno miejsce. Wtedy się otrzymuje obrazek, zarysowany od niechcenia, grubo plamisty, nieoszacowany pod względem siły i prawdy realnéj. „Czarne papugi wcześniéj zaczęły w tym roku przeciągać; żałośne ich krzyki rozlegały się rankami i wieczorami, zbliżała się pora słoty, pora tropikalnych dészczów. Od oceanu częściéj szły wiatry. Opary morza zbiérały się w szare chmur pary, gęstniały, zaczęły zalegać wałami horyzont wschodni. Niebo całe zaciągnęło się ołowianą oponą, padły pierwsze krople, długiéj słoty zwiastuny. Posępno było ciągle, jak u nas w listopadzie. Czasem wichry silniejsze przewalały chmurami po ziemi — i, jak bałwanami morskiemi, zaléwały wtedy wszystko. Dészcz już nie padał, lecz lał kaskadami. Wzbiérały potoki, rzeki, wylewy zaczęły uszkadzać drogi i przejazdy; komunikacya wszelka została przerwaną. Byliśmy odcięci od ludzi. Statki z Sydney przestały kursować z obawy burz ciągłych i rozbicia... Temperatura była jeszcze ciągle wysoką; ziemia i roślinność, rozpalona kilkomiesięczną posuchą i upałami, natychmiast parowała. I wzięła nas woda w dwa ognie—z nieba i z ziemi. Podnosiły się opary i mgły szare—strugami dészcz lał ciągle. Pléśniało w kilku godzinach wszystko, skóry, obuwie, rzeczy w szafach i kufrach, a najgorzéj ucierpiały moje zbiory ornitologiczne. Niepodobna było ochronić się przed tą cisnącą się wszędy wilgocią. Tytoń nasz tak nasiąkał wodą, że co chwila musieliśmy suszyć go nad ogniem. Trwało tak tygodniami. Czasem zimna burza przeciągnęła, w mieszkaniu naszém, zbitém z desek, jak wszystkie w Australii, wiatr chodził i nocą przejmował nas. Trzeba było okrywać się lepiéj, zalepiać gazetami ściany. Ocean przewalał falami, dochodził nas ciągle złowrogi szum rozhukanych bałwanów, przechodząc często w taki łoskot, jakby strzałów armatnich. Pluskała ta słota, wicher jęczał, dzwoniły strugi po dachu blaszanym i rynnach, nocami dingi żałośniéj wyły...”

Ciekawe zaiste są te kraje zaoceanowe, ale widziéć je trzeba zdala. Na miejscu, czy to u Hajoty czy u Szreniawy, najuboższa chata naszego wieśniaka jeszcze się wyda rajem i świątynią. Mniejsza o gniewy niebios—wojna z niemi niemożliwa. Ale ludzie!... Jacy tu ludzie twardzi, grubiańscy, przewrotni, z wszelkiéj godności wyzuci,— i to ludzie cywilizowani, nasi, nie żadni autochtonowie australscy, le-

niwi, do pracy nie zdolni, karmiący się po lasach zwierzyną i wężami, wypchnięci na niemożliwe do zachowania stanowiska topograficzne, wymierający gromadnie od samego zetknięcia się z Europejczykami, i nie żadni Potonegrzy lub Bubisi afrykańscy, chytrzy, zdradzieccy, okrutni, przesądni, ociężali, brudni, „najkonserwatywniéj i najuparciéj w pierwotności zasklepieni”, — boć i z niemi, z temi półzwierzętami, tak samo jak i z bogami, wszelki rachunek moralny musi być daremny i stracony. Stokroć dotkliwsze to, co nam Hajota w przedziwnie pięknych lecz smutnych swych szkicach („Miss Lilian Aimley”, „Dla zabicia czasu”, „Ładunek palmowego oleju”) — i co nam Szreniawa w doraźnych rzutach nieogładzonego swego pióra i przenikliwéj swéj myśli podają o białych wśród téj dziczyzny reformatorach, kolonizatorach, protektorach, cywilizatorach, gubernatorach, preceptorach, perceptorach, promotorach i plantatorach postępu... Nawet owe misye szerzące światło pod boskiém i słodkiém wezwaniem Jezusa Chrystusa spłowiały, skołowaciały i spotworniały dziś w swéj istocie i w swych zadaniach tak niemal, jak same imię Odkupiciela brzmiące w ustach angielskich: *Dzijsos Krajst!* „Zdarzają się naturalnie wyjątki—pisze Hajota—tak między misyami (najgorętszego np. uznania godną jest misya katolicka w Gabaonie), jako też i między ich wychowańcami. Najczęściéj atoli bywa, że złodzieje i próżniacy rekrutują się z pomiędzy tych wyśrubowanych na parodyę cywilizowanego człowieka dzieciaków, które z wykładanéj im w spaczony sposób nauki o równości ludzi, czerpią na dalsze życie trudną do wyobrażenia arogancyę i bezczelność i uważają się za zupełnie czystych w sumieniu, jeżeli nakradłszy i nakłamawszy przez cały tydzień do woli, spędzą niedzielę z założonemi rękami w meetinghousie na śpiéwaniu hymnów i błogiéj drzémce podczas długich, jak podróż zaatlantycka, kazań różnych rewerendów, z powtarzającemi się niechybnie frazesami w rodzaju,—że jasnym punktem dla Chrystusa jest ciemna, w nocy pogrążona Afryka...”

W ogólności, cała ta „kultura europejska” rozwija się i rozprzestrzenia na dalekich kresach wschodnich i południowych w ten sam sposób okrutny i barbarzyński, aczkolwiek być może nieunikniony, w jaki kolonizacya anglo-saska sadowi się na pobrzeżach Oceanii i grunt pod swe mieszkania oczyszcza. „Każdy kolonista — mówi Srzeniawa — zakładając nową siedzibę, lub powiększając teren pod uprawę, zapala swoje (?) lasy. Nocami horyzont cały gore dokoła, dalszych pożarów widnieją tylko łuny czerwone. Bliżéj strzelają ogniste słupy, buchają iskry jak z wulkanów, płoną drzewa na pniu jak pochodnie. Zewsząd dolatują głuche jęki walących się olbrzymów.

Dniami dymy zasłaniają słońce, a powietrze całe przybiéra barwę bronzową...”

Nieprawdaż, że nie trzeba ani pół tuzina takich widoczków, ażeby człowiek starego pokroju i starego świata tęsknie obejrzał się po za siebie i pożądliwie zapragnął powrotu do swoich, pod swoją strzechę, na swoje śmiecia, — swoje czy choćby tylko pokomorne. Bo mówmy co chcemy, sędziwa ta nasza Europa, na własnym, „zgrzybiałym” osadzona gruncie, nawet z temi swojemi socyalizmami, pozytywizmami, dekadentyzmami, militaryzmami, kapitalizmami i parlamentaryzmami dość jeszcze sobie znośnie i przyzwoicie wygląda wobec tych wykarczowanych, ogniem i gorącemi napojami wypalonych i skatechizowanych „nowin” bubiskich i ryczmondriwerskich. Zgadza się na to nawet sam p. Czesław Jankowski, który na ten grunt odwieczny, i jeśli już kto chce koniecznie, „zmurszały”, wybrał się był przed paru laty z większym znacznie zapasem zdrowego, żartkiego humoru, niż doktrynerskich i kaznodziejskich sentencyi.

Zacny musi to być brat i dobry kolega, ten nasz pan Czesław. Z czém się on nie wygadał przed nami w jednéj tylko drobniutkiéj cząstce swéj wycieczki „Po Europie”, od grobowca szekspirowskiéj Julietty w Weronie, dokoła serenady na cześć księcia i księżny genueńskich w Wenecyi, wzdłuż gór korątańskich w Styryi, nawskroś zasuszonego i zawiędłego w nudach Grazu (mamże pisać: „Gradcu”?), rytmicznym torem opery Smetany w Wiedniu, po kaszkiecie przejechanego w Salzburgu Bismarcka, przez Berchtesgaden w południowéj Bawaryi do Krakowa nad Wisłą — czy téż odwrotnie! Nie trzeba jednak wnosić z téj furyi *à la diable m'emporte*, że to są tylko srebrne wiórki i złote iskry felietonowéj werwy. Talent tylko tak chciał, talent rzetelny, nietuzinkowy—i może trochę przekwitająca już obecnie moda łatwego i wykwintnego francuskiego gawędziarstwa o wszystkiém po kropelce dyamentowéj sprawiła, że na 346 stronicach książki zmieściła się zawartość czternastu do piętnastu tomów Wielkiéj Encyklopedyi ilustrowanéj. Temperament to przeważnie artystyczny, wrażliwy, szybko i nerwowo przebiegający najtrudniejsze pasaże wielkiego i zawiłego koncertu tegoczesnego życia, ale zarazem i umysł poważny i wykształcony, wszędzie i zawsze umiejący odróżnić na tém morzu zjawisk to, co czegoś warte, od tego, co funta kłaków nie warte. A nie takie to łatwe, jak się komu zdaje. Dowodem pierwszy zaraz list z Berlina, datowany 4 maja 1891 r.; składa się on zaledwie z pięciu kartek i daje na tle ceremonialnego wjazdu cesarza Franciszka-Józefa sylwetki Bismarcka, Moltkego, Wilhelma II-go, cesarzowéj Fryderykowéj — i tuż zaraz nieporównany fototyp kawiarni Bauera,

a przecież jak to wszystko razem wzięte wygląda przestronnie, szeroko, wybitnie, we właściwém świetle i kolorycie. Przypomina się Cypryan Norwid, kiedy pewnego dnia, stojąc na wystawie przed płótnem sążnistych rozmiarów i kiwając głową, powiadał: — „U prawdziwych mistrzów figurka nieraz bywa taka oto (i tu wskazał na mały palec prawéj swéj ręki), a spójrz na nią w całości obrazu — kolos rodyjski.” Rozumne i umiejętne ustosunkowanie rzeczy i rozstawienie ich na odpowiednich miejscach, w tém sekret nietylko sztuk wszelkich, ale téż i wszechumiejętności. P. Czesław Jankowski doskonale wié, co się komu należy — i siebie z téj reguły nie wyłącza. Najdłuższe jego studyum podróżnicze, „Lourdes”, świadczy, że dokładnie pojmując niezbędność obrażenia i uwydatnienia bezdusznych, skarlałych i politurą modernizacyi pociągniętych praktyk wątpliwéj pobożności, czuł on zarazem i należycie świadom był prawdy, iż ci, dla których się pisze, choćby nie inaczéj wierzyć mieli, to w każdym razie myśléć i działać według téj wiary mogą inaczéj, niż ci, o których się pisze. Ta rozwaga, ta oględność światła i zacna pociąga, stanowi jedną z największych ponęt dzieła, z wielu względów nadzwyczaj przyjemnego w czytaniu... Ale nie trzeba wierzyć recenzentowi na słowo: należy wziąć to i przeczytać. I jako żywo nie wątpię, że było ono i jest po dziśdzień--że tu użyję przysłowiowego już niemal trybu wysłowienia Sienkiewicza—„ogromnie” czytane.

J. T. Hodi.



Z dziedziny psychofizyologii.

Wernicke, profesor chorób nerwowych i umysłowych w Wrocławiu, mało jest znany szerokiéj publiczności, cieszy się atoli wielkiém uznaniem wśród neurologów, jako autor cennych prac anatomicznych o mózgu, jako jeden z najzawołańszych i najkonsekwentniejszych rzeczników lokalizacyi mózgowych, przedewszystkiém zaś, jako pierwszorzędny badacz zjawisk afazyi czyli niemoty chorobowéj, którego studya w wysokim stopniu przyczyniły się do wyświetlenia mechanizmu psychofizyologicznego mowy. Wieloletni kierownik kliniki psychiatrycznéj, posiadający niezaprzeczone w téj mierze doświadczenie, ogłosił on przed kilkoma miesiącami „Wstęp psychofizyologiczny" do „Zarysu psychiatryi", w którym wyłuszcza poglądy swe na czynności psychiczne człowieka, jak się kształtowały i dojrzéwały pod wpływem długoletniéj obserwacyi klinicznéj; na uwagę zasługuje okoliczność, że do ogłoszenia „wstępu" w osobnéj książce zachęcił Wernicke'go jeden z przedstawicieli przyrodoznawstwa teoretycznego, w tém przeświadczeniu, że żywo interesuje szerokie koła przyrodników.

„Wstęp" nie zawiéra systematycznego wykładu psychologii fizyologicznéj; omawia on tylko niektóre zawilsze zagadnienia, ale ze stanowiska niemal ściśle anatomicznego. Zdaniem Wernicke'go trzy następujące fakty dostatecznie tłómaczą cały mechanizm mózgowy: 1) przewodnictwo odosobnione, polegające na tém, że bodziec po zetknięciu się z pewnym punktem na obwodzie, dąży po odpowiedniém

włóknie nerwowém do ściśle oznaczonego punktu szaréj masy, czyli kory mózgowéj; 2) niezliczone mnóstwo włókien nerwowych, łączących obwód ciała, t. j. organy zmysłowe, mięśnie, wnętrzności i t. d. z mózgiem, zachowuje swą ciągłość fizyologiczną i niejako rzutuje wszelkie podrażnienia na korę mózgową, którą uważać należy za zbiór obokleżnych rzutów, czyli ośrodków projekcyjnych; tém samém włókna tworzą układ projekcyjny; 3) rozmaite komórki jednego ośrodka, oraz rozmaite ośrodki pomiędzy sobą łączą się za pomocą osobnych włókien, tworzących układ kojarzący, czyli asocyacyjny.

Fakt, że każde wrażenie pozostawia ślad w mózgu, rodzaj kopii, podobizny, którą nazywamy wyobrażeniem, jest tylko szczególnym przypadkiem pamięci układu nerwowego, t. j. osobliwéj własności, mocą któréj bodźce, nawet chwilowo działające, wywołują w nim zmiany trwałe: np. pobudliwość faradyczna nerwu wzrasta pod wpływem częstego drażnienia prądem faradycznym, odruch, niejednokrotnie uskuteczniony, wyzwala się z coraz większą łatwością. Wernicke sądzi, że pamięć, lubo komórki mózgowe są nią obdarzone w wyższym stopniu, niż wszystkie inne pierwiastki nerwowe, nie wystarcza sama przez się do wytłómaczenia natury wyobrażeń. Jak wiadomo, podrażnienie siatkówki trwa, dzięki zawartym w niéj komórkom, dłużéj od samego bodźca, skutkiem czego powstaje już w nieobecności bodźca krótkotrwały obraz, zwany następnym. Zachodzi pytanie: czy czasem wyobrażenie wzrokowe nie jest skutkiem podobnego pobudzenia następnego komórek percepcyjnych w ośrodkowém zakończeniu nerwu optycznego? Przeciw téj analogii świadczy, popierwsze: nierozciągłość wyobrażenia wzrokowego, gdy obrazy następcze siatkówki mają charakter zewnętrzy, przestrzenny; powtóre i nadewszystko, trwałość nieograniczona pierwszych, momentalność drugich. Śledczy proces tworzenia się dwu wyobrażeń: litery i liczby. Nasamprzód przedmioty odbijają się na siatkówce, nie gdziekolwiek, lecz w ściśle oznaczoném miejscu, mianowicie w środkowéj plamie żółtéj, którą mimowoli i bezwiednie, z wrodzonego popędu, kierujemy na przedmiot, ściągający naszą uwagę; ponieważ owa plama żółta, miejsce najdokładniejszego widzenia, jest bardzo mała, więc te same pierwiastki siatkówki, które przed chwilą prezentowały literę, niezwłocznie posłużą do percepcyi liczby. To samo zajdzie analogicznie w odpowiednich komórkach mózgu, gdyż ośrodek wzrokowy przedstawia projekcyą siatkówki. Dlaczego w jednym wypadku obrazy się zacierają, w drugim — nie? Trudno przecież — wobec ciągle zmieniających się bodźców — wystawić sobie, aby jedna i ta sama komórka mózgowa zachowywała stale jednakowy stan po-

budzenia; należałoby raczéj oczekiwać wzajemnego zaciérania się kolejnych podrażnień, jak to bywa z obrazami następczemi. Próbowano godzić tę sprzeczność za pomocą hypotezy dwojakiego rodzaju komórek: czuciowych—dla percepcyi i pamięciowych—dla przechowywania wyobrażeń, hypotezy nieuzasadnionéj i nie tłómaczącéj zresztą sprawy. Różnicy między wrażeniem wzrokowém a takiémże wyobrażeniem szukać należy w odmienności nietyle samych pierwiastków, czynnych w obu sprawach, ile w tém, że każdemu wrażeniu odpowiada pewna stała forma pobudzenia, czyli właściwe ugrupowanie wzajemne pierwiastków siatkówki. Istotę wyobrażenia stanowi odtworzenie téj saméj formy pobudzenia, czyli tego samego ugrupowania pierwiastków funkcyonujących, a można je sobie wytłómaczyć jedynie przez nabyte połączenie czynnościowe jednocześnie pobudzonych pierwiastków czuciowych w mózgu za pomocą dróg asocyacyjnych. Jak rozmaite wrażenia zmysłowe wówczas się kojarzą z sobą, gdy jednocześnie występują, tak również jednoczeście podrażnione komórki percepcyjne w mózgu wstępują w związek czynnościowy i pozostają w nim trwale, dzięki ciągłemu wznawianiu tego samego wrażenia, czyli téj saméj formy pobudzenia. Możemy zatém określić wyobrażenie wzrokowe, jako nabyte drogą doświadczenia skojarzenie pierwiastków czuciowych ośrodka wzrokowego, a różnicę, zachodzącą między niém a obrazem następczym siatkówki, mianowicie trwałość pierwszego i chwilowość drugiego, sprowadzić do różnicy anatomicznéj, do istnienia dróg asocyacyjnych w optycznym ośrodku projekcyjnym i braku ich w siatkówce. To samo dotyczy i innych zmysłów: napozór najprostsze utwory psychiczne, wyobrażenia są natury złożonéj i — stosownie do zmysłu — powstają w tym lub owym ośrodku projekcyjnym, a zawsze przez nabyte skojarzenie czynnościowe pierwiastków czuciowych.

Już powiérzchowny przegląd ogółu naszych wyobrażeń czyli treści świadomości wykazuje w niéj obecność pewnych stałych grup, odpowiadających własnościom rzeczy konkretnych. Od każdego przedmiotu zewnętrznego odbiéramy cały szereg rozmaitych wrażeń, których wyobrażenia kojarzą się w naszym umyśle, i tém mocniéj, im częściéj mamy do czynienia z przedmiotem; tak powstają wyobrażenia złożone, zwane przez Wernicke'go pojęciami i mające swe źródło w połączeniu anatomiczném komórek czuciowych, należących do różnych ośrodków zmysłowych. Ograniczając się na rzeczach konkretnych, możemy powiedzieć, że treść świadomości składa się nietylko z wyobrażeń pojedyńczych, lecz również z trwałych asocyacyi wyobrażeń czyli pojęć konkretnych, których ogół stanowi świadomość świata ze-

wnętrznego, gdyż istotnie posiadamy w tych pojęciach dokładny jego obraz. Ilość pojęć konkretnych równa się oczywiście ilości przedmiotów zewnętrznych i mierzy się liczbą rzeczowników zmysłowych, używanych przez danego osobnika. Owóż jednym z umysłów najrozleglejszych był niewątpliwie Szekspir, powinien więc był posiadać osobliwie bogaty słownik: wynosi on 15,000. Jak drobna część téj liczby przypada na przedmioty konkretne! Weźmy majtka angielskiego, przykład wręcz przeciwny; zasób jego wyrażeń nie przekracza kilkuset. W porównaniu zatém z ilością komórek, zawartych w szaréj masie, obliczoną przez Meynert'a na miliard, ilość rzeczy zewnętrznych nie jest w rzeczywistości tak wielka, a rozmaitość ich tak znaczna, jak gotowiśmy sądzić. Nasze zmysły wciąż się stykają z temi samemi przedmiotami, przez co właśnie wytwarzają się w umyśle trwałe skojarzenia pojedyńczych wyobrażeń, t. j. pojęcia.

Jakie są warunki powstawania skojarzeń? Większa część asocyacyi, o których była mowa dotychczas, wypływa z współbytności wrażeń, faktem jest bowiem niezaprzeczonym, że wyobrażenia jednocześnie otrzymanych wrażeń pozostają w trwałym związku bez względu na to, czy wchodzi tu w grę jakiś łącznik wewnętrzny, czy téż tylko zwyczajny przypadek, lubo — co prawda — zdarzenia przypadkowe nigdy się nie wznawiają z taką łatwością, ani się łączą tak trwale, jak zjawiska związane jakiémś prawem przyrodzoném. Drugi sposób kojarzenia ma swe źródło w kolejném następstwie wrażeń, w ten sposób zdobywamy wszelką wiedzę pamięciową, jak również poznanie prawidłowości. Wszędzie, gdzie jedno zjawisko stale następuje po drugiém, upatrujemy pewien związek przyczynowy, zwłaszcza, jeśli udaje nam się dowolnie wywoływać ich następstwo: stąd nieprzezwyciężona moc eksperymentu. Zrozumiéć jednak łatwo, że eksperyment nie odsłania wewnętrznego związku dwu zjawisk, stwierdza on właściwie tylko obecność owéj drogi asocyacyjnéj, która już poprzednio brała udział w tym samym procesie. Poczucie przyczynowości jest wrodzoną zaletą czy wadą naszego mózgu. Same w sobie zjawiska zewnętrzne dalekie są od jakiegokolwiek związku zewnętrznego; łącznik, który je kojarzy, znajduje się w mózgu, służy nadto do łączenia nie samych rzeczy, lecz śladów, jakie po sobie zostawiają w mózgu, t. j. wyobrażeń.

Przypuśćmy, że udało nam się u istoty żyjącéj zdjąć czaszkę i delikatnemi pociągnięciami unieść dość wysoko jéj zawartość, nie nadwerężając jednak ani naczyń krwionośnych, ani nerwów, ani rdzenia przedłużonego i paciérzowego, wówczas ukaże nam się mózg w swéj prawdziwéj postaci, jako istota czująca i poruszająca, uzbrojo-

na w machinę, która wprawdzie zawiéra narządy do odbioru wrażeń i wykonywania ruchów, ale sama, odnośnie do mózgu, przedstawia tylko cząstkę świata zewnętrznego, lubo ściśle spojoną z mózgiem. Machina nietylko ułatwia komunikacyą między światem zewnętrznym a mózgiem, lecz nadto sama dostarcza mu o sobie wiadomości w postaci szeregu wrażeń, które również biegną po układzie projekcyjnym do ośrodków i również zostawiają po sobie ślady —wyobrażenia. Można powiedziéć, każde wyobrażenie przedstawia dwie strony: jedna tkwi w naturze bodźca i tworzy właściwą treść wrażenia, druga tkwi w organie podrażnionym, zmienia bowiem swój koloryt, stosownie do organu, wystawionego na działanie bodźca i względem świadomości odgrywa rolę znaku miejscowego, sygnalizującego jéj właściwe miejsce podrażnienia. Ta druga strona, zwana przez Wernicke'go czuciem organiczném, zazwyczaj uchodzi naszéj uwagi, przykutéj całkowicie do treści zmysłowéj wrażenia, ale przy wyższém natężeniu bodźca dzieje się odwrotnie: pomijamy treść wrażenia i całą uwagę zwracamy w stronę czucia organicznego, po uprzedniém wykonaniu celowych, jakkolwiek mimowolnych, ruchów obronnych. Poczuliśmy np. niespodzianie dotknięcie w ramię, znajdując się w wielkim natłoku publiczności: ograniczamy się na domyśle, że pochodzi ono od jakiéjś osoby lub rzeczy, jeżeli jednak dotknięcie było mocne i bolesne, natychmiast cofamy ramię, chroniąc je od ponownego szwanku: uwaga nasza skierowała się całkiem w stronę uszkodzonéj części ciała. Podobnie się zachowujemy wobec głośnych szmerów: mimowoli odskakujemy, gdy nam kto z nienacka strzeli nad uchem, a nikt nie odważyłby się stać tuż obok szybko przebiegającego pociągu, gdyby nawet wiedział doskonale, że mu żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Przytoczone przykłady ruchów obronnych, pochodzenia niewątpliwie odruchowego, świadczą niezbicie, że czucia organiczne są w wysokim stopniu celowe i przeznaczone głównie do ochrony ciała. Do organicznych należą również czucia, powstające w mięśniach, stawach, wnętrznościach i w stanie zdrowia nie przekraczające progu świadomości, z pewnemi wyjątkami, np. powszechnie znane uczucie głodu i sytości, potrzeba oddawania moczu i kału, czucie płciowe; natomiast choroby wnętrzności dowodzą wysokiego stopnia wrażliwości tych organów, oraz wpływu wybitnego na samopoczucie. Istnieje cały szereg wrażeń organicznych, którym przypisujemy powszechnie pochodzenie wewnętrzne. Uczucie zimna i ciepła w skórze, spowodowane skurczem i rozszerzeniem naczyń krwionośnych, przewrotne wrażenia smakowe przy katarze błony śluzowéj jamy ustnéj, szmery subiektywne, jak dzwonienie w uszach, fale świetlne, widziane w ciemni abso-

lutnéj i t. p. — wszystko to są wrażenia, których nigdy nie odnosimy na zewnątrz. Dowodzą one, że wrażenia zmysłowe są niemożliwe bez odpowiednich czuć organicznych, jako niezbędnych poprzedników, ale nie odwrotnie. Stosunek wzajemny wrażeń zmysłowych i organicznych mógłby znaléść swe uzasadnienie w budowie warstwowéj kory mózgowéj; należałoby tedy przypuścić, że pierwsze uświadamiają się w górnych warstwach kory, drugie zaś — w dolnych, zatém bliżéj zwróconych do włókien projekcyjnych; rzecz oczywista, że wszelkie podrażnienie, aby dojść do warstwy górnéj, musi najprzód przejść przez dolną, ale nie odwrotnie. Wernicke uważa tę hypotezę za prawdopodobną.

Z powyższego wypływa, że bez czuć organicznych, mających swe źródło nie zewnątrz nas, lecz w samém oku i uchu, w saméj błonie śluzowéj nosa i języka, w saméj skórze, mięśniach lub wnętrznościach, nigdy nie wiedzielibyśmy o posiadaniu jakichkolwiek organów, gdyż z nich właśnie powstają wyobrażenia, które w połączeniu stanowią to, co nazywamy świadomością własnego ciała; wytwarza się ona z wyobrażeń organicznych, podobnie jak świadomość świata zewnętrznego — z wyobrażeń zmysłowych; oba rodzaje świadomości są nabyte, a różnią się tylko tém, że w pierwszym wypadku wyobrażenia dotyczą miejsca zetknięcia z bodźcem, w drugim — formy pobudzenia czyli wzajemnego ugrupowania pobudzonych elementów.

Rzecz naturalna, że ośrodki mózgowe prezentujące świadomość ciała, powinniśmy sobie wystawić, jako najściśléj z sobą związane za pomocą dróg asocyacyjnych. Ponieważ wiadomości, nadsyłane przez własne ciało, pozostają, *caeteris paribus*, zawsze te same, więc z czasem wytwarza się tak trwałe połączenie wyobrażeń organicznych, do jakiego niezdolne są wyobrażenia zmysłowe. Stosunek wzajemny oddzielnych części naszego ciała jest absolutnie niezmienny, gdy przedmioty zewnętrzne ulegają ciągłym zmianom; od tych możemy się do pewnego stopnia odosobnić, gdy wrażenia powstające we własném ciele, stale nam towarzyszą; we śnie świat zewnętrzny prawie że przestaje na nas oddziaływać, natomiast od powierzchni ciała, na któréj leżymy, ustawicznie nadchodzą sygnały do świadomości. Że pewien stopień świadomości własego ciała nigdy nas nie opuszcza na jawie, wypływa dowodnie z naszego zachowywania się: możemy skupić całą naszą uwagę na pewnym przedmiocie zewnętrznym, pogrążyć się w obserwacyi jakiegoś widoku lub słuchaniu melodyi, ciało zawsze zachowuje swą postawę prostą, kontynuuje swe kroki, omija przeszkody, przystosowuje się do właściwości gruntu i wykonywa ruchy obronne wszelkiego rodzaju. Ta właśnie niezmienność względna

świadomości ciała własnego sprawia, że wydaje nam się ona czémś stałém i jednostkowém w przeciwieństwie do zmiennych wrażeń świata zewnętrznego. Doświadczenie nadto nas uczy, że ciało nasze jest niepodzielne wręcz przeciwnie, niż świat zewnętrzny, dający się mniéj więcéj rozkładać na części składowe; tak powstaje nasze „ja" pierwotne, przez które pojmować należy właśnie świadomość ciała własnego.

Ze świadomością ciała łączą się ściśle objawy ze strony narządu ruchowego, w szczególności ruchy dowolne, które również, jak wyobrażenia, należą do własności nabytych. Wrodzone czyli dane nam wraz z organizacyą nerwową są tylko odruchy; nie mając nic wspólnego ze świadomością, nadsyłają one jednak do mózgu ciągłe wiadomości o sobie, które będziemy nazywali wrażeniami, a pozostałe po nich ślady — wyobrażeniami ruchowemi. Wrażenie ruchowe należy do zjawisk psychicznych bardzo złożonych, gdyż odruch sam przez się daje powód do rozmaitego rodzaju czuć. Jedne z nich powstają w stawie poruszanym; inne w skórze, któréj dwie powierzchnie kurczą się i wzajemnie dotykają w zgięciu, a rozciągają się i oddalają od siebie na stronie przeciwnéj; inne znowu—w mięśniach, które—stosownie do ruchu, t. j. zginania lub rozginania stawu — wolnieją lub się wydłużają i rozciągają. Umożliwiając nam dokładne określenie rozmaitych pozycyi ciała, wymienione trzy rodzaje czucia składają się na t. zw. czucie położenia. Całkowite wrażenie ruchowe wymaga obecności czwartego jeszcze składnika—czucia inerwacyjnego. Czynność, zachodząca w komórkach ośrodków odruchowych, gdy te pod wpływem podrażnienia przywołują do skurczu pewną grupę mięśni, odgrywa względem szaréj masy mózgu, a właściwie względem ściśle określonéj okolicy kory, rolę bodźca zewnętrznego; w chwili więc uskutecznienia się odruchu, kora otrzymuje rodzaj sygnału, donoszącego o natężeniu i formie skurczu, o ilości zużytéj energii nerwowéj — co właśnie stanowi treść czucia inerwacyjnego. Współcześnie z całkowitém wrażeniem ruchowém, przedostaje się do mózgu wiadomość o owym bodźcu zewnętrznym, który posłużył był do wyzwolenia odruchu. Świadomość nasza wzbogaca się w dwa składniki: wyobrażenie ruchowe, będące wspomnieniem odruchu, i wyobrażenie zmysłowe, będące wspomnieniem bodźca zewnętrznego, które na mocy stałéj spółbytności wstępują w związek asocyacyjny. Owóż ruch nazywamy dowolnym, jeśli ma za poprzednik wyobrażenie ruchowe, wywołane przez trwale z niém skojarzone wyobrażenie zmysłowe; jest on powtórzeniem odruchu, z którym ma dwa momenty wspólne: identyczny ruch rzeczywisty, oraz poprzedzającą go jednakową czynność tego sa-

mego ośrodka odruchowego; cała różnica polega na tém, że w jednym wypadku ośrodek odruchowy zostaje pobudzony bezpośrednio przez bodziec zewnętrzny, w drugim — przez odpowiadające bodźcowi wyobrażenie. Przykład bliżéj to wytłómaczy. Zgięcie nogi we wszystkich stawach, wskutek ukłucia podeszwy szpilką, jest odruchem; dla wykonania tegoż ruchu drogą dowolną, dość, abym zobaczył szpilkę: na mocy asocyacyi, obraz wzrokowy szpilki wywoła w świadomości jéj wyobrażenie dotykowe, to zaś ostatnie — skojarzone z niém wyobrażenie ruchowe, po którém nastąpi ruch rzeczywisty. Tak samo, gdy zamykamy oczy przed zbliżającém się narzędziem kłującém; sprawa zaczyna się od wrażenia optycznego, poczém następują przez asocyacyą wyobrażenia: dotykowe i ruchowe. Możemy więc ogólnie określić ruchy dowolne, jako reakcye na bodźce, pochodzące z zewnątrz i zastąpione przez odpowiednie wyobrażenia. Istotnie, większa część naszych ruchów dowolnych daje się odnieść do tych lub owych bodźców zewnętrznych, niekoniecznie aktualnych, bo i spontanicznie wypływające nad poziom świadomości wyobrażenia zmysłowe mogą służyć za punkt wyjścia procesu asocyacyjnego, który ostatecznie zakończy się ruchem.

Czucia organiczne rządzą niepodzielnie pierwszemi ruchami dowolnemi dziecka. Ssanie, początkowo odruchowe, odbywa się w następstwie dowolnie, spowodowane uczuciem głodu, późniéj zaś wystarcza sam widok brodawki piersiowéj dla wywolania ruchów ssania. Wrażliwość oka dziecięcego na światło jaskrawe dowodzi, że przyczyną zamknięcia powiek jest również przemagające uczucie organiczne. Ze wszystkich ruchów dowolnych przeważają w pierwszych miesiącach życia ruchy obronne, t. j. takie, które wypływają z czuć organicznych i są mniéj lub więcéj dokładném odbiciem odruchu. Do téj samej kategoryi należą nader zawiłe ruchy, napotykane u dorosłych co krok, np. okrzyk z przestrachu, odskok i t. d.; popęd do naśladowania dźwięków słyszanych należy tłómaczyć również czuciami organicznemi w zakresie nerwu słuchowego, t. j. należy przypuścić, że w pewnym okresie życia pobudzeniom nerwu słuchowego stale towarzyszą uczucia przyjemne, i tylko chęć wywoływania tych uczuć przyjemnych skłania dziecko do wykonywania ruchów mownych.

Wyobrażenia, dotyczące świata zewnętrznego i własnego ciała, bynajmniéj nie wyczerpują całkowitéj treści świadomości; tworzą one raczéj istotę świadomości, właściwéj — pomimo wszelkich różnic ilościowych — zarówno nam, jak i zwierzętom. Na niéj dopiéro, jako na podwalinie, wznosi się wyższy rozwój duchowy człowieka, a wynikiem tego rozwoju jest tworzenie się osobowości czyli indywidualno-

ści. Człowieka, który utracił był przytomność, wówczas nazywamy zupełnie przytomnym, gdy odzyskał świadomość swéj osobowości, t. j. gdy przypomniał sobie, nietylko że posiada to samo ciało co przed napadem, lecz oraz że pozostał tym samym odnośnie do całego stanu duchowego. Świadomość osobowości każe przypuścić możliwość rozwoju „jaźni", a tkwi ona, jak widzieliśmy, głównie w przeciwieństwie niezmiennéj cielesności do zmiennego świata zewnętrznego, przeciwieństwie, które otrzymuje swą moc w chwili, gdy dziecko zaczyna używać słowo „ja"; jeśli przed tym okresem rozwój duchowy dziecka został zatamowany, wyrasta ono na idyotę, które o własném ciele mówi w trzeciéj osobie. Świadomość zatém osobowości obejmuje wszystko, co w mowie potocznéj nazywa się skarbcem i nabytkiem duchowym, wszystko co musi być wpajane dziecku drogą nauki, wychowania i kształcenia, aby mogło z niego wytworzyć się indywiduum.

Na kształtowanie się człowieka wpływa przedewszystkiém otoczenie społeczne, w którém wyrasta. Żywy przykład był zawsze najdzielniejszym środkiem wychowawczym, zwłaszcza połączony z łatwo zrozumiałą powagą rodzicielską; pożycie małżonków wyciska bezwątpienia piętno decydujące na dziecku, jego osobie duchowéj i przyszłym charakterze. Pod wpływem środowiska rozwijają się całkowicie, zwłaszcza t. zw. cechy charakteru—usposobienie brutalne lub łagodne, kierunek egoistyczny lub altruistyczny przyszłych czynów i t. p. — nawet w tych wypadkach, gdzie środek wychowawczy tak potężny i niemal instyktownie działający, jak mowa, nie może być stosowany, np. u głuchoniemych. Mowa tworzy część osobowości, o ile odzwierciedla w sobie cechy otoczenia, w którém żyje człowiek: świadczy o tém rozmaitość języków i narzeczy; cały sposób mówienia człowieka, tak odmienny stosownie do kierunku wykształcenia i stopnia rozwoju duchowego, jest jednym z objawów osobowości. Wraz z językiem zostaje przeniesiony na mózg dziecięcy w pewnym porządku logicznym cały skarbiec duchowy dorosłego człowieka, nietylko pojedyńczego, lecz całych pokoleń, które przekazały nam spuściznę w języku. Porządne myślenie logiczne, wszelkie subtelniejsze czynności duchowe mają swe główne źródło niewątpliwie w przekazanéj nam sztuce mówienia, stąd o sposobie myślenia człowieka decyduje mowa, przejęta od rodziców i reszty otoczenia: surowa i wadliwa ludzi nierozwiniętych lub subtelna i bogata osób wysoko wykształconych. Ta okoliczność tłómaczy nam również, dlaczego u osób, dotkniętych chorobą umysłu, zmiana sposobu mówienia zwiastuje i znamionuje zmianę ich osobowości duchowéj. Oprócz mowy, jako środka wychowawczego, do osobowości należy wszystko, co człowiek przejmuje

drogą nauki i tradycyi, a więc cały ogół w ten sposób nabytych wiadomości, jakościowo i ilościowo w wysokim stopniu zależny od rozwoju osobnika. Nad zachodzącemi w tym względzie różnicami ilościowemi zbyteczna się zastanawiać. Jakościowe zaś już dla tego samego są tak uderzające, że wiedza niższego rzędu polega przeważnie na skojarzeniach, pozbawionych związku wewnętrznego, czego przykładem daty historyczne, na pamięć wyuczone przypowieści i śpiewy, dziesięcioro bożego przykazania, nawet tablica mnożenia. W zakres osobowości wchodzi jeszcze ogół wydarzeń, zaszłych w życiu osobnika. Każde poszczególne indywiduum reprezentuje zawsze ogólną sumę już-to wiadomości nabytych, już-to faktów przeżytych, sumę, która tylko w danéj chwili posiada wartość całkiem określoną, zresztą wzrasta z każdą godziną i dniem, skutkiem czego aktualny stan mózgu przedstawia niejako bilans ze wszystkich stanów poprzednich. Do osobowości zaliczyć należy wreszcie wszelkie sprawy człowieka tak natury egoistycznéj, jak również dotyczące innych osób, rodziny, powołania, pracy codziennéj. Oddanie się rodzinie, przyjaciołom, wogóle bliźnim, z pominięciem własnéj osoby, zajmuje czasami stanowisko górujące w świadomości osobnika, że przytoczymy stosunek między matką a dzieckiem, mężem a żoną. Z jednéj strony, gotowość poświęcenia własnego życia dla bliźnich, również dla idei, zasady, dla celu raz wytkniętego, z drugiéj— przeważnie egoistyczny nastrój większości ludzi dają nam miarę przeciwieństw krańcowych, oraz niezmiernéj rozmaitości duchowych osobowości.

Do pewnego stopnia rozwój osobowości zależy od rozwoju świadomości własnego ciała i świata zewnętrznego. Takie różnice charakteru, jak odwaga i tchórzliwość, otwartość i skrytość, dzielność i wstręt do czynu, dają się sprowadzić częstokroć do różnic cielesnych: do subtelności lub tępości zmysłów, do tęgości i wątłości organizmu — warunków wpływających dodatnio lub ujemnie na zdolność przystosowania się do otoczenia, będącą cechą charakterystyczną normalnego stanu duchowego. Słowem, świadomość osobowości uważać należy za funkcyą świadomości świata zewnętrznego i własnego ciała. Jeżeli zaliczymy wszelkie wrażenia, wypływające z otoczenia społecznego, do świadomości świata zewnętrznego, ostatnie twierdzenie nabiéra szczególnéj wagi, tłómaczy nam bowiem, dlaczego w warunkach moralnych rozwijają się osobniki moralne, zaś w rodzinach zbrodniczych wyrastają osobniki antyspołeczne, oraz dlaczego stan chorobliwy umysłu sam przez się nie wystarcza do zrozumienia natury zbrodniczéj, chyba gdy osobowość duchowa rozwijała się sprzecznie z zewnętrzném otoczeniem, jak np. w wypadkach tak zwanego obłędu mo-

ralnego *(Moral insanity)*. Bądź co bądź, świadomość osobowości jest znacznie zawilsza od świadomości świata zewnętrznego i ciała własnego, polega bowiem na skojarzeniach, niezmiernie zmiennych i nawskroś indywidualnych.

Świadomość ciała własnego, jako związana bezpośrednio z układem projekcyjnym, najłatwiéj téż daje się lokalizować w mózgu; świadomość świata zewnętrznego również możemy umiejscowić, gdyż składające się na nią wyobrażenia zmysłowe przechowują się w odpowiednich ośrodkach projekcyjnych. W osobowości zaś nie może być mowy o lokalizacyi na podstawie projekcyi. Czyżby więc miała zupełnie się wymykać z pod zasady umiejscowienia i stanowić kres pojmowania anatomicznego? Że tak nie jest, świadczy doświadczenie kliniczne. Są choroby, dotyczące wyłącznie osobowości, gdy inne obejmują niemal wyłącznie dziedzinę świata zewnętrznego lub cielesności, że pominiemy kombinacye chorobowe, gdzie w grę wchodzą wszystkie trzy dziedziny, przyczém proces patologiczny zajmuje stale to lub owo miejsce mózgu, zależnie od choroby. Paraliż postępowy, choroba umysłowa o przebiegu nawskroś postępowym i złośliwym, niszczy po kolei całą treść świadomości, poczynając od osobowości, i zaczyna się od zaniku włókien w najpowierzchowniejszéj warstwie kory mózgowéj. Doświadczenie kliniczne zezwala na dokładniejszą lokalizacyą osobowości. Zdarza się mianowicie, że skutkiem ciężkich chorób osobowość ulega znacznemu uszczupleniu, przyczém wygładzone zostają z pamięci wszystkie wyobrażenia, nabyte w najbliższym czasie przed chorobą, w ciągu ostatnich np. kilku miesięcy lub lat, czasem w ciągu ostatniéj połowy życia. Osoby dotknięte takiém ogólném osłabieniem pamięci, dokładnie sobie przypominają wszelkie zdarzenia zaszłe przed pewnym okresem, np. przed 30-ym rokiem życia, zaś wszystko, co się działo po tym roku, zostało zapomniane: wstąpienie w związek małżeński, utrata majątku, powszechnie znane wypadki dziejowe, oraz inne najdonioślejsze fakty; słowem, uległy zagładzie wszystkie wyobrażenia, które, począwszy od pewnego momentu, wcieliły się były do jaźni osobnika. Ten sam brak pamięci, tylko w znacznie mniejszym stopniu i jako zjawisko fizyologiczne, występuje w wieku zgrzybiałym, kiedy, jak wiadomo, wspomnienia lat dawnych zachowują całą świeżość, zaś wypadki ostatnich dni, tygodni i miesięcy wychodzą zupełnie z pamięci. Fakt znikania wyobrażeń w określonym porządku, oraz wskutek grubych zmian materyalnych każe przypuścić, że zajmują one to lub owo siedlisko w korze mózgowéj, stosownie do czasu, kiedy zostały nabyte, skąd znowu wypływa, że wyobrażenia tworzą w mózgu rodzaj pokładów warstwowych, nakształt osadów tworzą-

cych się w najnowszych formacyach ziemi; osobowość, jako wytwór najpóźniejszy ducha, powinna téż zajmować najbardziéj zewnętrzną, układowi projekcyjnemu przeciwległą warstwę szaréj masy mózgowéj. Nie tyle zbytnia zmysłowość, ile względy innéj natury stają na zawadzie warstwowéj lokalizacyi wyobrażeń. Znane są wypadki wiarogodne (niedawno jeszcze jeden z nich ogłoszony był przez nieodżałowanego Charcota), gdzie osoby, mówiące kilkoma językami, po ataku apoplektycznym, t. j. wylewie krwi w ściśle oznaczonéj i ograniczonéj okolicy mózgu, utraciły tę zdolność, z wyjątkiem mowy ojczystéj. Przypuściwszy w tych wypadkach cierpienie czysto ruchowe, umiejscowione, podług wszelkich danych patologii, w oznaczonéj okolicy zrazu czołowego, zwanéj zawojem Broca, musimy w myśl powyższego poglądu przyjąć, że atak zniszczył w zupełności pewne, ściśle określone warstwy tego zawoju, oszczędzając warstwy tuż wyżéj lub niżéj znajdujące się i przeznaczone dla mowy ojczystéj, — co jest wysoce nieprawdopodobne. Wernicke'mu pogląd następujący wydaje się zgodniejszym z całym szeregiem znanych faktów. Komórki i włókna kory mózgowéj są to utwory niezmiernie delikatne, trwające poniekąd w stanie zarodkowym, dopóki nie zaczną funkcyonować; tylko funkcya nadaje im pewną odporność, wzrastającą w miarę ćwiczenia się w czynności. Hypotezę analogiczną wygłosił niegdyś Cohnheim odnośnie do mięśni, które uważał za zdolne do wzrostu i powiększania się jedynie podczas ich czynności. Przypuśćmy teraz, że w pobliżu jakiegoś ogniska chorobowego w mózgu leży ośrodek, np. zawój Broca, gdzie obok komórek i włókien z dawien dawna czynnych, a zatém do pewnego stopnia odpornych, znajdują się takie, których odżywianie zostaje zawieszone już przez najlżejsze uszkodzenie: rzecz prosta, że skutkiem sąsiedztwa ogniska chorobowego jedne pierwiastki ulegną zniszczeniu, inne pozostaną nietknięte. To samo zachodzi w wypadkach ogólnego osłabienia pamięci. Jak tam ma miejsce ograniczone, tak tu na cały mózg oddziaływa widocznie jakiś moment szkodliwy, wobec którego ostać się mogą tylko pierwiastki odporne, i nie dziw, że stopień téj odporności zależy od czasu, innemi słowy, że nikną tylko wyobrażenia niedługo dopiéro istniejące.

Świadomość osobowości mieści w sobie jeszcze jedną, najwyższą czynność mózgu, która po wsze czasy uchodziła za zagadnienie nad zagadnieniami: zjawisko samowiedzy. W tém zjawisku mózg, któremu przypisujemy zdolność postrzegania, występuje sam w roli przedmiotu postrzeganego. Wydaje się jednak niemożebném, aby istota lub rzecz postrzegająca była jednocześnie przedmiotem postrzegania. Weźmy atoli na uwagę, że przez świadomość osobowości pojmuje się

sumę wyobrażeń, któréj wartość jest funkcyą czasu, czyli że postrzegający przedstawia w chwili postrzegania całkiem określoną osobowość duchową, różniącą się od osobowości z chwili poprzedniéj o pewną wartość dostrzegalną, wówczas nie powinno nas dziwić, że ta ostatnia wartość w stanie jest postrzegać obok pewnych rzeczy zmysłowych, również składniki rzeczonéj sumy, poprzedzające ją w czasie. Innemi słowy, osobowość duchowa postrzega nie samą siebie, lecz tę, która istniała przed kilkoma chwilami, godzinami, dniami lub laty. Myśl, że się nie zmieniamy, polega jedynie na złudzeniu.

Uważamy za całkiem naturalne, jeśli osoba bez odpowiedniego wykształcenia nie odpowié na pytanie, zaczerpnięte z pewnéj dziedziny wiedzy, lub nawet treści jego nie zrozumié. A przecież przykład ten dowodzi w sposób najoczywistszy, że nabycie wszelkiéj nowéj wiedzy przypuszcza, jako warunek niezbędny, uprzednio nabyte wyobrażenia określonego gatunku. Nazwijmy czynność, odbywającą się w świadomości zapytanego, myśleniem; wyobrażenie, wywołane pytaniem, określmy jako wyobrażenie początkowe, a rezultat myślenia zawarty w odpowiedzi, jako wyobrażenie końcowe: proces myślenia nie przychodzi do skutku w naszym przykładzie, dla braku odpowiedniego wyobrażenia początkowego. Ponieważ wszelka myśl wiąże się z jakiémś podraźnieniem zewnętrznem, z wrażeniem zmysłowém, więc wymaga ona przedewszystkiém zrozumienia wrażenia; wrażenie zupełnie obce dla świadomości, właśnie dlatego nie pociąga za sobą zwykłéj czynności myślenia, i bywa nietylko niezrozumiane, lecz nadto bardzo niedokładnie postrzeżone, co łatwo stwierdzić, przysłuchując się dźwiękom obcéj mowy. Wypływa stąd, że najprostszy akt percepcyi zmysłowéj wymaga już dla swéj dokładności, pewnych danych umysłowych. Tak samo rzecz się ma z bardziéj złożonemi procesami duchowemi, gdzie wyobrażenie początkowe, jako rzecz często zupełnie obojętna, uchodzi naszéj uwagi: i tu sprawa odbywa się przeważnie torami naprzód ustalonemi i utartemi: tém tłómaczy się stosunkowa rzadkość prawdziwie nowych wyników myślenia. Wszędzie i zawsze myśl zdaje się zależyć od skarbca wyobrażeń dawno nabytych i w pewien sposób uporządkowanych, innemi słowy: jest ona powtórzeniem pobudzeń już poprzednio istniejących i w tym samym, co poprzednio, porządku. Na czém polega ten ład, panujący w wyobrażeniach? Ponieważ daje się on sprowadzić do pewnych, u wszystkich osób prawie jednakowych skojarzeń, pytanie powyższe można tak sformułować: w jaki sposób tworzą się te powszechne skojarzenia? Po części odpowiedzieliśmy na to przy omawianiu świadomości świata zewnętrznego: przyrodzony porządek i kolejne następstwo rzeczy odzwiercie-

dlają się poniekąd w mózgu, przez co zjawiska łączą się w naszéj świadomości tak, jak w naturze. Do dość stałych własności rzeczy należą ich stosunki do innych rzeczy, żywych lub martwych, a głównie do nas samych. Że woda marznie przy ochłodzeniu i ulatnia się przy ogrzewaniu, uważamy za zjawisko zupełnie prawidłowe, bo stale się powtarzające, które odzwierciedla się znowu w mózgu, ponieważ wyobrażenia: „woda, lód, para, ciepło i zimno" kojarzą się z sobą w pewnym porządku. Na wzór najprostszych zjawisk natury z ich porządkiem prawidłowym, narzucają nam się bardziéj zawiłe związki wyobrażeń przez przykład otoczenia. Wrodzony nam popęd naśladowczy jest zupełnie podobny do konieczności, z jaką zjawiska przyrody narzucają się naszemu mózgowi. Od wczesnego dzieciństwa zachowujemy się w pewnych sytuacyach na podobieństwo innych ludzi; przykład uczy człowieka nawet najmniéj rozwiniętego, że trzeba wykopywać płody polne i gotować je, aby niemi głód zaspokoić; zwyczajny téż przykład uczy go sadzić, by miéć czém na przyszłość głód zaspokoić, przyczém samo sadzenie, jako wyobrażenie końcowe, przedstawia czynność bardzo zawiłą, wywołaną przez wyobrażenie początkowe głodu z współudziałem całego szeregu skojarzeń. W zwykłych warunkach całe nasze sprawowanie rządzi się przykładem otoczenia. Środowisko, w którém wyrasta i żyje człowiek, wystarcza dla zasilenia jego świadomości wielkim zasobem wyobrażeń, ułożonych w oznaczonym porządku, tém trwalszym i niezmienniejszym, im jednostajniéj upływa życie. Nawet w wypadkach zakłóconéj czynności umysłu, świadomość zbiorowa, która każe nam postępować, jak inni, zachowuje jeszcze swą moc: obłąkany, skądinąd nieprzystępny i oporny, często idzie za przykładem swych towarzyszy, a na tym fakcie opiéra się całe traktowanie umysłowo chorych w zakładzie. Jak głębokie zapuściła w nas korzenie świadomość zbiorowa, łatwo się przekonać, gdy przybywszy na manifestacyą w charakterze biernego widza, dajemy się w końcu porwać tym samym uczuciom, które ożywiają tłum.

Wszakże środkiem, najbardziéj przyczyniającym się do uporządkowania naszych wyobrażeń, jest mowa artykułowana; ona właśnie ułatwia nam poznanie najsubtelniejszych i najdokładniejszych stosunków, zachodzących między pojęciami konkretnemi, między niemi a wydarzeniami i czynami, ona też porządkuje czyny w czasie i za pomocą subtelnych odcieni określa stanowisko osobowości czynnéj. Z drugiéj strony, mowa dostarcza nam znaków skróconych dla pewnych skomplikowanych asocyacyi, mianowicie pojęć oderwanych, po części za jéj pośrednictwem nabywanych, umożliwiając operowanie całemi szeregami wyobrażeń; do takich znaków skróconych, oznaczających pew-

ne złożone stany osobowości, znane każdemu z własnego doświadczenia, należą: miłość, nienawiść, obawa, nadzieja i t. d. Myliłby się jednak, ktoby myśl identyfikował z mową lub mniemał, że myślenie odbywa się tylko za pomocą słów. Tak sądzi wielu wybitnych uczonych i jako dowód, że myślenie uporządkowane nie może się obejść bez znaków skróconych, zawartych w mowie, przytaczają pojęcia oderwane. Atoli niepodobna, aby ktoś obznajmiony z obecną nauką o afazyi, przypuszczał, że człowiek dotknięty afazyą zupełną miał wskutek tego zgoła utracić pojęcia wiary, miłości, nadziei, religii, czasu i t. p., do czego sprawowanie chorych bynajmniéj nie upoważnia. Słowo może się jaknajściśléj wiązać z całym szeregiem wyobrażeń, faktem decydującym pozostaje nie kojarzenie z wyrazem, lecz wzajemna asocyacya samych wyobrażeń, jakkolwiek mogła być nabyta za jego pośrednictwem. Mowa odgrywa jedynie rolę dozorcy, który raz na zawsze uporządkowuje w szeregi nasze wyobrażenia.

Cośmy wyżéj określili jako czynność myślenia, odpowiada najzupełniéj procesowi, któremu Fechner nadał nazwę ruchu psychofizycznego. Ruch ten porównał on z falą pobudzenia, możemy ją sobie wyobrazić, jako przebiegającą między wyobrażeniem początkowém a końcowém, i przedstawić poglądowo w postaci linii, nakreślonéj w układzie współrzędnych, z których jedna wyraża zakres, druga — stopień świadomości. W miarę wzrastania téjże, linia stopniowo się wznosi nad poziomem, przyjmując kształt krzywéj; w jedném atoli miejscu posiada ona wierzchołek dość stromy, odpowiadający największemu natężeniu pobudzenia, najwyższemu stopniowi świadomości w danéj chwili. Ustrój mózgu zdaje się zezwalać w każdym momencie oznaczonym na jeden taki wierzchołek, na jedno najwyższe natężenie świadomości, co nazwano jednością czyli ograniczonością świadomości. Dwóch rzeczy jednocześnie nie jesteśmy w stanie ani pomyśléć, ani spostrzedz, ani zrobić. Astronom, określający przy pomocy uderzeń wahadła czas przejścia gwiazdy przez oznaczony punkt teleskopu, musi albo pierwéj ujrzéć gwiazdę, a potém słyszéć uderzenie wahadła, albo też pierwéj słyszéć uderzenie wahadła, a następnie widziéć gwiazdę; między obu zaś momentami upływa zawsze przeciąg czasu dostrzegalny—różny u rozmaitych badaczy i jednakowy zawsze u każdego, — który pod nazwą równania osobistego, czyli astronomicznego, wciela się do rachunku przy zestawianiu wyników rozmaitych obserwatorów. W przytoczonym przykładzie powinniśmy sobie wystawić wierzchołek fali pobudzenia, jako wędrujący między ośrodkiem percepcyi wzrokowéj i słuchowéj. Jedność świadomości naprowadza na domysł, że wielkość fali pozostaje ta sama, czyli że mózg

rozporządza stałą, nie zaś dowolną ilością żywéj energii, przeznaczonéj dla ruchu psychofizycznego, — twierdzenie, dla którego ilustracyi Fechner użył następującego przykładu. Młynarz, przywykły sypiać w klekocącym młynie, budzi się, jak wiadomo, gdy tylko młyn stanie otóż przyjąć należy, że wrażenie słuchowe klekotania podtrzymywało w ośrodku słuchowym śpiącego ruch psychologiczny, którego nagłe zniknięcie w jedném miejscu spowodowało tak znaczny przyrost tegoż ruchu w innéj okolicy mózgu, że osiągnięty został stopień świadomości, możliwy tylko na jawie. Podobnych przykładów istnieje mnóstwo, a dowodzą wszystkie, że fale pobudzenia na jawie i we śnie różnią się jedynie co do formy: ostatnia nie posiada mianowicie tak wyrazistego wiérzchołka, jak pierwsza.

Rozmaite istnieją nazwy na oznaczenie rzeczonego wiérzchołka; mówimy o uwadze w wypadkach postrzegania lub myślenia; o woli, gdy chodzi o postępki, lub poprzedzający je proces asocyacyjny. Gdy oglądamy jakie dzieło sztuki, wtedy uwaga nasza zatrzymuje się przez dłuższy czas na wrażeniu wzrokowém, a pod jéj wpływem powołane zostają do świadomości wszystkie pokolei wyobrażenia skojarzone, co jest właśnie celem oglądania. A zatém uwaga, zwrócona na pewien przedmiot, przedstawia właściwie proces myślenia, w którym bez naszego udziału wznosi się nad poziom świadomości mnóstwo poprzednio już istniejących skojarzeń i tylko częste spostrzeganie tego faktu w nas samych sprawia, że przypisujemy sobie zdolność dowolnego kierowania naszą uwagą, — złudzenie podobne do samowiedzy. Z im większą uwagą przyglądamy się dziełu, tém bardziéj maleje świadomość świata zewnętrznego, ciała i reszty osobowości. Pogrążeni w obserwacyi, zapominamy, gdzie i kim jesteśmy; tylko świadomość ciała własnego nie zupełnie jeszcze znikła, o czém świadczy mimowolna zmiana pozycyi, zbaczanie z drogi, wykonywanie ruchów obronnych, stosownie do sytuacyi. Ale ta sama uwaga, dopiéro co skupiona na przedmiocie zewnętrznym, niezwłocznie się od niego odwraca i zatrzymuje na własném ciele, jeśli nagle doznajemy bólu lub wogóle nieprzyjemnego wrażenia. Nasza niemoc zatrzymywania uwagi na zmysłach występuje wówczas najoczywiściéj. Dzieło, które dało powód do postrzeżenia zmysłowego istnieje i nadal, również procesy asocyacyjne złożone są w śpichrzu duchowym, gotowe, jak przed chwilą do użytku, tylko że straciły swą pobudliwość, gdyż wiérzchołek fali pobudzenia, wyobrażający uwagę, całkowicie już należy do świadomości własnego ciała, a w szczególności do pewnéj jéj części. Wbrew przekonaniu zwolenników Stoy, gwałtowny ból czyni niezdolnym do myślenia; można wprawdzie znosić ból, ale nie podo-

bna więcéj kierować uwagi na jakiś przedmiot. Oprócz natężenia bodźca, oddziaływającego na pewien organ ciała, czasami chwilowa a błaha niedyspozycya nabiéra szczególnéj wagi, dzięki asocyacyom, do których daje powód: dlatego najmniejsza ochrypłość zajmuje żywo śpiéwaka, lub najbłahsze uszkodzenie nogi — turystę. Pozostają jeszcze do rozpatrzenia wzruszenia czyli afekty, zjawiska w wysokim stopniu i najczęściéj hamująco wpływające na czynność myślenia. Określić wzruszenia również niepodobna, jak i bólu, obadwa są faktami doświadczenia wewnętrznego. Wiemy tylko, że ból ma swe przeciwieństwo w uczuciu rozkoszy; że powstaje wogóle w następstwie pobudzeń zbyt silnych dla pożytecznéj czynności nerwów, t. j. dla przewodnictwa bodźców zmysłowych i dlatego szkodliwych dla nerwów; że zjawia się wreszcie wtedy, gdy, skutkiem zniesienia przewodnictwa odosobnionego, podrażnienie przechodzi na szarą masę rdzenia paciérzowego, jest zatém skutkiem obrażenia téj masy szaréj. To wszystko, lubo nie określa bólu, zdaje się wszakże wskazywać, że jest on sprawą celową, użyteczną, właściwością nietylko kręgowców, lecz oraz najniżéj rozwiniętych organizacyi, rodzajem sygnału alarmującego, uprzedzającego zwierzęta o wszelkich czynnikach szkodliwych dla układu czynnika nerwowego. Przeciwnie, proste uczucia przyjemności, jak np. łechtanie, uważać trzeba za pożyteczne dla osobnika. Owóż czém uczucia bólu i przyjemności w stosunku do mlécza, tém są wzruszenia odnośnie do mózgu czyli organu świadomości, z tą różnicą, że w ostatnim wypadku szara masa nie jest jedyném podścieliskiem zjawiska. Co dla jaźni naszéj jest pożyteczne, wywołuje wzruszenie przyjemne, co szkodliwe, łączy się z wzruszeniem przykrém. I tu więc mamy do czynienia z urządzeniem ochronném, nabytém prawdopodobnie przez mózg w ciągu rozwoju. Wszelkim zawilszym procesom asocyacyjnym towarzyszy zazwyczaj umiarkowany stopień wzruszenia, rodzaj przyjemnego samopoczucia. Jednakowy, lekko podniecony nastrój umysłu, cechujący zdrowego człowieka, lub jakiekolwiek wzruszenia, byle w granicach umiarkowania, nie wpływają ujemnie na bieg myśli, mówimy wtedy o równowadze umysłu. Ale we wszelkich afektach gwałtownych, czy to w gniéwie niepohamowanym, czy téż w radości lub smutku niewymownym, wnet nas równowaga opuszcza, myśli nie biegną więcéj właściwym trybem, lecz kręcą się wokoło jakiegoś dominującego szeregu wyobrażeń, które w przeciwnym razie pewnieby znalazły przeciwwagę w innych wyobrażeniach; może dojść nawet do zupełnego hamowania czynności myślenia: sprzeczne wyobrażenia to wynurzają się na wiérzch, to znowu znikają, nie mogąc utworzyć ciągłego szeregu myśli — jestto stan nierównowagi umysłowéj.

Jakkolwiek doniosłym wydać się może wpływ wzruszeń na czynność myślenia, nie ulega wątpliwości, że dzieje się i odwrotnie, mianowicie: treść wyobrażeń wpływa na wzruszenia towarzyszące procesowi myślenia. Pewien kierunek myśli, dla danego osobnika pożyteczny, często się powtarza, jeśli treść ich wywołuje uczucie wielkiéj przyjemności; tak samo inne grupy wyobrażeń stale wywołują intensywne uczucie przykrości. Po za tém, pobudliwość pewnych grup wyobrażeń, łatwość, z jaką się reprodukują, zależy od częstszego lub rzadszego ich stosowania, co się zwłaszcza wówczas uwydatnia, gdy szereg myśli staje się pobudką do czynu. Stopień pobudliwości wyobrażenia stanowi o jego randze, stanowisku naszéj świadomości; wyobrażenia tworzą pod tym względem stosunki, stałe u jednego osobnika i tylko w pewnych granicach odmienne u rozmaitych osobników. Wernicke nazywa ten fakt normalną wartością wyobrażeń. Ona dopiéro nadaje treści naszéj jaźni właściwą zasobność i koloryt indywidualny. Różnice, zachodzące pomiędzy charakterami, powstają przeważnie wskutek rozmaitéj wartości takich wyobrażeń, które w danych warunkach rządzą postępowaniem osobników. Możemy je nazwać nadwartemi, ponieważ już w zwykłych warunkach nie znoszą korekty ze strony przeciwnych wyobrażeń i stają się bezwzględnemi poprzednikami czynów. Tu należą pojęcia honoru, wstydliwości i t. p. motywy, kierujące postępkami ludzi ucywilizowanych. Zadaniem świadomości jest wydobywanie na jaw wartości normalnéj wyobrażeń.



IRONIA ŻYCIA

w ostatniéj powieści H. Sienkiewicza.

H. Sienkiewicz. „Rodzina Połanieckich", powieść, 3 tomy, str. 322, 378, 499. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1895).

Pomiędzy ogłoszeniem powieści „Bez dogmatu" a „Rodziną Połanieckich" upłynęło lat pięć. Ten przeciąg czasu wypełnił Sienkiewicz dwoma tomami „Listów z Afryki" i kilkoma nowelkami lub zarysami, które weszły do 20-go tomu wydania zbiorowego „Pism". Prace te wszakże sam autor uważa widocznie za rodzaj odpoczynku artystycznego po utworzeniu większego dzieła, gdy na wzór Balzaca wprowadza w „Rodzinie Połanieckich" niektóre osoby z poprzedniéj swojéj powieści, jakby chciał tę drugą ściśle złączyć z poprzednią.

Istotnie chwila, w któréj wypadki obu utworów się odbywają, jest prawie taż sama; wieść o śmierci Płoszowskiego w Rzymie dochodzi do Połanieckich i ich znajomych w ciągu akcyi powieściowéj; wielu z pomiędzy uczestników téj akcyi znało zrozpaczonego kochanka jak nie mniéj panią Kromicką, ciotkę Płoszowską, starego Zawiłowskiego i jego córkę. Pomimo to wszakże towarzystwo jest inne, jak innym jest bohatér.

Najprzód różnicę stanowi grunt duszy i charakteru. Chociaż Płoszowski twierdził, że takich jak on jest legion, to przecież przyznać mu słuszności, co do naszego przynajmniéj społe-

zeństwa, niepodobna. Przeciwnie, takich jak Stanisław Połaniecki rzeczywiście jest legion.

Jestto człowiek, który chociaż się wykształcił w czasach wzmożonéj analizy siebie samego, chociaż, bawiąc w Belgii na studyach, rozprawiał z kolegami o wszystkich subtelnościach uczuć i poglądów, chociaż się zatapiał w utworach symbolistów i dekadentów, nie stracił przecież przyrodzonéj zdolności i pochopności do działania i umiał nawet, pod wpływem prądu praktycznego, zwrócić swe siły do pracy w zakresie handlowym, marząc o założeniu kiedyś fabryki perkalików. Odczuwa on niejednokrotnie, że ta sfera działalności jest dla niego zaciasna, wié, że po za robieniem pieniędzy i uczynieniem życia swego o ile można wygodném i szczęśliwém, istnieje kraina pragnień podnioślejszych, bardziéj i lepiéj wypełniających duszę człowieka, wzdycha do téj krainy, ale ma za dużo trzeźwości, ażeby miał rzucać to, co pewne i dotykalne, dla tego, co mglisto mu staje w wyobraźni. Przeanalizować szczęścia swego nie chciał, a możeby nawet nie potrafił.

Rozumiał on sam odstęp dzielący go od takich natur, jak Płoszowski, ale ponieważ napełniała go miłość własna, więc porównywając z nim siebie, przejmował się dumą, jak zapewnia powieściopisarz. Chwilami wprawdzie, „gdy sobie przypominał postać Płoszowskiego, jego szlachetny i delikatny, a zarazem silnie zarysowany profil, jego wykształcenie, subtelność i giętkość umysłową, jego niesłychany dar jednania sobie ludzi, a zwłaszcza kobiét, przychodziło mu na myśl, że jednak on, Połaniecki, jest typem mniéj wytwornym, mniéj uszlachetnionym i wogóle człowiekiem, wyciosanym z grubszego materyału". Wszelako nie dawał się takiém spostrzeżeniem doprowadzić do uznania swojéj niższości, powiadał bowiem sobie, że „wobec warunków życia i odporności, jakiéj ono wymaga, jest rzeczą wprost zgubną być zbytnim filigranem tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym". Uznając tedy w sobie większą zdolność życiową, wynosił się w myśli nad Płoszowskiego, zestawiając kategorycznie, coby on mógł zrobić, a czegoby Płoszowski nie zdołał: „Ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z biblotami. Ja potrafię chléb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego kręcić gałki. Ja umiem i dobrze umiem farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiéce. A jaka ogromna między nami różnica w stosunku do kobiéty! Ten człowiek przeanalizował swoje życie i życie kobiéty, zgubił ją i siebie, nie mogąc wyjść z wątpliwości, czy ją dość kocha; ja mam też wątpliwości, czy ma

miłość jest zupełną, a jednak swoję kobiécinę biorę i niedołęgą byłbym, nie mężczyzną, gdybym się miał naprzód bać przyszłości i gdybym nie potrafił wycisnąć z niéj w prosty sposób tyle dobra i szczęścia, ile się da wycisnąć" (II, 132, 133).

Czy ta opinia o sobie samym jest usprawiedliwiona? Przeważnie tak. Połaniecki nie pozuje na bohatéra, lecz się przedstawia jako człowiek troszeczkę wyższy nad przeciętny tłum inteligentny z pewném wykształceniem. Umié farbować perkaliki, jak powiada, a chociaż w powieści nie farbuje ich wcale, to przecież na chléb zarabia istotnie. Jest technikiem i pomysłowym przedsiębiorcą. Wprawdzie Sienkiewicz nie rozwija przed czytelnikiem szczegółów jego życia, jako jednego z przedstawicieli domu komisowego, nie maluje nam jego stosunku do podwładnych (stosunek bowiem z poetą Zawiłowskim jest wyjątkowy), ale przypuszczać wolno, iż postępowanie Połanieckiego w biurze było uczciwe i rozumne, a o sprycie jego handlowym, świadczy wyzyskanie wiadomości o zamierzoném nałożeniu cła na zboże z kraju wywożone, przez co majątek swój zdwoił.

Maluje to nam Połanieckiego jako „aferzystę", ale go nam wcale nie określa jako obywatela. Nie widzimy, żeby się zajmował jakąkolwiek instytucyą użyteczności publicznéj; nawet w rozumowaniach jego nie znajdujemy wzmianki, iżby go ta strona życia cokolwiek obchodziła. Robi majątek, udziela się towarzystwu, kocha się i żeni, popełnia po cichu zdradę małżeńską, ale winę tę maże skruchą. W stosunku z przyjaciołmi i znajomymi jest, pomimo rachunkowości swojéj, uczynnym i troskliwym. Jedném słowem, występuje jako człowiek zamknięty wyłącznie w kole interesów czysto prywatnych. Chociaż narzeka, że zajęcia domu komisowego nie mogą mu wypełnić duszy; chociaż wzdycha za innemi sferami, na myśl mu nawet nie przychodzi, że możeby w zakresie dopomagania do rozwoju oświaty, w niesieniu pomocy bliźnim znalazł bodaj jaką taką sposobność do zużytkowania swoich uzdolnień i swojego mienia; nie, za ów szerszy horyzont uważa jedynie życie rodzinne. Nie myślę zaprzeczać ważności tego czynnika, owszem, uznaję go w całéj pełni, tylko nie rozumiem, dlaczego tak wykształcony człowiek, jak Połaniecki, w tym tylko szczupłym zakresie działalność swoją zamknąć postanowił. Nie wynikało to z jakiéjś teoryi; było więc chyba wynikiem braku zmysłu społecznego.

To są rysy ogólne, utożsamiające Połanieckiego z wielką rzeszą groszorobów, ojców rodzin, ludzi na drgnienia społeczne nieczułych. Właściwością bardziéj indywidualną jest w nim popędli-

wość, dobroć serca i dość trzeźwe ocenianie siebie samego, objawiające się mianowicie w zdolności potępienia swych czynów, nie licujących z etyką.

Popędliwość, łącząca się z żywością ruchów i słowa, czyniła go miłym w towarzystwie, ale zarazem wpłynęła w znacznéj mierze na fałszywy krok w stosunku do Maryni Pławickiéj. Mając wierzytelność na majątku jéj ojca, pojechał sam do Krzemienia i postanowił sobie być twardym. Poznawszy Marynię, pełną uroku dziewiczego, a przytém do pracy wdrożoną, uczuł silniejsze bicie serca i obudził w pannie żywe zajęcie. Ale gdy p. Pławicki zamiast mówić trzeźwo o długu, zaczął Połanieckiego zasypywać namaszczonemi frazesami—stary samolub i frant!—tak często w naszém społeczeństwie, niestety, spotykany — gniéw w wierzycielu zawrzał i wybuchnął gorzkiemi prawdami nietylko względem udającego patryarchę ojca, ale i względem niewinnéj zupełnie córki. Wmawiał w siebie z początku Połaniecki, że o Marynię zgoła nie dba, ale rychło okazało się to nieprawdą, pokochał on ją silnie, o ile natury wybitnie samolubne pokochać mogą, t. j. bolało go bardzo upokorzenie miłości własnéj, gdy panna Pławicka, po sprzedaniu Krzemienia, zaczęła mu okazywać obojętność, lekceważenie, wstręt, a dla dokuczenia mu kokietowała, nader niewinnie zresztą, brzydkiego Maszkę, komedyanta życia, udającego i pochodzenie ze znakomitéj rodziny i wielce rozgałęzione stosunki i niezwykłą zamożność—postać, doskonale pod względem artystycznym wykonaną.

Wprawdzie, mimo to wszystko Marynia kochała Połanieckiego, ale potrzeba było aż przedśmiertnéj interwencyi Litki, ażeby ją do zmiany postępowania z nim nakłonić. I tu dobroć serca Połanieckiego oddała mu wielką usługę. Litka była pięknem 12-letniém dzieckiem, chorém na serce, któremu każde wzruszenie szkodliwém było wielce. Pokochała ona napół świadomą miłością poczciwego Stacha, który z nią się lubił bawić, który jéj we wszystkiém dogadzał i chętnie z nią rozmawiał. Nie wyznała mu ona téj swojéj dziecinnéj, ale głębokiéj i prawdziwie tragicznéj miłości; on się jéj nie domyślał, wiedział tylko, że go Litka nad wszystkich przekłada, że jemu jednemu bezwzględnie bywa posłuszną. Matka jéj, Emilia, kobiéta wyjątkowo idealnie dobra i podniosła, była powiernicą trosk miłosnych Połanieckiego; więc nie trudno było się dziewczynce dowiedzieć, kto zajął całe serce jéj Stacha. Ataki jéj choroby ponawiały się teraz częściéj, po każdém przeświadczeniu się, że Stach ją tylko lubi a inną kocha, ale Litka było to serduszko poświęcające się, ofiarne, które pragnęło dobra i szczęścia jedynie dla-

tego, kogo pokochało. Więc gdy się zbliżały ostatnie jéj chwile, a Marynia ze Stachem przy niéj czuwali, ona upewniwszy się, że umierającemu nie odmawia się niczego, wymogła na Maryni przyrzeczenie, że zostanie żoną Stacha. I odeszła ta dusza piękna i czysta, w cierpieniu swojém wielka i tragiczna, właśnie dlatego, że nieświadoma w pełni ogromu swego poświęcenia.

Cały ten epizod z Litką jest tak cudną częścią utworu, że nie ma obrazu równego w całéj twórczości Sienkiewicza; bledną wobec niéj i Janko muzykant i ofiara szkoły poznańskiéj. Jestto kreacya wielkiego, kochającego serca, ogromnéj intuicyi poetyckiéj i nadzwyczajnego talentu w malowaniu postaci, a mianowicie scen rzewnych. Jeżeli plastyka jest wogóle najsilniejszą stroną artyzmu Sienkiewicza, to w niéj oddział rzewności zajmuje miejsce pierwszorzędne. Bardzo mało jest w literaturze powszechnéj takich postaci, jak Litka i tak wzruszająco a pięknie i psychologicznie żywo kreślonych scen, jak te, które z jéj losami się łączą.

W atmosferze wytworzonéj przez tak szlachetną postać szlachetnieją wszyscy, a głównie Połaniecki; w żadnym innym ustępie powieści nie przedstawia się tak pociągająco, jak w tym właśnie. Zarówno troskliwość jego o zdrowie dziecka, jak święcenie jego pamięci podnosi go w naszych oczach; czyni sympatycznym — lubo na chwilę tylko. Bo już oddalenie się jego uczuciowe od Maryni nie wypływa wyłącznie z czci pozgonnéj, jaką pamięć Litki otoczył, lecz także i stąd, że Marynia szanując obietnicę daną umierającéj, zaczęła się uważać za narzeczoną pana Stacha, a więc że przyzwyciężenie jéj poprzedniéj niechęci nie było dziełem zasług osobistych Połanieckiego, lecz wypłynęło z za grobu dziecięcia. I tu znowuż samolubne usposobienie człowieka umiejącego farbować perkaliki bierze górę i nad dobrocią i nad uczuciem. Dopóki musiał walczyć, łamać przeszkody, wdzierać się wszelkiemi sposobami do zamkiętego serca, okazywał mu wiele czułości i delikatności; gdy już był pewny uczuć wzajemnych, ochłódł, zobojętniał, a nawet były takie chwile, że daru Litki nie rad był przyjmować. Jestto rys psychologiczny prawdziwy, lecz ileż w nim ironii życia. Ostatecznie zdecydował się Połaniecki na małżeństwo z Marynią wskutek pociągu fizycznego głównie. Dopóki trwało upojenie, dopóty i czułość. Potém nastąpiło samolubne zadowolenie z posiadania pięknéj i dobréj kobiéty, którą wszyscy chwalili z zachwytem.

I musiała Marynia przejść bolesne koleje zaniedbania i zobojętnienia, zwłaszcza, kiedy już nie jako żona, lecz jako matka przyszłego dziecka Połanieckiemu się ukazała. Musiała czerpać pocie-

chę w rozmowach z poczciwą Bigielową, żoną wspólnika Połanieckiego, z Emilią, która po śmierci dziecka została siostrą miłosierdzia; musiała siebie samą oskarżyć, że nie dość i niedobrze kocha męża, jeżeli w jéj sercu zostaje miejsce na jakiś żal do niego. I dla téj zrezygnowanéj kobiéty, która, będąc w poważnym stanie, słabnie i brzydnie, uczuwamy głębokie spółczucie, gdy, przeciwnie, jéj chełpliwy, zadowolony z siebie małżonek budzi w nas gniéw i niezadowolenie. Autor oszczędził Maryni świadomości o największém wykroczeniu, jakiego mąż względem niéj się dopuścił — o wiarołomstwie.

Połaniecki nie gustował wcale w pannie Krasławskiéj, dopóki panną była; miał do niéj żal głęboki za zmarnowanie życia jednego z przyjaciół swoich; dopiéro, gdy ta panna stała się panią Maszkową i gdy z powodu stanu żony musiał być wstrzemięźliwym, poczuł nagle pociąg do kobiéty apatycznéj i biernéj. Z zuchwalstwem i porywczością rzucił jéj słowo: „Kocham!“, wysyłając męża po laskę dla siebie. Następnie całą noc nie spał, robiąc sobie wyrzuty, przeważnie spowodowane niepewnością, czy Maszkowa się obraziła i czy nie opowié całéj przygody mężowi. Nazajutrz upewniwszy się, że dziwna istotka wcale się obrażoną nie czuła i zaprosiła Połanieckich do siebie, postanowił wyjechać do miasta. Przebywając niewielką przestrzeń, dzielącą willę jego od willi Maszków, stoczył w sobie walkę myślową, wstąpić czy nie wstąpić i ostatecznie, ażeby okazać, iż dosyć jest silnym, by pokusie stawić opór, wstępuje i—ulega. Jeden to z najznakomitszych w dziele wstępów pod względem psychologicznym. I znowuż jaka gorzka ironia życia! Subtelne cieniowanie procesu wewnętrznego, w którym religia, zasady moralne, miłość dla żony, budząca się już dla Maszkowéj pogarda, cały, słowem, arsenał myślowy został powołany do obrony, — by zrobił fiasko, podnosi tę ironię do znaczenia katastrofy. Była téż to chwila przełomowa w duszy Połanieckiego. Tu zdolność potępienia siebie wystąpiła na jaw w całéj pełni. Stracił p. Stanisław swój dawny rezon wobec żony, stał się nieśmiałym i pokornym, chociaż i wtedy pierwiastku samolubnego nie brakowało; bał się biédak, żeby przy jakiéj sposobności Maszkowa, z którą po owéj wizycie był na stopie ceremonialnéj, nie zemściła się za wzgardę sobie okazaną i nie dała poznać jego żonie kruchości charakteru mężowskiego. Bądź co bądź, ponieważ z egoizmu całkiem wyzuć się nam niepodobna, jak z własnéj skóry, musimy tę skruchę Połanieckiego uznać za dobrą jego stronę, a cierpienia, jakie przechodził podczas niebezpiecznéj choroby żony, za karę częściowo przynajmniéj gładzącą grzé-

chy chełpliwego „człowieka zasad“, nawróconego przez żonę do prawd religii objawionéj. Urodzenie syna, powrót Maryni do piękności sprowadza taką harmonię i taką miłość między małżeństwem, jakiéj nie zaznali przedtém ani razu.

Marynia żyć będzie w przeświadczeniu, że jéj Stach jest najrozumniejszym, najzacniejszym, najprzywiązańszym mężem na świecie. Miłe, pocieszające złudzenie! Ale czy tylko złudzenie? Autor długo nas utrzymywał w niepewności; znał on przecie swego Połanieckiego, wiedział, że to kawał urwisa, pomimo wszystkie jego zasady; więc téż nie chciał ręczyć, iż nie będzie recydywy—wszak nie jedna Maszkowa na świecie! — ale w końcu żal mu się zrobiło i bohatéra i czytelników. Po co finał mącić zgrzytem ironii; było jéj tyle w ciągu dzieła, czyż nie lepiéj dać ładny obrazek zgodnego małżeńskiego pożycia, w którém zapewne kropel piołunu nie zbraknie, ale zawsze miodu będzie więcéj. Cóż to szkodzi, że zakończenie takie przypomni stare romanse, alboż wszystko, co stare, to złe?... Marynia taka ładna i taka dobra, anielsko dobra kobiéta, ona nie może umrzéć jak Anielka, przy pierwszém dziecku; ona się urodziła na to, ażeby być matką licznego potomstwa, zdrowego, silnego, bez rozszarpanych nerwów, mającego dzielnie bojować w walce o byt. Niedarmo przecież autor przez większą część powieści przedstawił ją w stanie odmiennym. Nie jest to wprawdzie rys bardzo pociągający, ale bardzo naturalny. Ona wówczas sympatyczniejszą się czytelnikowi wydaje, niż kiedykolwiek; ona cierpieniami swemi zasłużyła sobie na to, ażeby ją uczcić i uszanować. A w ogólności pod względem moralnym nieporównanie wyższa jest od Anielki, istoty biernéj, marzącéj w objęciach męża o kochanku. Maryni myśl taka możeby nawet w głowie postać nie mogła. Marynia przyniosła na świat prawą naturę, a od młodych lat zetknęła się z pracą i z warunkami, w których musiała zapominać o sobie, by myśléć o drugich. Prócz tego, było nad nią, „równe jakby nieustającemu zagrobowemu błogosławieństwu, wspomnienie matki, któréj spokój, prostotę i prawość, a zarazem życie pełne smutków, wspominano dotąd z największą czcią w całéj okolicy Krzemienia“ (II, 133). Wielkiego wykształcenia nie posiadała, zachowanie się jéj podczas epoki gniéwu na Połanieckiego jest nacechowane „przeciętnością“ téj sfery umysłowéj, do któréj należała; bierność stanowi także i jéj cechę, ani inicyatywy, ani polotu myśli w niéj nie ma i dlatego uznajemy za słuszną opryskliwą uwagę Połanieckiego, że pomiędzy jego żoną a Litką nie ma zgoła podobieństwa, z tém atoli zastrzeżeniem, że mówimy to z duchowego, a nie fizyologicznego stanowi-

ska, ale jest w niéj serce szczere, jest charakter stały, jest miłość samolubna, osobę kochaną wyżéj stawiająca od siebie, jest prawdziwy wdzięk niewieści, jest wstręt do udawania, jest szlachetność myśli, jest zrozumienie wszystkiego, co piękne, dobre i podniosłe. Zapewne i w niéj dostrzegamy ten sam brak, jaki wytknęliśmy w Połanieckim, brak zajęcia się myślami i zamiarami, mającemi zakres szerszy niż rodzinę. Raz tylko, jako pannę, siedzącą z ojcem bezczynnie w Warszawie po sprzedaniu Krzemienia, widzimy ją zajętą jakąś robótką na cel dobroczynny; ale późniéj już nawet takiego objawu nie spotykamy. Łatwiéj to jednak wytłómaczyć i darować u niéj, aniżeli u jéj męża; zaledwie bowiem wróciła z podróży poślubnéj do Włoch, już odczuwać musiała ciężar nowego życia.

Czy Marynia pozostanie i nadal przez całe życie taką dobrą, taką zacną, taką serdeczną, taką prawą, jak ją widzimy w pierwszym roku małżeństwa? Któż to może odgadnąć? W powieściach i w poezyach naszych mamy mnóstwo ładnych postaci dziewcząt i młodziutkich mężatek, lecz kobiéty w średnim wieku, któraby nie ujawniała wad w jakimkolwiek kierunku — rozwinięcia umysłu, serca, charakteru — artystycznie przedstawionéj prawie nie spotykamy. Nie stanowi wyjątku i „Rodzina Połanieckich“. Bigielowa jest zacną żoną, dobrą matką, serdeczną przyjaciółką — o tém wiemy od autora, ale jakże mało ją widzimy! Zazwyczaj strona zewnętrzna tylko jéj życia bywa ukazywana; mówi bardzo niewiele i z wyjątkiem paru miejsc — rzeczy bardzo powszednie. W określeniach nader piękną, podniosłą, mistyczną postacią jest wdowa Emilia, odrzucająca wszelkie partye, a oddana całkowicie wychowaniu córki. Ale wobec czytelników jakże blado ona występuje! Dobre, życzliwe serce, dość pospolita frazeologia, żywe zajęcie się losem Połanieckiego, obawy o Litkę bez uwydatnionéj znamiennéj cechy — oto wszystkie rysy, jakie w akcyi spostrzegamy. Omdlenie po śmierci córki, połowiczna przytomność podczas pogrzebu — tak są w sposób zwykły opisane, że téj nadzwyczajnéj duszy, któréj się czytelnik po określeniach spodziéwał, nie widzi ani śladu. Wstąpienie do zakonu, choroba krzyża usuwa ją rychło z widowni powieściowéj, na którą powraca czasami, by wypowiedziéć kilka nauk moralnych nie nacechowanych żadnym jakimś indywidualnym odcieniem, ale poczerpniętych z zasad religijnych. Jedném słowem, w powszednich tylko scenach sprawia Emilia wrażenie istoty żywéj, ale w tém, co miało być jéj odrębném, a podniosłém znamieniem, jest zupełnie chybioną.

A przeciwnie, ileż prawdy, ileż życia w figurach kobiécych ujemnych!

Znamy już Maszkową, z usposobieniem jakby senném, bierném, łatwo dającém się sprowadzić z drogi obowiązku. Wygoda i zachowanie pozorów to rzeczy dla niéj najważniejsze, zastępujące uczciwość i cnotę. Była przyczyną zmarnowania życia jednego ze zdolniejszych lekarzy, który znał wprawdzie całą jéj nicość duchową, ale nie mógł od niéj duszy „odedrzéć“. Doczekała się w panieństwie lat starszych i gdy Maszko oświadczył się o jéj rękę, nie kochając go wcale, wyszła zań, ażeby swobodniéj, jako mężatka, módz użyć życia—Połanieckiemu oddaje się więcéj z próżności (jeśli dobrze ją zrozumiałem), aniżeli dla zaspokojenia żądzy; miło jest bowiem pomyśléć, że człowiek, który ma tak piękną żonę, jak Marynia, właśnie względem niéj zapłonął.

Ale nie Maszkowa przedstawia w powieści lichotę natury kobiécéj w sposób najjaskrawszy. Poznajemy tu niejaką panią Osnowską, ubóstwianą przez męża Anetę, która umié się nastrajać do wszelkich usposobień, potrafi przywdziéwać kostiumy duchowe, jakie w danéj chwili są jéj najlepiéj do twarzy i jakie najłatwiéj ściągnąć na nią mogą oczy mężczyzn. Jest zapaloną miłośniczką sztuki, entuzyazmuje się widokami przyrody, odczuwa subtelności umysłów niezwykłych, pragnie się wydać poetyczną i anielską, a gdy Połaniecki przyrównał ją do ptaka rajskiego, który, wedle podania, nóg nie ma i dlatego musi wciąż unosić się w powietrzu, przejmuje się rolą tego ptaka i naśladując rączkami trzepotanie skrzydeł, gotowa niby ulecieć w sfery napowietrzne. Malarz Świrski, który ją znał dobrze, określił ją następnemi słowy: „To zimne serce, a ognista głowa... niebezpieczny rodzaj! o, niebezpieczny! Całemi tuzinami zjada książki —naturalnie francuskie... Uczy się z nich psychologii, dowiaduje o temperamentach kobiécych, o kobiécéj zagadkowości, szuka w sobie zagadek, których wcale w niéj niema, odnajduje aspiracye, o których wczoraj nie wiedziała, deprawuje się umysłowo i tę deprawacyę uważa za rozum“. Męża lekceważyła i robiła z nim, co się jéj podobało, chociaż był to człowiek dobry, — wcale nie głupi i kochał ją, „jak swoję żonę, jak swoje dziecko i jak swoje szczęście“. Osnowska, to jedna z tych natur, które dość jest pokochać, ażeby one kochać przestały. Jak rybak nie troszczy się o ryby, będące już w sieci, tak i ona nie troszczyła się o tych, których miłości była pewna. Za to jakże zabiegała o miłość mężczyzn, których pragnęła w sieć złowić! Chciała ona najprzód zbałamucić Połanieckiego, ale ten w pierwszym miesiącu

po ślubie z Marynią nie dał się, lubo przez próżność nakłaniał się zrazu do jéj kaprysu. Wybrała sobie następnie Koposia—doskanale piękną lalkę fryzyerską z mózgiem cielęcym.

Ten Koposio to kamień probierczy cnoty niewieściéj wśród towarzystwa próżniaczek. Z powodu braku inteligencyi nie rozumiał częstokroć pytania, jeżeli się ono nie odnosiło do zwykłych codziennych stosunków, żartowano więc z niego i kpiono, ile się zmieściło; kobiéty w téj mierze nie stanowiły wyjątku; a jednak lgnęły one do niego, pragnęłyby go dla siebie posiadać i módz całować. Była to zapewne tylko „sezonowa" zabawka, ale, jako probierz aspiracyi kobiécych dowodziła, że dla pewnych indywiduów niewieścich zmysłowość nie mniejszy posiada powab, jak i dla mężczyzn.

Otóż Koposio staje się bezpośrednią przyczyną nietylko zabawnych komedyi życia, ale także i przerażającéj tragedyi. Zaczęła w nim bowiem gustować „topólka", „kolumienka", „nawskroś artystka" panna Castelli, zajmująca się po dyletancku malowaniem i wypowiadaniem poetycznych porównań i przenośni. Może w gruncie nie była to dziewczyna zła, lecz ją wychowanie, na ciągłém udawaniu i afektacyi oparte, wykrzywiło. Jako zwykła, przeciętna panna, byłaby zapewne niegorszą od tysiąca innych panien na wydaniu, ale przewrotna, ciągłemi kłamstwami zajęta ciotka jéj Broniczowa wmawiała jéj ustawicznie wyższe aspiracye poetyczne, wzloty w górę, a lekceważenie wszystkiego, co ziemskie i pospolite. Dziewczyna dostrajała się do tych wymagań, ale na dłuższą metę męczyło ją to okropnie i szukała odetchnienia w pustych, beztreściowych rozmowach z Koposiem, w malowaniu jego głowy ze wszech stron, w przybiéraniu go w różne kostiumy, w zabawie w lawn-tennis i t. p.

Osnowska chciała odwrócić Castelkę od Koposia, którego dla siebie wyłącznie zatrzymać pragnęła; więc też gdy się pojawił poeta Zawiłowski, trochę dziki, trochę nieśmiały i niezgrabny, ubrany bez znajomości sztuki, ale bardzo utalentowany i już zdobywający sławę, potrafiła ciocię Broniczową i Castelkę skłonić, by na seryo wzięły starania młodzieńca, pełnego zapału, biédnego, pracującego w biurze Połanieckiego, lecz mającego przyszłość sławną przed sobą. Że w téj kombinacyi odgrywała ważną rolę nadzieja zapisu ze strony starego milionera Zawiłowskiego, to nie może ulegać wątpliwości; ciocia Broniczowa bowiem znagliła poetę, by odwiedził starego krewniaka, a potém, gdy poeta, oburzony nazwaniem Castelki „półdyablęciem weneckiém" przez starego, rozstał się z nim jaknajgorzéj, postarała się znowu o przywrócenie dobrych między nimi stosunków.

Bądź co bądź poeta zakochał się w „topolce". Miłość jego nie była ślepą, ale „cierpiała na daltonizm". Całe otoczenie panny oceniał on trzeźwo, rozumiał doskonale płytkość duszy Osnowskiéj, poznawał się na niezgrabnych kłamstwach, na sztuczności i przewrotności ciotki Broniczowéj, ale w Castelce bardzo nawet wyraźne ślady pospolitości nietylko go nie raziły, lecz napełniały go owszem błogiem uczuciem, gdyż poetyczna jego dusza opromieniała ukochaną wszystkiemi urokami własnéj fantazyi. Castelka starała się być poetyczną, dopóki nie została narzeczoną, ale późniéj ta przykra, bo męcząca rola już jéj zanadto dokuczała, więc niebardzo kryła przed swoim narzeczonym właściwe sobie poziome usposobienie. „Zdarzało się coraz częściéj—mówi powieściopisarz (III, 226) — iż budząc się rano i myśląc o tém, że trzeba będzie spotkać się z narzeczonym i nastroić się od rana na jego wysoką nutę, doznawała takiego uczucia, jak dziecko, na które czeka trudna lekcya. Ona już tę lekcyę wydała; już wypowiedziała mniéj więcéj wszystko, czego ją nauczono, i sądziła, że narzeczeństwo powinno jéj przynieść wakacye. Miała nakoniec dosyć tych wszystkich swoich i cudzych niepospolitości, tych oryginalnych określeń, tych trafnych odezwań się, któremi wojowała dotąd na świecie. Czuła zresztą, że zapas wyczerpywał się i że w studni już dno widać. Pozostawały jéj tylko jeszcze jakieś odczuwania artystyczne i ten nieznośny pan Ignaś mógł przecie poprzestać na tém, że od czasu do czasu pokazywała mu to jakąś rozległą łąkę, to kawałek lasu, to skrawek pola z płowém, jakby rozpierzchłém w świetle, zbożem, i mówiła: ładne! ładne! To było łatwiejsze! On wprawdzie nie umiał znaleść dość słów i podziwu, ile głębokiéj artystycznéj duszy kryje się w takim jednym wyrazie: ładne; ale jeśli tak, to czegóż chciał więcéj — i dlaczego w rozmowie, w uczuciu, w sposobie kochania zmuszał ją do jakichś niepotrzebnych wysileń? Jeśli zaś nie zmuszał, jeśli to przychodziło bez jego wiedzy, to tém gorzéj dla niego, że, będąc z natury takim stromym, jeszcze w dodatku o tém nie wiedział".

A porównywając poetę Ignasia z Kopowskim, doznawała istotnéj ulgi; sam jego widok „rozweselał ją, wywoływał usmiéch na jéj twarzy i usposabiał do żartów". Zawiłowskiemu, „który żył daleko wyłączniéj życiem umysłowém, a zatém i mierzył wszystko miarą czysto umysłową", ani przez myśl nie przeszło, żeby panna tak „uduchowiona" i tak „mądra", jak Lineta Castelli, „mogła choć przez chwilę patrzéć inaczéj na Kopowskiego, jak na przedmiot do wesołych żartów, na jakie sobie ustawicznie pozwalała". Lineta czyli „Niteczka" — myślał — „bawiła się Koposiem, wodziła za nim

rozweselonym wzrokiem, ale tylko dlatego, że była jeszcze dzieckiem, które potrzebowało mieć swe chwile zabawy, a nawet i pustoty".

Zawiłowski się mylił, bo cierpiał na duchowy daltonizm. Jego uwielbiana Niteczka nietylko bawiła się Koposiem, ale odczuwała ku niemu pociąg tak silny, że kiedy raz podtrzymując ją, gdy upaść miała, wpił swe wąsy w jéj usta, ona uchwyciła go namiętnie za szyję i oddawała mu pocałunki z procentem.

Być może, i ta scena, gdyby się utaiła, byłaby poczytaną za rodzaj zabawy tylko, lecz na nieszczęście widział ją Osnowski, który nie dostrzegał wprawdzie przez daltonizm stosunku własnéj żony do Kopowskiego, ale za to doskonale widział, co się dzieje z Niteczką i zapałał oburzeniem na jéj postępek. Wymógł więc na Kopowskim przyrzeczenie, że się z Castelką ożeni. Pani Broniczowa z Niteczką i Koposiem wyjechali za granicę.

Trzeba było powiadomić Ignasia Zawiłowskiego o stanie rzeczy. Zrobił to Osnowski swym listem, który mu się udał lepiéj niż przypuszczał, i Połaniecki, który miał sposobność okazania swego dobrego serca. Zawiłowski zrazu nie mógł poprostu objąć myślą położenia; wydawało mu się ono tak nieprawdopodobném, tak zgmatwało wszystkie jego pojęcia, że osłupiał, chociaż pewnie w głębi duszy jeszcze jakąś odrobinę nadziei zachował. Bo istotny cios zadał mu dopiéro pełen przewrotności list Broniczowéj, nadesłany z Berlina, w którym postępowanie Niteczki, jako dowód prawości duszy, a całe uczucie Zawiłowskiego, jako zamach na swobodę jéj wystawiała. „Pan ma swój talent—pisała — więc pan ma coś, Niteczka zaś tylko serce, które przymus złamałby w jednéj chwili — i jeżeli się panu zdaje, że ona pana zawiodła, niech pan sumiennie pomyśli, czyja wina jest większa? Pan wiele złego wyrządził Niteczce, bo pan opętał jéj wolę i nie pozwolił pójść za naturalnym popędem serca, a tém samém poświęcił pan, lub gotów był poświęcić przez egoizm jéj szczęście, a nawet życie, jestem bowiem przekonana, że w takich warunkach nie przeżyłaby jednego roku. Niech to panu jednak Bóg przebaczy, tak jak my obie przebaczamy — i niech pan wié, że dziś jeszcze modliłyśmy się za pana, na umyślnie zamówionéj na pańską intencyę mszy u św. Jadwigi" (III, 328).

Po przeczytaniu tego faryzeuszowskiego listu, poeta, wsparłszy głowę na ręku, począł patrzéć bezmyślnie na stół i leżące na nim papiéry, a potém gdy Połaniecki list ten także odczytał, rzekł mu z rozdziérającym smutkiem: „To widać z prawdy można toż samo zrobić, co z miłości, a jam się tego nie domyślał!..." Zostawszy

sam, doznał uczucia, że gdyby Niteczka mogła mu wydrzéć i ten talent, o którym wspominała pani Broniczowa, to byłaby go wydarła i oddała Kopowskiemu. „I począł się zastanawiać, co w nim jest tak nędznego, żeby go tak poświęcić bez miłosierdzia, bez najmniejszéj uwagi, żeby się mniéj liczyć z nim, niż z najlichszym robakiem. Czemu ona kocha Kopowskiego, nie mnie, któremu mówiła, że kocha? — I przypomniał sobie, jak mu kiedyś drżała w ramionach, gdy po zaręczynowym wieczorze oddawał jéj dobranoc. A teraz drży tak samo w ramionach Kopowskiego. I na tę myśl porwawszy chustkę, począł ją ściskać w zębach, żeby nie krzyczéć z bólu i wściekłości". Raz jeszcze list Broniczowéj odczytał, a skończywszy, począł patrzéć w świecę, mrugać oczyma i mówić: „Jakto?... więc to tak można?... Co ja właściwie zawiniłem?" I nagle uczuł, że „poczyna go opuszczać pojęcie, co jest prawda, a co fałsz, co krzywda, a co dobro, co słuszność, a co niesłuszność. Odeszła od niego Lineta, zabrała mu siebie, zabrała przyszłość, a teraz poczęły się usuwać, jedna po drugiéj, wszystkie podstawy życia — i rozum, i zmysły, i samo życie... Wiedział jeszcze, że on tę swoją Niteczkę zawsze kochał nad życie i że żadną miarą nie mógł chciéć jéj krzywdy, ale po za tém wrażeniem, wszystko, co stanowi istotę myślącą, kruszyło się w nim na proch i jak proch rozlatywało się w tym ogromnym wietrze nieszczęścia". Długo jeszcze przesiedział w milczeniu i świéca była do połowy wypalona, gdy się ocknął, ale wówczas zaszło w nim coś nadzwyczajnego. „Miał takie wrażenie, jakby odbijał statkiem od lądu — i zdawało mu się, że to nie on się oddala, ale że od niego odsuwa się ten brzeg, na którym dotąd przebywał. Wszystko, co było nim i wogóle jego życiem, wszystkie myśli, nadzieje, ambicye, cele, zamiary, nawet miłość, nawet panna Lineta, nawet jéj strata — i te koła błędne, i te męki, przez jakie przeszedł, wydały mu się nietylko już od niego oddzielone, ale jakby obce i wyłącznie do tamtego lądu należące. I stopniowo nikły, stopniowo topniały — coraz mniejsze, coraz bardziéj widziadłowe, coraz podobniejsze do snu, a on oddalał się, czując, że do téj obczyzny wrócić już nie chce, nie może — i że wszystko, co z niego zostało, należy do tego przestworu, który brał go w siebie i otwiérał się przed nim — niezmierny i tajemniczy" (III, 327—333).

W tym stanie duszy Zawiłowski żyć nie chciał, więc strzelił sobie w głowę. Odratowano go jednak na większe jego nieszczęście. Ratunkiem zajęła się panna Zawiłowska, która po ojcu odziedziczyła ogromny majątek, a towarzyszką jéj w pielęgnowaniu cho-

rego była panna Ratkowska, kochająca się w poecie bez wzajemności, tak jak Zawiłowska kochała się niegdyś w Płoszowskim. Nie zważały one na opinię światową i odważnie spełniały miłosierny uczynek. Chodziło im zarówno o uratowanie życia, jak i talentu poety. Pierwsze im się powiodło, ale drugie bynajmniéj. Zawiłowski żył i był zdrów, miał dobry apetyt, tył nawet troszeczkę, ale z talentu nie pozostało ani śladu. Wskutek wstrząśnienia mózgu stał się nieco zająkliwym, z początku pamięć niektórych wyrazów była porażona; wyleczył się i z tego, ale gdy zasiadał do pisania choćby listów z podróży, nic mu się pod pióro nie nasuwało, a świadomość téj niemocy duchowéj była mu udręczeniem okropném. O Niteczce zapomniał, zdaje się, zupełnie. Pani Broniczowa na wieść, że poeta otrzymał wielki zapis od panny Zawiłowskiéj, próbowała wszelkiemi sposobami nawiązać znowu stosunki, gdyż małżeństwo z Kopowskim nie doszło do skutku—odebrała go dla siebie Osnowska i rozstała się z mężem — ale usiłowania te nie udały się wcale. Wprawdzie bezpośrednio poeta nie zetknął się z panią Broniczową i Niteczką, a listy pisane przez zabiegliwą ciocię nie trafiały pod właściwy adres; zdaje się wszakże, iż gdyby nawet doszły, nie byłyby wywarły pożądanego wrażenia; przeszłość dla Zawiłowskiego zsunęła się całkowicie w przepaść.

I oto największa w téj powieści ironia życia. Świrski, chociaż z innéj okoliczności, określił dobitnie ten stosunek natur pospolitych do niezwykłych. „Gdyby stał (Kopowski) w oknie u fryzyera, to panny wygniotłyby szybę. Pamięta pani (mówi Świrski do Maryni Połanieckiéj), com o nim powiedział: damski hurys! I to jest gorzkie, to jest niesmaczne - i to źle mówi o kobiétach, bo, bądźże tu człowieku Newtonem, Rafaelem, Napoleonem i chciéj za całą nagrodę jednego serca, jednéj kobiecéj głowy. Nieprawda! Ona woli jakiegoś lukrowanego Bibisia.” A na uwagę Połanieckiéj, że w sprawie uczucia bywa często, iż padnie coś na człowieka i skończyło się wszelkie rozumowanie, odpowiada Świrski jaskrawo, lecz prawdziwie: „Może! To niby jak choroba... Ale istnieją choroby, na które szlachetniejsze gatunki istot nie chorują. Istnieje np. choroba racic. Pozwoli pani powiedzieć, że trzeba mieć racice, żeby jéj dostać. Nie było jednak chyba wypadku, żeby gołębica zakochała się w dudku, choć to bardzo ładny ptak. Widzi pani, na gołębicę to nie padnie. W dudkach kochają się dudkówny. I niech się sobie kochają, byle nie udawały gołębic... Mnie chodzi o te fałszywe aspiracye, o tę nieszczerość, o ten frazes. Skoro jesteś dudkówną—miéjże odwagę do tego się przyznać. Nie udawaj, nie

kłam, nie zwódź" (III, 291, 2). Słowa te Świrskiego łączą się z ogólniejszém spostrzeżeniem, powtarzaném przez różnych ludzi w powieści, że u nas wogóle mania udawania czegoś lub kogoś grasuje jak zaraza. Jest ona przyczyną klęsk, bankructw, upodleń, bywa też przyczyną takich tragicznych zawikłań, w jakie wpadł Zawiłowski.

Epizod ten, nie należący, o ile mnie się zdaje, do pierwotnéj koncepcyi powieściowéj, gdyż w historyi Połanieckich żadnéj zgoła nie odgrywa roli, jest jednak pod względem żywotności, dobitności, plastyki wykonania i świeżości rysów uwydatnionych wyższym znacznie od całéj owéj historyi Połanieckich, z wyjątkiem tylko ustępu z Litką i doskonałéj figury dyletanta-dekadenta z zacném sercem, Bukackiego, który paradoksami swemi ożywia wielce dość jednostajną skądinąd część dzieła. Pisany jest ten epizod gorąco, namiętnie, z uniesieniem prawie. Pod koniec utworu to uniesienie łagodnieje, a Sienkiewicz, nie chcąc zasnuwać widnokręgu chmurami, osłabia wrażenie zgrzytu wywołanego ową ironią życia i pobłażliwiéj zaczyna przedstawiać Maszkową (miłość do matki), Osnowską (pielęgnowanie chorego męża, z którym się poprzednio rozstała), nawet Linetę Castelli (odsuwanie od siebie tych fałszem podbitych wysiłków, jakie jéj ciotka dla schwytania zidyociałego poety rozwija), tak, że pozostaje tylko Broniczowa, jako przedstawicielka przewrotności z tym wszakże dodatkiem, że i ona jest nieszczęśliwą. Powieściopisarz przejął się widocznie wyrozumiałością stworzonego przez siebie marzyciela-mistyka Waskowskiego, który we wszystkich ludziach widział tylko narzędzia woli boskiéj, a najmłodszym z Aryjczyków (Słowianom) przepowiadał wzniosłe posłannictwo. Nie możemy mieć za złe autorowi, iż się pesymizmowi nie powierzył, zrobimy tylko uwagę, że jeżeli miało się łagodnie zakończyć, wypadałoby chyba troszkę osłabić jaskrawość scen, w których ironia życia w całéj wystąpiła grozie.

Ale szczegół ten może być wynikiem posyłania powieści do druku częściami. Co się raz już wydrukowało, trudno było cofać następnie. Jeden atoli szczegół z tego samego źródła pochodzący, łatwo można było w odbitce książkowéj sprostować. Idzie tu o historyę Litki. W I-ym tomie (str. 268) Marynia jest obecną przy téj rozmowie, w któréj Litka pragnie, żeby była brzózką; w drugim zaś (str. 9) opowiada o tém, jako o rzeczy słyszanéj od Emilii. Drobiazg to z zapomnienia pochodzący, ale w dziele sztuki i drobiazgi mają znaczenie.

Słówko o języku. Sienkiewicz słusznie jest uważany za jedne-

go z mocarzy słowa. Tok jego mowy jest szczerze polski, to rzecz niewątpliwa; lecz są w nim drobne naleciałości, robiące przykre niekiedy wrażenie. Ma np. upodobanie w słowie: czynić, więc go używa tam, gdzie ono stosowne, i tam, gdzie zamiast niego należałoby posłużyć się słowami: robić, stać się i t. p. Wynotowałem sobie około 20 miejsc, w których całkiem niewłaściwie ono się znajduje, w takim np. rodzaju: „Na dworze uczyniła się noc wilgotna" (I, 290). Powtóre, zauważyłem w „Rodzinie Połanieckich" wyraz raczéj bardzo często w znaczeniu angielskiego rather używany bez żadnego porównawczego zwrotu, np. „Bigielęta należały do dzieci raczéj przystojnych" (I, 226), przysłówek więcéj we frazesie przeczącym, słowo przyczynić w znaczeniu „sprawić", rozumiéć w znaczeniu „wiedziéć" i t. p. Wobec poczytności i piękności utworów Sienkiewicza radzibyśmy, żeby język ich był zupełnie bez skazy.

P. Chmielowski.



ROZWÓJ BIBLIOTEK LUDOWYCH.

Znaczyłoby to nosić „sowy do Aten", jak mówili Grecy, albo „węgiel do Newcastle", jak mówią bardziéj „współcześnie" w Anglii, gdybyśmy zamierzali rozpisywać się tutaj o znaczeniu wykształcenia ludowego i o środkach, prowadzących do podniesienia poziomu oświaty narodowéj wogóle. Nie są bowiem te zasady socyologiczne postulatami, ale dowiedzionemi („to nauczyciel ludowy wygrał bitwę pod Königrätz" — mówiono w Niemczech po r. 1866; to samo po r. 1870) i uznanemi powszechnie aksyomatami. Możemy co najwyżéj tylko próbować popularyzacyi tych środków, jakich używano i używa się na Zachodzie, a które dały rezultaty tak znakomite. Biblioteka ludowa, to rzecz równie ważna, jak szkoła. Boć jeżeli trudno jest nauczyć się czegokolwiek, to nierównie trudniéj nie zapomnieć nauki, jeżeli życie późniejsze (a takiemi są warunki życia ludowego) wytrąca „ucznia" z kolei szkolnéj i przenosi go w atmosferę, gdzie bakcylusów znajdziesz mnogość nieprzebraną — ale nie znajdziesz tam „przecinka" nauki. Biblioteka ludowa — tak rozumiemy ją przynajmniéj — ma na celu przedłużenie niejako życia i atmosfery szkolnéj. I dlatego téż zasługuje na baczną uwagę. Obecnie, dzięki bardzo pożytecznéj pracy prof. Reyera [1]) możemy rozejrzéć się w typach „nauczania ludu" przy pomocy bibliotek na Zachodzie europejskim, oraz w zagadnieniach, z tą nauką związanych.

---

[1]) Entwicklung und Organisation der Volksbibliotheken.

I.

Myśl zakładania bibliotek ludowych jest stara. Już w XVI-ym wieku znadowały się w niektórych miastach niemieckich (w Hamburgu 1529 r.) biblioteki, dostępne dla każdego. Brak środków atoli, oraz duch skostniałego biurokratyzmu, nie dopuszczał faktycznie szerszych mas do źródła wiadomości — i z biegiem lat instytucye te zanikły zupełnie. Dopiéro w połowie naszego stulecia ożyły nanowo — ale nie na kontynencie europejskim. To Anglia i Ameryka podjęły jednocześnie w tym względzie dobroczynne i owocne usiłowania. Właściwie jednak zabiegom Ewart'a zawdzięcza W. Brytania t. zw. prawo biblioteczne. Przed kilku laty poświęcił sprawie czytelni ludowych w Anglii p. Trepka jeden ze swych szkiców drukowanych w „Ateneum" (obecnie powtórzony w dziele „Anglia i Anglicy" 1895). Nie mamy więc potrzeby rozwodzenia się szeroko nad niemi. Zaznaczymy tylko, że w r. 1890 trzydzieści miast europejskich (wyjąwszy Londyn i Glasgow) liczyły na 5 milionów mieszkańców 10 milionów zapotrzebowań książek. Ciekawym jest rozwój téj instytucyi w Ameryce. Pierwsza biblioteka powstaje tam w Bostonie w r. 1844, kiedy to kupiec Bates i inni ofiarowali po 50 tys. dolarów na założenie biblioteki. W r. 1882 liczyła ona 400,000 tomów i 300,000 broszur — obecnie zaś 600,000 i należy, ze względu na dobór książek, do pierwszych bibliotek świata (między innemi liczy 140 urzędników, kiedy Muzeum brytańskie 145, a największe biblioteki niemieckie do 50 urzędników). New-York posiada 4 biblioteki, a w nich pół miliona tomów, w Chicago budują obecnie gmach na milion tomów. Ameryka, nad którą zastanawiać się dłużéj nie możemy, daje dużo pouczających przykładów *self-help*'u. W pewnéj mieścinie prowincyonalnéj zadeklarował przed trzema laty obywatel 150 tys. dolarów na rzecz biblioteki w razie, jeżeli reszta mieszkańców zbierze 250 tys. między sobą. Natychmiastowo złożyło dwu kupców po 50 tys., inny 30 tys.—dzisiaj już w tym gmachu czytają ludzie. Amerykańskie biblioteki mają tę specyalność, że mają salę dzienników. W Bostonie, gdzie sala dzienników otwartą jest do 10-éj wieczór — leżało 80 dzienników, w Manchester korzystało z nich 3 mil. czytelników (w r. 1890).

Przechodzimy obecnie do bibliotek niemieckich. Przedewszystkiém zaznaczyć należy, że jest ich niewiele. Następująca tablica ilustruje te stosunki:

		1000-y tomów	1000-y zapotrzeb.	1000 marek wydatk.	1000-y mieszkań.
Berlin.	Biblioteka królewska 1890/1	800	281	410	1,580
	26 bibliotek ludowych 1890/1	110	339	34	„
Wiedeń.	Bibl. dworska 1891	500	50(!)	140	1,360
	10 bibliotek ludowych 1890/1	42	235	16	„
Monachium.	Biblioteka państwowa 1890/1	900	130	159	348
	5 bibl. ludowych	19	126	10	„
Drezno.	Biblioteka królewska 1891	350	20	68	276
	10 bibl. ludowych	27	132	13	„
Frankfurt n. M.	Bibl. miejska 1890	171	13	?	180
	„ ludowa	18	117	11	„
	„ Rotszylda	12	25	?	„
Brema.	5 bibl. ludowych 1891	10	96	4	126

Porównywując powyższe cyfry z podanemi wyżéj dla Anglii i Ameryki, widzimy, że frekwencya jest w bibliotekach niemieckich znacznie mniejsza. Kiedy w Anglii wypadają rocznie 2 książki na mieszkańca, w najlepszych wypadkach wypada w Niemczech tylko jeden (Berlin zaledwie $^1/_2$, Wiedeń $^1/_5$). Biblioteka Rotszylda w Frankfurcie została oddana na użytek publiczny w r. 1887-ym, a w 1889-ym liczyła już 25,000 zapotrzebowań. Czytelnicy należą do klasy zamożnéj: na 1,700 odwiedzających było tylko 100 rzemieślników. W Bremie, która posiada 10,000 tomów, zażądało 1,038 osób w r. 1892-im 92,000 tomów. Zamożni płacą markę rocznie i prócz tego 1 pf. od tomu i dnia.

Co lud czyta? Jeżeli przejrzymy sprawozdania bibliotek ludowych, to rzuci nam się w oczy zadziwiająca jednostajność w grupach zapotrzebowań. Jeżeli bowiem porównamy Berlin z Bostonem, Manchesterem, Omahą, Wiedniem, Dreznem, — a więc połączymy najbardziéj oddalone od siebie punkty, to spostrzeżemy wszędzie, że 70 — 80% przypada na beletrystykę i książki dla młodzieży, 10% na biografię i podróże, 5% na nauki przyrodnicze, rzemiosła i technikę. Mniejsza o to, że bibliotekarz zbierze zaledwie 10 — 20% książek beletrystycznych: 60 — 80% ogólnéj liczby czytanych książek przypadać będzie na dział beletrystyki; mniejsza o to, że zbiérze się teologicznych książek 10% — nie żądają ich więcéj (nawet w Anglii) nad 0.6 — 0.9%. Daje się atoli zauważyć pod tym względem znaczny i dziwny postęp. W Newcastle np. wynosiły romanse w r. 1883-im 66% ogólnéj liczby żądań, a w r. 1891-ym tylko 52%. Cyfra ta zdaje się mówić, że istnieje granica przesytu dla pasztetu z Numy i Pompi-

liusza: rzecz ciekawa i napawająca radosną nadzieją każdego, komu nie są obce roczniki naszéj współczesnéj bibliografii.

Niekiedy opłaca się przyjrzéć, jakie mianowicie książki bywają najbardziéj czytywane. W St.-Louis np. żądano pod koniec 1889 r. 50 — 70 razy na miesiąc „Wieku XXI” Bellamy'ego (u nas 5 wydań), ale w następnym półroczu książka ta przestała już być rozchwytywaną. Zastąpił ją nowy romans Marka Twain'a. Są jednak pisarze, albo raczéj pewne dzieła, które są jednakowo zawsze poczytne; należą do tych oprócz Dickensa i Skota: „Chata wuja Tomasza”, „Ben-Hur” (Wallace'a), „Nędznicy” (V. Hugo), „Jarmark próżności” (Thackeray), „Młyn nad rzeką” (G. Eliott). W Bostonie np. czytano w r. 1867-ym Coopera 5,460 razy, Dickensa 4,000, Szekspira 550, Goethego 338, a Tennysona 120 razy. W Wiedniu w maju 1892 r. żądano Ohnet'a („Właściciel kuźnic”) 22 razy, Marlittowéj („Tajemnice staréj panny”) 13 razy; Grillparzera 27 razy, Freytaga 22 razy. Prof. Reyer, który stoi na czele jednéj takiéj biblioteki, zauważył, że poeci bardzo wytworni nie są lubiani, natomiast romantycy odpowiadają bardziéj uczuciowości ludowéj; z drugiéj strony, lud nie czytuje chętnie francuskich powieści z cyklu epopei cudzołóstwa i półświatka.

Czytelnicy. Kwestyą pierwszorzędnéj wagi jest rubryka: „stan czytelników”. W Ameryce rekrutują się głównie z klasy robotników. W Niemczech inaczéj: w Berlinie i Wiedniu robotnicy (mężczyzni) stanowią zaledwie czwartą część ogólnéj liczby czytelników, kupcy i rzemieślnicy 11 — 13%, urzędnicy 14%, kobiéty 22 — 29% (jestto przestarzały błąd, którego nie pozwala wytępić biurokratyzm pruski, że się notuje „kobiétę” jako ogólną klasę). Rezultaty to dosyć smutne, gdyż ci, dla których biblioteki te są specyalnie przeznaczone, powinni korzystać z nich cztery razy więcéj, niż dotychczas. Prof. Reyer przypisuje te braki trudnościom, z jakiemi związane jest uczęszczanie do biblioteki niemieckiéj, składaniu kaucyi i poręczenia od pewnéj ilości osób. W Anglii i Ameryce rzeczy te są nieznane i wystarcza tam w zupełności świadectwo tożsamości. Biblioteka narodowa w Paryżu nie wypożycza zupełnie książek do domu, a mimo to już niejednokrotnie doznała bolesnych strat, kiedy w Ameryce straty bywają bardzo rzadkie i niewielkie.

Reyer objaśnia graficznie wiek czytelników. Najniższą grupę stanowią dzieci od 5 do 10 lat, najwięcéj czytelników bywa w wieku lat 15—20, poczém liczba ich zaczyna się zmniejszać.

II.

W drugiéj części swéj pracy daje prof. Reyer historyę kilku typowych bibliotek ludowych. Szczególnie wiele miejsca poświęca bostońskiéj „*Lower Hall*”, któréj rozwój jest istotnie „amerykańskim”, że nie powiem „cudownym”. W przeciągu 30-tu lat zdołano tam nietylko stworzyć książnicę, zapełnić ją doborowemi i ciągle dokompletowywanemi książkami, doprowadzić poczytność pisarzy, liczbę czytelników do wysokości, o jakiéj marzyć nie może Europa kontynentalna, ale zdołano — co ważniejsza — wychować czytelnika. Kiedy w r. 1868 ginęła jedna na tysiąc książek, to już w ósmym dziesięcioleciu ginęła 1 na 12—16,000, w końcu zaś tego dziesięciolecia 1 na 20,000. Jestto rezultat — jeżeli uwzględnimy wspomnioną wyżéj łatwość dostępu dla każdego — zadziwiający i dowodzący raz jeszcze, że nietylko „doktorowie filozofii” umieją szanować książkę drukowaną. Przy téj sposobności zaznacza prof. Reyer, że „lud wogóle przewyższa znacznie klasy bogate i wykształcone w sprawie sumienności bibliotecznéj”. Dowodu rozwoju biblioteki bostońskiéj dostarczyć może wykaz kosztów. W r. 1856-ym wynosił budżet 12,000 dolarów, dziesięć lat późniéj już 70,000, po 20-tu latach 130,000, w r. 1891-ym 160,000, przyczém liczba tomów wzrosła do $^1/_2$ miliona, ilość urzędników do cyfry 135, którzy pobiérają płacy 82,000 dolarów.

Stany Zjednoczone liczyły wogóle w r. 1890-ym 270 miast, posiadających wolne biblioteki. W r. 1850-ym było wogóle 1,560 bibliotek, które mieściły $2^1/_2$ miliona tomów, a w r. 1885-ym 5,340 bibliotek i 20 mil. tomów. W téj liczbie było 424 bibliotek ludowych o czterech milionach tomów. Po za tém istnieje jeszcze 23,000 bibliotek szkolnych, które liczą 45 milionów tomów—czyli innemi słowy, w Ameryce wypada przeciętnie tom na 1 mieszkańca. Niewielki stan Massachusetts, który w r. 1839 liczył 10 bibliotek, utrzymuje w r. 1885 na 2 mil. mieszkańców 570 bibliotek.

We Francyi ruch biblioteczno-ludowy rozpoczął się dosyć późno (około r. 1866-go z inicyatywy Jana Macé) i rozwijał się dość tępo. Dopiéro w ostatnich latach przybrał rozmiary istotnie potężne. Dość będzie, jeżeli zaznaczymy, że w przeciągu trzechlecia (1889 — 1891) założono 200 bibliotek ludowych. Dotychczas można zauważyć silne sympatye dla tego ruchu na zachodzie i północy Francyi, natomiast południe milczy zupełnie. W Paryżu jeszcze w r. 1879-ym istniało zaledwie 11 bibliotek ludowych municypalnych, które posiadały tylko 60,000 tomów. W roku zaś 1891-ym było już bibliotek 64, książek

250,000 i $1^1/_2$ miliona zapotrzebowań głównie do domów. W budżecie miejskim zabierają biblioteki 239,000 franków. Biblioteki są otwarte codziennie (nawet w święto) wieczorem przez dwie godziny, podczas których można książki wymieniać. Prócz miejskich, istnieją w Paryżu biblioteki prywatne, tak iż ogólną liczbę zapotrzebowanych książek oznaczyć można na $2^1/_2$ miliona.

W Australii istniało w prow. Victoria) w r. 1887-ym 314 bibliotek publicznych, które mieściły 400 tys. tomów i 3.7 mil. zapotrzebowań w New-South-Wales istnieje 200 bibliotek. Na Nowéj Zelandyi (1889 r.) utrzymuje rząd 361 bibliotek. W poł. Afryce (w Caplandzie) liczono w r. 1890-ym 70 miast i osad, posiadających biblioteki, a w tych 200 tys. tomów. W Cape-Town naliczono w r. 1892-im 28 tys. czytelników. W Chinach i Japonii — ruch ten zapuścił już korzenie. Gubernator Kantonu zebrał w drodze subskrypcyi 220 tys. marek i założył bibliotekę ludową, a przy niéj drukarnię, „mającą wytłaczać dobre i pożyteczne książki, przy pomocy których moglibyśmy porównać przeszłość z przyszłością, któreby nas zawiodły na drogę sprawiedliwości i uczyniły nas lepszymi". W Japonii przeprowadzono prawo, na mocy którego każda gmina może wyznaczać podatek na cele biblioteczne.

* * *

Tak się przedstawia w głównych, zlekka tylko szkicowanych rysach sprawa bibliotek ludowych. Nie chodziło nam o obliczanie rezultatów téj pracy „dla ludu", jeżeli użyjemy ogólnie przyjętego, choć niezawsze słusznego wyrażenia. Zawcześnie jeszcze dzisiaj na podobne rachunki. Zamało — albo téż raczéj wcale — nie posiadamy dziś jeszcze doświadczenia, aby w ogólnéj formule uzbrajania umysłowego narodów obliczyć składnik lub czynnik „szkoły", „biblioteki". Nawet nie rozkładając ogólnego łańcucha „kształcenia" na pojedyńcze, wymienione przed chwilą (jest ich jednak więcéj) ogniwa, nie jesteśmy w stanie sprawdzić empirycznie tych nowych etnopedagogicznych założeń. — Chodziło tutaj tylko o ogólną strukturę nowotworu socyologicznego, jakim jest biblioteka ludowa. I jakkolwiek architektonika tegoż w szkicu powyższym skróconą, zmniejszoną została do rozmiarów szematu, to jednak i zebrane tutaj cyfry i fakty powinny nietylko przekonać czytelnika o powadze sprawy saméj, ale go do dalszych nad nią samodzielnych studyów, rozmyślań i praktycznych stosowań zachęcić. *Zen. Por.*

„GAZETA PRACY."

„The Labour Gazette" miesięcznik Departamentu Pracy Angielskiego Ministeryum Handlu.

Od Maja 1893 r. departament pracy przy wielkobrytańskiém ministeryum handlu wydaje co miesiąc zbiór wiadomości handlowych i przemysłowych dla użytku robotników, za cenę 1 pensa t. j. około 4 kop. za zeszyt. Zeszyt obejmuje około 30 stron wielkiéj ósemki ścisłym wypełnionych drukiem, a treść zeszytu jest tak obfita i bogata, iż musi zainteresować każdego, dla kogo cyfry statystyki ekonomicznéj są czémś więcéj niż prostemi cyframi.

Jeśli mówimy o bogatéj i obfitéj treści „Gazety Pracy", to mamy na myśli tylko fakta. Literackich prac wydawnictwo to nie zawiéra żadnych. Przerzucając te kartki, mimowoli staje nam w myśli Mr. Grandgrind z *Hard Times* Dickensa, zalecający dozorczyni ochrony, aby dzieciom wbijała w głowę same tylko fakta, fakta i fakta. System pedagogiczny fałszywy dla dzieci, nie jest takim gdy chodzi o dorosłego robotnika, kierunek zaś konkretny „Gazety Pracy" dowodzi z jednéj strony wysoce bezstronnego stanowiska, jakie rząd Zjednoczonych królestw wobec kwestyi roboczéj zajmuje, z drugiéj wysokiego rozwoju intelektualnego sfer roboczych angielskich, które same z gołych faktów wnioski wyciągnąć potrafią.

Treść wydawnictwa nie daje powodu ani do uwag krytycznych ani do polemiki, a sprawozdanie nasze z $1^1/_2$ rocznéj jego treści ograniczy się: zaznaczeniem działów jakie stanowią stałe rubryki wydawnictwa i objaśnieniem metod, jakiemi wiadomości te zbierano.

We wstępnym artykule 1-go numeru, redakcya gazety tak określa swoje zadanie:

„Gazeta Pracy" jest wydawnictwem dla robotników i dla każdego mającego interes w prędkiém i dokładném powiadomieniu się w sprawach dotyczących specyalnie pracy. Ma ona zamiar zająć w sprawach dotyczących pracy to samo stanowisko jakie zajmuje gazeta ministeryum handlu *(Board of Trade Journal)* w kwestyach handlu i przemysłu. Inaczéj mówiąc, zadaniem jéj będzie, zastosować do użytku ogółu i podawać do wiadomości publicznéj urzędowe wiadomości dotyczące pracy z dołączeniem wiadomości, jakie departament będzie otrzymywał w obfitości od swoich korespondentów dla saméj Gazety."

„Kwestyami samych przekonań „Gazeta Pracy" zajmować się nie będzie. Celem departamentu w tém wydawnictwie jest dostarczyć: zdrowych podstaw dla tworzenia się przekonań nie zaś gotowych przekonań."

Jakie są te podstawy, na których przekonanie robotników opiérać się powinno zobaczymy z treści numerów.

I.

Pierwszą stałą rubryką w Gazecie jest „Stan pracy za ubiegły miesiąc." Stan ten oparty na sprawozdaniach związków roboczych, zaczyna się od ogólnego zestawienia i karty przedstawiającéj graficznie wzrost lub spadek procentu robotników niemających zajęcia. Sprawozdanie za kwiecień 1893 r. opiérało się na danych, dostarczonych przez 23 związki robocze, posiadające 296771 członków. Sprawozdanie za listopad 1894 r. opiéra się na danych, dostarczonych przez 62 związki robotnicze, liczące 362091 członków. Wyrażając cyframi to, co w Gazecie wyłożono graficznie, widzimy, że we wzmiankowanych 62 związkach roboczych ilość członków niemających zarobku stanowiła w procentach ogólnéj liczby członków w miesiącach:

	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październik	Listopad	Grudzień
r. 1893	9,7	9,4	8.7	7,	6.1	6,	6.5	7,4	7.6	7.9	7,8	8.4
r. 1894	7.	6,2	6.4	6.	6.5	6,5	7,3	7,6	7.6	7,2	7,	—

Po takiém ogólném zestawieniu stosunku robotników zajętych i niezajętych pracą, idzie sprawozdanie ogólne z poszczególnych wa-

żniejszych gałęzi przemysłu a więc: z kopalni węgla i rudy żelaznéj, z przemysłu żelaznego, stalowego, maszynowego, z budowy okrętów i z budowy domów, stolarstwa, drukarstwa i introligatorstwa, krawiectwa, kapelusznictwa, szewctwa, z przemysłu bawełnianego, wełnianego, pończoszniczego, jedwabniczego, hafciarskiego, żeglugi, rybołówstwa, pracy w dokach i nakoniec z rolnictwa.

Sprawozdania są krótkie, lakoniczne: Podajemy małą próbkę z zeszytu grudniowego 1894 r. „Stosownie do pory roku donoszą o lekkiém zmniejszeniu się zajęcia w różnych gałęziach przemysłu budowlanego, szczególniéj między malarzami. Procent niezajętych w związkach składających sprawozdanie podniósł się z 3,8% w październiku, do 4,2 w listopadzie--przy 3,7% w listopadzie 1893 r. Przemysł ubrań gotowych nie okazuje żadnéj poprawy, idzie słabo. W wielu okolicach gałąź ta także idzie ospale. Kapelusznictwo ciągle w ucisku. Robotnicy rolni, mieli więcéj zajęcia w listopadzie niż o téj saméj porze w 1893 r.; ale zarobki umówione przy najmie jesiennym w północnych hrabstwach okazują w porównaniu z poprzednim rokiem pewną obniżkę i t. d."

W zakończeniu przedstawienia stanu ogólnego rynku pracy podane są ogólne dane dotyczące zmian w zarobkach i godzinach pracy, pauperyzmu, emigracyi i imigracyi za ubiegły miesiąc.

Drugi z kolei dział poświęcony jest londyńskiemu rynkowi pracy: zawiéra krótkie relacye o stanie różnych ważniejszych gałęzi przemysłu w Londynie i stosunkowo obszernie obrobioną statystykę zajęć w dokach i przy spławie rzecznym tygodniami i w porównaniu z rokiem ubiegłym z graficzném zestawieniem ilości robotników zajętych codziennie w dokach londyńskich. Dalej sprawozdanie o działalności biur pośredniczenia w pracy, o wynikłych w ciągu miesiąca w Londynie zmowach, o pauperyzmie i nieszczęśliwych wypadkach z robotnikami.

Następny oddział poświęcony jest pracy na prowincyi, zawiera on kilkadziesiąt korespondencyi z różnych ognisk przemysłowych w zjednoczonych królestwach o stanie różnych gałęzi przemysłu. Korespondent z Manczestru donosi o stanie zajęć w przemyśle maszynowym, bawełnianym, budowlanym, drukarskim, krawieckim i innych drobnych, — korespondent z Liwerpolu pisze o ruchu interesów w dokach, spławie rzecznym, przewozach kolejowych, budowie okrętów i maszyn, przemyśle metalowym, budowlanym, szklanym, chemicznym i w kopalniach węgla, — z Sheffieldu donoszą o przemyśle żelaznym i stalowym, nożownictwie i fabrykacyi narzędzi, o przemyśle budowlanym i in-

nych, — z Nottinghamu o koronkarstwie, pończosznictwie, maszynach i żelazie, przem. budowlanym, węglu kamiennym i drogach żelaznych, — z Belfastu o maszynach i przem. lnianym. W korespondencyach tych odzwierciedla się cała geografia przemysłowa Wielkiej Brytanii, a każdy poszukujący wiadomości o stanie rynku pracy w pewnéj gałęzi przemysłu, w korespondencyach z miast ześrodkowujących ten przemysł znajduje dokładne wskazówki o biegu interesów, zmniejszaniu lub zwiększaniu się obstalunków i spadku lub zwyżce zarobków. Redakcya korespondencyi, jeśli nie lakoniczna, to w każdym razie angielska; dla przykładu podajemy tu parę streszczeń, w których ścisłości wyrażenia dajemy pierwszeństwo przed wymaganiami składni i stylu. „Bristol i hr. Gloucester „Kopalnie węgla.” Ogólny stan przemysłu nie tak dobry jak w październiku. W okręgu Forest of Dean zły i niektóre kopalnie pracują tylko 3 dni w tygodniu. Znaczny spadek w okręgu Radstock; w niektórych kopalniach gromadzą się zapasy. Niezajętych robotników w kopalniach bristolskich liczą 175. Częściowy zalew dwóch kopalni pozbawił roboty 300 ludzi na 2 tygodnie. W kopalniach Kingswood sprzedaż idzie gorzéj niż dotąd, w innych bardzo dobrze.”

„Przemysł ubiorów. W Bristolu szewctwo znów w ucisku i duży procent robotników ma tylko częściowo zajęcie. W okręgu Kingswood interesa słabną. Krawiectwo na obstalunek idzie w tym sezonie tępo. W gałęzi gotowego ubrania nie ma poprawy. W fabrykacyi kapeluszy jedwabnych handel idzie źle.”

Wiadomości dotyczące rynku pracy w Anglii kończą się sprawozdaniami specyalnemi z kilku głównych gałęzi przemysłu: kopalń węgla, kopalń rudy żelaznéj, wyrobu surowego żelaza, rybołóstwa, rolnictwa, żeglarstwa, czasami budownictwa okrętowego i z dodatkiem sprawozdania o rynku pracy kobiét. Czytając te krótkie, zwięzłe, pełne cyfr i danych „nie wiarogodnych i prawdopodobnych” ale „pewnych i niewątpliwych” cyfr nabiéramy szacunku nietylko dla tych, którzy cyfry zbiérali i układali, ale i dla tych, którym fałszywe pojęcie „tajemnicy handlowéj” nie przeszkodziło dostarczać wiadomości o biegu ich przedsiębiorstw i którzy pojmują dobrze, że użytek, jaki zrobiony będzie z danych przez nich dostarczonych, im samym korzyść przyniesie.

Ktokolwiek probował u nas drogą prywatnych zapytań zbierać dane dotyczące naszego handlu i przemysłu krajowego, ten szacunek mój zrozumie.

W grudniowym zeszycie za rok 1894 mamy zestawienie za listopad oparte na sprawozdaniach z 1160 kopalni węgla (zatrudniających

83712 robotników) o ilości dni w których kopalnie były w biegu. Pracowano średnio 4,80 dni w tygodniu (we wrześniu 4,88, w październiku 4,97). Szczegółowy rozbiór tych cyfr w różnych okręgach daje odrazu poznać ruch przemysłu kopalnianego w całéj Wielkiéj Brytanii. Sprawozdanie kończy się notatką o ilości węgla kamiennego, wywiezionego w listopadzie z Wielkiéj Brytanii za granicę (2699643 ton) i porównaniem jéj z ilością węgla wywiezionego w październiku (2915527) i w listopadzie roku poprzedniego (2723136).

Sprawozdanie z przemysłu surowcowego opiéra się na danych o ilości wielkich pieców w działaniu będących i porównanie téj ilości z ilością pieców przed miesiącem i przed rokiem w biegu będących. Kończy się notatką dostarczoną przez syndykat fabrykantów żelaza z okr. Cleveland (*Cleveland Iron masters Association*) o ilościach żelaza wyprodukowanych w ostatnim miesiącu, znajdujących się w magazynach i naładowanych na okręty.

Sprawozdanie z rybołówstwa obejmuje obliczenie wartości ryb, przywiezionych w ostatnim miesiącu do portów. Sprawozdanie z rolnictwa oparte jest na korespondencyach z 160 okolic zgrupowanych w kilka okręgów. Oprócz określenia ogólnego stanu rynku korespondenci podają wysokość zarobków; dowiadujemy się np. że w Wiltshire płacono robotnikowi 9 sh. tygodniowo a przy najmach na zimę umawiano się 13 sh. tygodniowo w zimie, 14 sh. w lecie, dom, ogród i gratyfikacyi 1 f. st. Gorsi robotnicy dostawali 12, resp. 13 sh., najgorsi 10 bez domu i ogrodu.

Sprawozdanie z żeglarstwa podaje ilość okrętów i majtków, którzy opuścili kraj z rożnych portów Wielkiéj Brytanii, zawiadamia w jakich portach jest zawielu majtków i gdzie się brak czuć daje, jakie są płace, gdzie one mają tendencye zniżkową a gdzie idą w górę.

Ostatniém jest sprawozdanie pracy kobiét w przemyśle tkackim, bawełnianym, wełnianym, lnianym i jedwabnym. Od 200 prawie fabryk biuro otrzymuje wiadomości miesięczne, na podstawie których sprawozdanie swoje układa.

Drugi stały dział „Gazety" obejmuje sprawozdanie o zmianach w zarobkach i godzinach pracy zaszłych w ubiegłym miesiącu na całém terytoryum zjed. królestw. Wedle objaśnień redakcyi, sprawozdanie to opiéra się na wiadomościach przysłanych przez korespondentów, nadzorców żeglugi handlowéj, i wiadomościach z gazet, sprawdzonych z wiadomościami od stowarzyszeń przemysłowców, związków roboczych, i w niektórych wypadkach od samych przemysłowców bezpośrednio. Samo sprawozdanie ma formę tablicy obejmującéj następujące kolumny: oznaczenie gałęzi przemysłu, miejscowość, datę od któ-

réj zmianę wprowadzono, przybliżoną ilość robotników, których ta zmiana dotyka, wymienienie zmiany (w jednéj kolumnie zwiększenia w drugiéj zmniejszenia) i obliczenie tygodniowego zarobku lub godzin pracy w tygodniu przed i po zmianie i zwiększenia resp. zmniejszenia zarobku lub godzin tygodniowych wskutek zmiany. Zmiany ugrupowane są gałęziami przemysłu i co miesiąc podanych bywa około 50. Z grudniowego zeszytu dowiadujemy się np. że w południowéj Walii: hr. Monmouth zmniejszono około 90000-om robotników w kopalniach węgla płacę o 1 $^1/_4$% niżéj normalnéj skali co stanowi na tydzień 2$^1/_2$ pensa na każdym funcie szterlingu; w przemyśle żelaznym hrabstw środkowych zmniejszono płacę 9—10000 robotników o 3 resp. 2$^1/_2$% na tonnie i że zwiększenia płac chociaż się zdarzały, dotyczyły jednak bardzo niewielkich grup roboczych, najwyżéj 100 ludzi. Ścisłość podanych wiadomości jest tak wielka, że podane są zmiany płac 8—6—4 czasem nawet 2 robotników.

Bardzo szczegółowych danych dostarcza „Gazeta" o nieszczęśliwych wypadkach z robotnikami — doskonała organizacya angielskiego inspektoratu fabrycznego położyła na tém sprawozdaniu wyraźne swoje piętno. Po zaznaczeniu ogólnéj ilości wypadków zakończonych śmiercią, i bez tego rezultatu na kolejach żelaznych, w kopalniach, fabrykach, między majtkami i w ogólnéj sumie, „Gazeta" podaje szczegółowe dane: 1-o co do kolei: o rodzaju wypadku i kategoryi służby, która wypadkowi uległa, następnie dzieli te wypadki na zaszłe w Anglii, Szkocyi i Irlandyi, oddzielając w ogólnéj sumie wypadki, wynikłe z ruchu pociągów i inne; 2-o co do kopalń rozróżnia przyczyny wypadku: wybuch, zapadnięcie gruntu, różne wypadki w szybach i w samych kopalniach dzieląc ilości ludzi uległych wypadkowi na zabitych i rannych i oddzielając osobno każde z 3-ch zjednoczonych królestw; 3-o co do robotników fabrycznych: oddzieleni są mężczyźni od kobiét. W każdéj kategoryi wydzielone są 3 grupy: dorośli, młodzież *(young persons)* i dzieci *(boys, girls)* i rozróżnione wypadki na 5 kategoryi zranień i wypadki śmiertelne; 4-o co do żeglarzy: sprawozdanie podaje ogólną ilość wypadków śmierci skonstatowanych na statkach wielkobrytańskich na morzu; na rzekach i w portach; oddziela wypadki wywołane rozbiciem okrętu i innemi nieszczęśliwemi wypadkami od pozostałych wypadków śmierci i dzieli wszystkie na zaszłe na parowcach i statkach żaglowych, zaszłe na statkach regestrowanych w urzędzie żeglarskim i nie regestrowanych, — handlowych i rybackich. Każde ze sprawozdań kończy się porównaniem z cyframi miesięcznemi roku ubiegłego.

W ścisłym związku z powyższym działem jest następny, podający ogólną sumę nieszczęśliwych wypadków z ludźmi, o których raporta nadesłane zostały do departamentu handlu w ciągu ostatniego miesiąca. Sprawozdanie rozróżnia wypadki zaszłe przy budowie i rekonstrukcyi, od zaszłych w biegu produkcyi, rozróżnia dalej 15 gatunków zajęć, wypadki śmiertelne i 8 gatunków zranień.

Następne dwa działy poświęcone są sprawom sądowym. Pierwszy obejmuje sprawy wytoczone pracodawcom przeważnie przez inspektorów fabrycznych za niezastosowanie się do praw fabrycznych. Ponieważ prawa te zawierają się w trzech oddzielnych bilach parlamentu: dotyczących 1-o fabryk i warsztatów, 2-o kopalń, 3-o żeglugi,— dlatego też i sprawozdanie, o którém mowa, ugrupowane jest w odpowiednich 3 działach z dodaniem porównania z odpowiednim miesiącem ubiegłego roku. Tak np. w listopadzie 1894 na zasadzie prawa o fabrykach i warsztatach wniesionych było do sądów 189 spraw a wyroków zapadło 174 skazujących na kary w ogólnéj sumie 157 f. szt. 8 sh. i koszta 112 f. szt. 9 sh. 3 p. — z prawa o kopalniach spraw 63, wyroków 51 — kary i koszta 72 f. szt. 12 sh. — z prawa o żegludze 9 spraw, 9 wyroków, 65 f. szt. 10 sh. kar i 14 f. szt. 18 sh. 8 p. kosztów.

Drugi dział obejmuje krótkie sprawozdania ze spraw między robotnikami, pracodawcam i istowarzyszeniami, osądzonych w sądach całego zjednoczonego królestwa za ubiegły miesiąc. Źródłem informacyi, jak powiadamia redakcya, są miejscowe organa prasy. Podany jest okręg, sąd, data i krótka treść sprawy np. „Sąd hrabstwa Westminster 5 i 12 listopada. Robotnik pozwał przedsiębiorcę budowy o straty wynikłe z uszkodzeń na ciele doznanych przy zawaleniu się dachu, spowodowanego, jak twierdził, zgnilizną belek, z których dach był zbudowany i nagromadzeniem gruzu. Obrona: pozywający był robotnikiem na godziny a gdy tego dnia z rana nie dostał biletu, jaki zwyczajnie daje się co rano przy rozpoczęciu robót, nie był w chwili wypadku w zajęciu u pozwanego. Wyrok na korzyść powoda na 180 f. szt. i koszta. Odwołanie w d. 12 listopada odrzucone z kosztami." Jak widzimy jest to materyał do jurysprudencyi w tego gatunku sprawach, choć całkiem surowy, niemniéj jednak bardzo cenny. Sprawy tu wymienione odnoszą się do odpowiedzialności chlebodawców za uszkodzenia na ciele, do zerwania i naruszenia umów o zarobku, do stosunków między robotnikami i związkami roboczemi i robotniczemi stowarzyszeniami pomocy i ubezpieczeń (*friendly societies*) i t. d. Każdy zeszyt zawiera przeszło 20 takich krótkich relacyi.

Z kolei znajdujemy w gazecie sprawozdania o działalności biur pośredniczenia pracy i o nowo otwartych i zamkniętych w ciągu mie-

siąca kopalniach, po których idą dwa ostatnie stałe działy gazety zatytułowane: „Praca w koloniach” i „Praca zagranicą.” Są to co do kolonii korpspondencye ze wszystkich rozsypanych po kuli ziemskiéj angielskich kolonii: Kanady, Nowéj Południowéj Walii, Wiktoryi, Queenslandu, Nowo Zelandyi, Kapu, Natalu i innych. Wiadomości z państw obcych zbierane są z korespondencyi i pism peryodycznych. W zeszycie grudniowym 1894 r. spotykamy wiadomości z Francyi — o godzinach pracy na drogach żelaznych, o nowém francuzkiém prawie, dotyczącém stowarzyszeń kredytowych rolniczych; z Niemiec — o zmowach roboczych wynikłych w listopadzie, o otwarciu biura robotniczego *(Arbeitersekretariat)* w Norymberdze i jego organizacyi, o ograniczeniu pracy na kolejach żelaznych państwowych w niedzielę — ze Szwajcaryi o kongresie fabrykantów i robotników zegarków, o stowarzyszeniu szwajcarskiém handlowém i o stanie przemysłu koronkarskiego, — z Belgii o otwarciu departamentu pracy przy ministeryum rolnictwa i robót publicznych, o nowych bezrobociach, o 14 nowych procesach przeciwko fabrykantom wypłacającym zarobki towarami, o zmowie szlifierzy dyamentów, o wprowadzeniu do kontraktów zawieranych przez urzędy gminne (Bruksela, Namur, Vervier, Ensival) i prowincyonalne (Hainaut), warunku niepłacenia robotnikom niżéj oznaczonego w kontrakcie minimum zarobków i o obowiązkowém w fabryce wywieszeniu ilości godzin pracy dla kobiét i dzieci z mocy prawa 1889 r.; — z Holandyi o bezrobociach, — z Austro-Węgier o rezultatach zmniejszenia godzin pracy w fabrykach żelaza Schindelwald w Czechach z 12 na 8 godzin i o bezrobociach, — z Włoch o emigracyi za 1893 rok, — z Hiszpanii o ogólnym stanie rynku pracy. Stosunki amerykańskie zwracają rozumié się specyalną uwagę redakcyi, zawiérają wiadomości o ogólnym stanie rynku pracy, o nowych stowarzyszeniach robotniczych, o zmianach w zarobkach na kopalniach węgla o nowych bezrobociach, środkach sądowych, zapobiegających wydalaniu przez drogę żelazną „*Philadelphia and Reading r. r.*” służby za należenie do związku roboczego *(Brotherhood of Trainmen)* o nowém stosowaniu praw o naturalizacyi przez sąd cywilny w Pittsburgu, o zakończeniu zmowy robotników w Fall-River, o nowych bezrobociach w New-Bedford i Bostonie i ostatniém bezrobociu w Chicago.

Zdarzają się téż, ale nie co miesiąc, sprawozdania o rynku roboczym w Rosyi, pisane na podstawie wiadomości podawanych w „Gońcu finansów, przemysłu i handlu.” W ostatniéj, podanéj w miesiącu listopadzie, czytamy: „Tendencya zniżkowa w zarobkach, zwykle zjawiająca się w jesieni, już okazała się w sierpniu. Mimo to wszędzie, gdzie roboty w polu zależą od ludności napływowéj, koszta zbiórki

zbóż wypadły wyższe od przeszłorocznych, częścią wskutek wcześniejszego powrotu robotników do domu, częścią wskutek gorszéj pogody. Ostatnia przyczyna podtrzymała zarobki w okręgu Petrowskim, gdzie prowadzone są roboty kolejowe i trzymała je na znacznéj wysokości przez rok cały."

„W prowincyach południowych, w których, jak to w poprzednich sprawozdaniach donosiliśmy, zarobki były w tym roku nienormalnie wysokie, zarobki jakkolwiek uległy ogólnéj zniżce, są jednak dotąd wysokie. Są téż wysokie w okręgu południowo-wschodniéj Wołgi, chociaż w niektórych okręgach wschodnio-południowych są niższe niż w roku ubiegłym. Emigracya włościan za zarobkiem po większéj części już ustała, niewielu jeszcze przechodzi Wołgę licząc na dobre zarobki przy zbiorze zbóż." Sprawozdanie kończy się krótką wiadomością o działalności banku włościańskiego za rok 1893.

Wyżéj wymienione rubryki i działy wyczerpują ledwie połowę treści „Gazety". Pozostałą połowę wypełniają wiadomości różne, obchodzące świat roboczy.

Niestałemi, ale bardzo często pomieszczanemi, są wiadomości o średnich cenach najważniejszych artykułów żywności, oparte na sprawozdaniach stowarzyszeń spożywczych. W maju średnie te ceny były obrachowane na 17-tu sprawozdaniach, w czerwcu na 20-tu sprawozdaniach, a ostatnie ceny za czerwiec 1894 r., podane w zeszycie październikowym, są już obliczone na danych, zebranych od 73 stowarzyszeń Anglii, Szkocyi i Irlandyi.

Ceny rynków angielskich są zbyt ważnemi dla nas, abyśmy nie pomieścili tu następnego krótkiego porównania ich za ostatnie 2 lata:

	1893 rok		1894 rok
	marzec	kwiecień	czerwiec
Mąka, kamień 14 funt. an.	1 sh. 4 7/8 p.	1 sh. 5 p.	1 sh. 2 7/8 p.
Chléb, bochenek 4 f. pszenny	4 5/8 p.	4 7/8 p.	4 1/2 p.
Mięso świéże za funt	7 5/8 p.	7 3/8 p.	7 1/2 p.
Szynka "	9 3/8 p.	9 p.	8 p.
Cukier "	2 1/2 p.	2 1/2 p.	2 1/4 p.
Herbata "	2 sh. 3/4 p.	2 sh. 1/4 p.	2 sh. 1/8 p.
Masło "	1 sh. 2 p.	1 sh. 1 5/8 p.	1 sh. 3/4 p.
Margaryna "	8 1/2 p.	8 1/2 p.	9 p.
Sér "	8 1/4 p.	7 7/8 p.	8 p.
Mléko za kwartę	3 1/2 p.	2 7/8 p.	3 p.
Kartofle za kamień 14 funt.	6 7/8 p.	6 3/8 p.	8 1/4 p.
Konfitury i marmelady za funt	3 7/8 p.	4 p.	4 p.

Bardzo starannie prowadzony jest dział prawodawstwa dotyczącego robotników. Z każdéj ankiety, przez rząd przedsięwziętéj,

„Gazeta” pomieszcza krótkie streszczenie raportu komisyi. Rezultaty spisu ludności w całém państwie, statystyka stosunku ludności do mieszkań, dane dotyczące pracy kobiét i dzieci, wieku i wynagrodzenia służby domowéj w Londynie, ogólne dane rocznych sprawozdań inspektoratu fabrycznego, wszystko to znajdujemy w „Gazecie”. Obok tego znajdujemy tam konkluzye raportów komisyi pracy, i projekta do praw fabrycznych w fabrykach, warsztatach i kopalniach narażających zdrowie robotnika *(un healthy works).* W sprawie 8 godzinnego dnia pracy pomieszczane są nowe przepisy warsztatów armii i marynarki, ograniczające pracę robotników do 48 godzin na tydzień, i wiadomości o rezultatach już wprowadzonego 8 godzinnego dnia pracy w Anglii (Salford) i w Austryi (Brünn). Ciekawe téż dane spotykamy w „Gazecie” o żydowskich warsztatach krawieckich w Londynie, Manchesterze i Leeds.

Do przedmiotów często poruszanych należy kwestya pracy dla robotników pozbawionych zajęcia: spotkaliśmy krótkie referaty o sposobach dostarczenia im zajęcia, o organizacyi biur pracy zagranicą, sprawozdania rad, miast i hrabstw angielskich, o pracy dostarczanéj robotnikom. Bardzo szczegółowo opisana jest organizacya biura pracy w w. księstwie Luksemburskiém, oparta na ścisłém połączeniu tych biur z urzędami pocztowemi.

Tekst praw nowych (czasem i dawniéj wydanych dla przypomnienia) i projekta bilów, dotyczących spraw robotniczych, pomieszcza gazeta *in extenso.* Co do związków roboczych i stowarzyszeń, „Gazeta” ogłasza sprawozdania urzędowe z ich ilości i ilości członków; krótkie wiadomości o kongresach związków i stowarzyszeń w Anglii i zagranicą, podawane są stale zaraz po odbyciu posiedzeń. Bardzo ciekawe wiadomości podaje „Gazeta” od czasu do czasu o sposobach zabezpieczenia starości w związkach przyjacielskich *(Friendly Societies).* Ważniejsze sprawy robocze zagranicą nie przechodzą bez śladu w „Gazecie”. Tak w rzeczach, dotyczących Francyi, spotykamy się z krótkiemi artykułami o prawie fabryczném, obowiązującém we Francyi, zamierzonych jego zmianach, o kasach pożyczkowych na zastaw ruchomości (lombardach), o szkołach technicznych, zastosowaniu motorów do małych warsztatów w Lyonie i St.-Etienne; ze spraw niemieckich, o godzinach pracy w piekarniach i sklepach, o obowiązkowém zabezpieczeniu starości, o odpowiedzialności pracodawców, etc. Co do Rosyi, spotkaliśmy się z artykułami dotyczącemi wędrówki robotników *(Gang System)* fabrycznych i kolonizacyi Żydów w Argentynie.

Nakoniec, prawie w każdym numerze pod tytułem „Różnych

wiadomości" redakcya podaje najnowsze dane statystyczne o obrotach międzynarodowego handlu w Anglii (przywóz i wywóz), emigracyi i imigracyi, o ilościach przywiezionéj bawełny, wywiezionego węgla, etc. Od czasu do czasu podane są najogólniejsze dane ze statystyki kolejowéj, obrotów w handlu zbożem, ceny zboża, przywozu siana, o bankructwach etc., a prócz tego spis rzeczy w miesięczniku ministeryum handlu (*Board of Trave Journal)* i wiadomość o wszystkich urzędowych wydawnictwach departamentu pracy.

W zakończeniu tego krótkiego sprawozdania możemy polecić „*Labour Gazette*" każdemu, kogo kwestya robocza w Europie obchodzi. Naczelne stanowisko, jakie w téj sprawie wskutek rozwoju swego przemysłu zajmuje Anglia, czyni dane dotyczące przemysłu i robotnika angielskiego najpoważniejszemi w Europie. Spotykając po naszych pismach i miesięcznikach w téj kwestyi opinie, oparte nieraz na przestarzałych i tendencyjnych danych Engelsa i Marxa, życzymy „Gazecie pracy" jaknajwięcéj u nas czytelników i sądzimy, że cena jéj — na miejscu w Londynie 12 pensów na cały rok, mniéj niż 50 kopiejek rocznie—nie stanie temu na przeszkodzie.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

A. Okolski. „Wpływ Tomasza Carlyle'a na rozwój społeczeństwa angielskiego pod względem socyalno-politycznym w XIX w." Odbitka z „Przeglądu prawa i administracyi" (Lwów, 1894, str. 151, 8-vo).

Jakie bile wniósł Carlyle na parlament i jakie mowy w obronie ich wygłosił; czém wzbogacił miesięczniki oddane sprawom publicznym i co dał życiu i literaturze polityczno-społecznéj, skoro na rozwój narodu swego wywrzéć miał wpływ polityczno-społeczny?

Nie zasiadał wcale w parlamencie, nie sprawował nigdy żadnego urzędu, nie chciał nawet przyjąć choćby wstążeczki od orderu angielskiego, nie był ani redaktorem, ani współpracownikiem żadnego czasopisma politycznego, i przez całe życie nie wydał ani jednéj książki ściśle politycznéj. Pierwszy lepszy, świéżo wypieczony doktór lub magister, prawnik lub historyk, więcéj jako ścisły publicysta zrobił, nie mając jeszcze lat trzydziestu, niż stary ten człowiek, który ich przeżył na ziemi aż osiemdziesiąt pięć. Cóż więc zrobił i skąd przyszło prof. Okolskiemu mówić o jego wpływie polityczno-społecznym? Co zrobił? i co wogóle robił? Patrzał w człowieka i w społeczeństwo, myślał o tém, co robią politycy i społecznicy z rzemiosła; ale myślał gniewem, ironią, troską, bólem, przekleństwem nieraz, i z tych jego czujących myśli powstawały jego książki, a z tych książek — i wpływ na życie polityczno-społeczne.

Wpływ ten dojrzewał w łonie takiego radykalizmu publicystycznego a idealizmu filozoficznego, jakim równych w naszém stuleciu daremniebyśmy szukali. Dla poważnych naukowych majstrów od rze-

miosła polityki i polityko-historyi było to właśnie powodem niechęci, surowych sądów o odludku z Chelsea. Sami mając oczy otwarte jedynie na mechanizm życia, na człowieka zewnętrznego, dającego się w szczypce państwowości chwytać i dowolnie ustawiać, musieli oni lekceważyć myśliciela, który był takim ideologiem, że w świecie dostrzegał prowodawstwo wyższe od parlamentarnego, przeciwko mechanizmowi układu stawił organiczność istoty a rzeczywistego postępu spodziéwał się nie od urządzeń prawodawczych, ale od samego człowieka wewnętrznego, o ileby go prawodawca nie zgnębił, nie zepsuł i nie ubezwładnił. Politykom z powołania—w życiu lub w książce — wolno jest jak dyletanta traktować człowieka, który o polityce, mocarstw czy społeczeństw, myśli tylko filozoficznie. Ale najlepsze nawet prawo nie przeszkodzi takiemu dyletantyzmowi być rzeczywiście wpływowym, byle tylko umiał patrzéć głęboko, a myśli swoje wielkim promieniem zakreślał.

Specyalizm polityczno-społeczny, uznając tylko to, co działa i wpływa bezpośrednio, pozytywnie — popełnia zasadniczy błąd: siew myśli, usposobiających do pozytywnéj już roboty, nie może być dla saméj pracy prawodawczéj, reformatorskiéj, obojętnym. Wszelki pogląd ogólny, czy to w jednostce czy w narodzie, różniczkujący się w pewne pomysły przetwórcze, do pewnego stopnia przy rodowodzie ich występuje z prawem ojcowstwa. Tém tłómaczy się wpływ pisarzów niepolitycznych i niespołecznych na porządki polityczne i społeczne. Oni są pierwszymi siewcami; kto inny hoduje drzewa i zbiéra owoce. Z odległości czasu, na wielkich liniach pochodu dziejowego, jako istotnych przewodników, obok polityków z rzemiosła, kogo dostrzegamy? Filozofów i poetów. Lekceważenie wpływu pisarzów filozoficznych, bohatérów pióra, jak Carlyle, jest tylko skutkiem lekceważenia saméj umysłowości politycznéj. Jeżeli pomylił się prof. Okolski, stawiając tezę wpływu Carlyle'a na społeczeństwo angielskie, to pocieszyć się może, iż jest w dobrém towarzystwie. Przytoczony przez niego John Stuart Mill tak mówi w „Autobiography":

„Carlyle jest największém wcieleniem XIX-go stulecia i uosobieniem walki jego z XVIII-ém; we mnie samym daleko więcéj kołace się ducha przeszłowiecznego. A był to duch rozkładowego indywidualizmu. Poszanowanie „praw człowieka", wiara w nieomylność smithowskiéj pracy, produkującéj wartości społeczne, były w Anglii tak silne, że urządzając *indoor-* i *out-door-reliefs* (zapomogi w pracowniach i po za pracowniami), późniéj zaś *working-houses* (domy ro-

bocze) dla ubogich, nie odważono się tknąć stosunku człowieka dającego pracę, robotnika, do człowieka dającego zarobek, fabrykanta. Skończyło się wreszcie na tém, że wybujały manczesteryzm, przez istne *itio ad absurdum* sam wzruszył panującą zasadę XVIII wieku: *laissez faire, laissez-passer* — i sam dla siebie dół wykopał. Przyczynili się do tego politycy czynni, których dążności rozwinęły się z Chartyzmu — ruchu prawdziwie dobroczynnego, zbawczego i wydrwiwanego tylko przez ograniczoność i samolubstwo; przyczynili się i ludzie myśli i pióra, a w pośród nich nie miała Anglia większego nad Carlyle'a.

Przez 40 lat głosił ten człowiek ewangelię pracy i szczerości w pracy, która samym tylko tym faktem, że jest, zaprowadza węzły solidarności społecznéj, prawdziwéj, do kupieckiego *cashpayment* (wypłaty w gotowiznie) nieograniczonéj. Taka solidarność poważna, rzetelna, subiektywnie kształtować się może tylko w altruizm, obiektywnie w zależność wzajemną, w żelazną konieczność skutków, wyższą nad wolę najpotężniejszéj nawet organizacyi. Kiedy biédna wdowa irlandzka, skazana na głód przez niemiłosierdzie i lekkomyślne niedbalstwo organizmu społecznego, tyfusem głodowym zaraża w Edymburgu całą dzielnicę i sprowadza śmierć siedmnastu osób — możeż być wymowniejsza nad tę solidarność interesów. Organizacya pracy w najobszerniejszym zakresie, w jakim obracają się usiłowania dzisiejsze, była ideałem społecznym Carlyle'a już przed 60-ciu laty; z wiarą w jego świętość, z nadzieją jego urzeczywistnienia umiérał. Wiele instytucyi ochronnych przy fabrykach zawdzięcza swoje powstanie tylko wymownemu głosowi wroga „mammonizmu". Głos ten nie brzmiał na puszczy, gdy wprowadzono reformy prawodawcze: musiały się pierwéj zmienić przekonania, zanim się zmieniły prawa. Carlyle poruszał serca i umysły, a w tym ruchu wytwarzały się nowe poglądy, przeświadczenia, zasady — ideały nowe.

Z niemiłosierdziem chłostał „wielki cenzor wieku" arystokracyę próżniaczą, klubującą, polującą i rozrzucającą piéniądze wsypywane jéj do worów przez dzierżawców. Już w *Sartor resartus* (1830, 1831) położył ów słynny napis na nagrobku landlorda, którego główną zasługą w życiu było wystrzelanie 5,000 kuropatw ręką własną. Dla tych arystokratów-sowizdrzałów ma Carlyle zbiorową nazwę *gamepreserving aristocracy* (arystokracya od ochraniania zwierzyny). Całe tomy przepisów o polowaniu zabezpieczały ziemską szczęśliwość tych wybrańców losu. Carlyle się pienił. Małość ich życia wyrażał przezwiskami: *Felicissimus Zero, Parvulus Felix;* właściwe ich powoła-

nie przypominał samém pochodzeniem wyrazu *lord:* mieli być *law-ward*'ami — „strażnikami prawa” — boskiego i ludzkiego prawa, a oni tymczasem są tylko strażnikami sarn, jeleni, lisów i kuropatw! I jak tu było nie pienić się z gniewu? Jak próżniactwa, tak i materyalizmu praktycznego, filozofii filistrów robiących pieniądze i nadymających i wielkością swéj roboty, znieść nie mógł i całą ich mądrość się trwożliwą pychę obejmował nazwą *pigphilosophy*—coś jakby filozofia dobra dla nierogacizny. Krytyka burzyła się na nieprzyzwoitość wyrazu, ale wyraz już został.

Nauki dawane przez Carlyle'a społeczeństwu wypływały, nie z obserwacyi polityka, ale z wiary, z przekonań i ideałów myśliciela. Do wszystkiego przykładał autor *The Part and the Present* ową miarę człowieka wewnętrznego, a wspólność téj miary zbliża istotnie całokształt jego myśli do religii, dla któréj człowiek wewnętrzny jest wszystkiém. Religii téż dopominał się, religijności pożądał — w pracy, w działaniu, w myśleniu, w życiu całém. Fetyszyzm nawet był w jego oczach lepszym od téj najgorszéj ze wszystkich religii, jaką dawała ludowi dystylowana wódka: religii odrętwienia i rozpaczy. Na widok wszystkich niedoli życia tak w wyższych, jako w niższych jego kręgach—wołał o człowieka — pragnął go i szukał. Nie chciał automatów poruszanych przez głód, egoizm, samolubstwo, próżność i chciwość: ludzi chciał żywych, własną, a prawą, społecznie pożyteczną, treścią żyjących. Życie całe oddał na marzenie o takiéj arystokracyi ducha. Marzenie było — marzeniem, ale nierozumném nie było.

Rzecz prosta, że taki myśliciel mógł dawać tylko pobudkę do praw, a nie prawa same. Może, gdyby stanął przy warsztacie, ulotniłaby się połowa jego pragnień, wygasłaby wiara w możliwość odkopania owego człowieka wewnętrznego z pod wszystkich tych zewnętrzności, które go przytłaczają i do pewnego stopnia marne wnętrze, istotnie żyjącą i działającą treść jego, „duszę w żołądku” tego „dwunoga ubranego w spodnie” stanowią. Lepiéj może, iż się tak niestało, i że Carlyle do końca zawodu swego pozostał takim, jakim już matce swéj zobowiązywał się być w trzydziestym roku życia. „Wierzaj mi — pisał wtedy z Edymburga — wierzaj mi, matko, że i syn twój jest również misyonarzem, tylko we własnym kraju — misyonarzem, posłanym, nie do pogan indyjskich, ale do pogan angielskich, i będzie ich nawracał, jeżeli mu tylko zdrowie dopisze a okoliczności pozwolą.” I dotrzymał słowa: przez życie całe był apostołem solidarności ludzkiéj, tkliwości człowieka dla człowieka i od ludzi nieza-

ślepionych przez namiętność stronniczą za życia już do nazwy „wielkiego cenzora wieku" dostawał jeszcze nazwę „proroka".

Gibbins, autor *English social roformers*, zestawiając Carlyle'a z Ruskinem, nazywa ich największemi potęgami natchnień, pobudzaczami umysłów angielskich, w czasie, gdy obawiać się było potrzeba, „aby umysłowe i wogóle duchowe zdolności narodu angielskiego nie uległy pod naciskiem materyalizmu." Prof. Okolski, odsłoniwszy nam nieznaną zupełnie postać Ruskina w r. 1893-im, teraz w obszerniejszéj już pracy o Carlyle'u ukazuje drugiego z Dyoskurów wspólnéj idei.

Zmarły w jesieni roku przeszłego historyk Froude, młodszy znacznie wiekiem przyjaciel Carlyle'a, tak opisuje wrażenia młodzieży uniwersyteckiéj w latach 1843—5, wynoszone z *The Part and the Present*. Najlepsi rzucili się do czytania pism „Cenzora wieku". „Czytaliśmy je tak — przytacza prof. Okolski — że weszły nam one w umysły i serca, stały się wyrazem uczuć, które nas nurtowały. Carlyle był naszym prorokiem, naszym mistrzem. Dla każdego, kto brał życie seryo i chciał dobrze go użyć, kto nie poprzestawał na siedzeniu z założonemi rękoma lub na robieniu pieniędzy — słowa jego były jakby pobudką poranną." I oto odpowiedź na pytanie: zali Carlyle wywarł wpływ jakikolwiek?

Taine w *Histoire de la littérature anglaise* ostro obchodzi się z Anglikiem: każe go uważać za coś w rodzaju potwora, jakby smoka jaskiniowego, olbrzyma budującego prawdy z paradoksów, chropowatym językiem prawiącego sofistyczne kazania. Ale Taine pisał o Carlyle'u na 30 lat przed zgonem, przed swojemi badaniami nad rewolucyą francuską, przed swojemi ostatniemi studyami, które w pośmiertném wydaniu sprawiają wrażenie jakby powiewu od grobów; inaczéj go sądził w r. 1890-ym, niż w latach 1860 — 3. Anglicy, od bałwochwalczéj czci dalecy, wiedzą przecież, co mają do szanowania w swoim pisarzu. *Chambers' Encyclopaedia of universal knowledge* (edycya r. 1888, t. II, p. 775), podręczna księga Anglika, takie wydajc o Carlyle'u zdanie: „Dziś jeszcze nie czas wydawać sąd nad nim ostateczny, ale już bez narażania się na odwołanie można powiedzieć, że w złém, czy w dobrém, wywarł on na literaturę angielską około środka XIX w., a przez nią i na etyczne, religijne i polityczne wierzenia *(beliefs)* owych czasów wpływ większy, niż którykolwiek z ludzi mu współczesnych. I jako humorysta, który z humoru robił poważny użytek i jako napędzacz *(weapon*, wyrażenie z życia parlamentarnego), przeprowadzający swe poglądy nie miał nikogo wyższego nad siebie.

Łączył on w sobie wszystko, co najlepszego było w Dumbarze, Burns'ie, Rabelais'm i Swift'cie. Jako mistrz w tém, coby w stylu wykreślnością *(the graphic)* nazwać można, nie ma Carlyle ani współzawodnika, ani naśladowcy. Okazuje się równie zdolnym wtedy, kiedy fotografuje naturę, jak i wtedy, gdy zbiéra i przed oczy stawia w odpowiedniéj frazeologii wybitne znamiona charakteru osobistego, w wyrazie oblicza, w ruchach bezwiednych, obejściu się, w budowie postaci *(build)* i w stroju."

A do tego Garnett w *Life of Th. Carlyle* (u p. Okolskiego, str. 148) dorzuca: „Nie był on w saméj rzeczy wzorowym prozaikiem swego czasu, ślepe naśladownictwo osobliwości jego stylu ośmieszyło wielu; ale dał językowi to, czego mu nie dali, ani Southey, ani Macaulay, ani Landor, dodał nowe elementa, nie poprzestając na doskonaleniu dawniejszych... dowiódł, że zdolność tworzenia nowych wyrazów jeszcze nie wygasła, a żywy język nie zgadza się nigdy ze słownikiem. Dla masy znów myślących ludzi, nie mających upodobania w abstrakcyach, podawał myśli w formie obrazów... działał na wyobraźnię i poczucie poetyckie, oporne na suche rozumowania. Literatura angielska w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu bez Carlyle'a podobna byłaby do armii bez artyleryi."

Mamy więc myśliciela i pisarza niepospolitego. Poglądy spółczesne i polityczne człowieka téj miary zasługiwały na pracę tak szczegółową a gruntowną, jak rozprawa profesora Okolskiego; wagę jéj zaś zwiększa jeszcze tło społeczne, podłożone pod oryginalne zjawisko. Sam tylko wstęp do obrazu umysłowości ma już własną swą wartość. Autor użył do niego dzieł takich, jak Toynbee'go *Lectures on the Industrial Revolution of the XVIII c. in England*, Gibbins'a *The Industrial history of England*, Schultze-Gaevernitz'a *Zum sozialen Frieden*, Hobsona *Problems of Poverty*, Price'a, Ashroth'a i innych.

Z pism samego Carlyle'a bierze autor do umysłowéj jego podobizny najwcześniejsze ze wszystkich a pałające myślami *Characteristics*, daléj *Chartism*, *The Part and the Prezent*, *Latter Day pamphlets*. Syntezę własnych swych przekonań zawarł prof. Okolski na str. 118—132. W ostatnim rozdziale rozprawy przytoczył opinie Anglików. Sprostowania potrzebuje zdanie, jakoby Carlyle pierwszy zajął się Irlandyą: przed nim już umiało oko angielskie patrzéć bez nienawiści, z zajęciem większem nawet, niż objawione przez autora *Chartismu*. Dość przypomniéć rozprawy w parlamencie i agitacyą przed wyzwoleniem katolików w r. 1829-ym. W epoce chartyzmu, w latach 1844 i 1845-ym

Macaulay miał w izbie gmin trzy mowy, stanowiące jeden z najlepszych jego tytułów do wdzięczności stronnictwa rozwoju, które dla saméj Anglii będzie postępowém, dla Irlandyi przecież być już musiało stronnictwem sprawiedliwości przeciwko egoizmowi narodowemu. W mowie nad stanem Irlandyi d. 9 lutego 1844 r. wyliczył znakomity historyk tych polityków angielskich, którzy przed nim już chcieli poprawić los nieszczęśliwéj wyspy. Są to nazwiska: Pitta (młodszego), Grey'a, Granville'a, Canning'a, Melbourne'a (*Macaulay's Speeches* ed. Tauchnitz. Vol. II, pp. 25, 111, 130 squ.). *S. K.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Ostoja*. **Wychowanka**. Powieść. K. Grendyszyński, 1895, st. 218. — Autorka dotychczas drobne tylko kreśląca obrazki i nowele, pomiędzy któremi było kilka prawdziwie znakomitych, pokusiła się w „Wychowance” o rozleglejszą kompozycyę powieściową. Zgóry musimy wyznać, że próba nie wypadła szczęśliwie. Już dawniéj przy rozbiorze cokolwiek obszerniejszych zarysów Ostoi mieliśmy sposobność zaznaczenia wadliwości ich układu, autorka bowiem nie umiała zapanować nad dowolném kojarzeniem się wyobrażeń, lecz szła za niém posłusznie i odbiegała tym sposobem od wątku zasadniczego, jaki rozsnuć zamierzała. I w „Wychowance” jest podobnie. Krótka chwila, w któréj niedobrane małżeństwo — mąż karyerowicz, słaby zresztą, galwanizowany przez ambitną siostrę i żona bardzo ładna, a pragnąca rodzinny swój Gródek utrzymać pomimo ogromnych swych długów—ostatecznie się z sobą rozchodzi, dostarczyła Ostoi materyału do szeregu drobnych scenek, wypełniających niemal trzecią część książki. Z tak obszernego zagajenia możnaby było wnosić, że zarówno jedna jak druga osoba zajmować będą w dalszém opowiadaniu swe główne role. Tymczasem zgoła tak nie jest; o mężu znajdziemy przy końcu powieści zaledwo pobieżną wzmiankę, iż dla uzyskania rozwodu ma przejść na luteranizm, a żona... Żona, piękna Anna, występuje wprawdzie ciągle na kartach powieści, ale czy naprawdę jest główną osobą? Jest nią o tyle, że ciągle mówi o utrzymaniu Gródka, że ściąga na siebie oczy wszystkich, że się uczy robienia kapeluszy słomkowych, praktykuje w szkole freblowskiéj i t. d. W gruncie jednak rzeczy wydać się musi czytelnikowi, iż ona stanowi tylko pretekst do skréślenia całego szeregu sylwetek. A więc poznajemy najprzód stryja Anny, pseudouczonego, dyletanta, który zażądaniem gotówki na swobodne życie w Dreźnie głównie się przyczynił do obdłużenia Gródka. W rysunku téj postaci są niektóre rysy ciekawe i znamienne, ale po pierwszych scenach, w których się z nim zaznajamiamy, po niefortunnych

zalotach do synowicy, przedstawionych w sposób niezbyt prawdopodobny, widzimy w nim już tylko automat ruszający się i gadający jednostajnie, tak, że obudzone zrazu zajęcie słabnie potém całkowicie. Potém poznajemy adwokata Szurskiego, wykwintnego szubrawca, gdy trzéźwy, pospolitego głupca, gdy sobie podpije. Daléj przesuwa się przed nami ogorzała twarz szlachcica Walińskiego, kuzyna Anny, z rozkoszą na jéj piękność poglądającego, lecz niechętnie patrzącego na upór, z jakim ta koniecznie przy Gródku utrzymać się pragnie. Ma on rozrywkę w Dreźnie, gdyż poznał żonę malarza, Wrońską, spragnioną hołdów i starającą się je wywołać wciętemi bardzo stanikami, spojrzeniami i śmiałemi słowy. Pomijając inne epizodyczne figury, jak idyota Fryd, z którym znajomi swatają Annę, jak trzy panienki, uprawiające sport rowerowy, wesołe, jak czeczotki i gadatliwe, jak papużki, trzeba się dłużéj zatrzymać na Jaśkiewiczu, mającym na Gródku przeważną wierzytelność. Jestto syn dorobkiewicza, bogaty, trzéźwy, łatwo oryentujący się w interesach, lecz zarazem uczciwy, o tyle przynajmniéj, że przeczuwając w wekslach, wystawionych przez b. właściciela Gródka lichwiarskie procenty, nie rad korzystać ze swéj przewagi i gotów nieźle dopłacić, byleby zostać właścicielem majątku, do czego czuje wielki pociąg. Poznawszy Annę osobiście, zakochał się w niéj naturalnie — boć w Annie wszyscy się kochają — a co ważniejsza prostotą swoją, szczerością, serdecznością potrafił obudzić w tém chłodném czy wychłodzoném sercu żywszą sympatyę, która łatwo zamienićby się mogła w miłość, gdyby nie wiadomość, spadająca na nią nagle, że Jaśkiewicz miał kochankę i dziecko, a teraz, mając nadzieję otrzymania ręki Anny, oddalił je od siebie i naraził się na... proces, którego podjął się Szurski. Okoliczność ta uniemożliwiła związek; uczuł to sam Jaśkiewicz, ale mimo to współczucia dla Anny nie stracił i dla niéj głównie wziął w dzierżawę Gródek, by zapewnić jéj w przyszłości jakiś dochód. Anna wybiéra się do Warszawy, aby założyć tam szkołę freblowską. Jeżeli dodamy, że obok wymienionéj postaci, widzimy jeszcze matkę Anny, księdza-suchotnika, sadzącego drzewka, jego brata, doktora, zajmującego się spirytyzmem, ciotkę Reginy, która dla brata, owego pseudo uczonego, wszystko poświęciła i t. d.—to na brak osób w powieści uskarżać się nie będziemy mogli, tylko na to, że te osoby dziwnie bezplanowo zostały w obrazie umieszczone i zamiast tworzyć spójną całość, muszą być rozpatrywane same dla siebie. Ostoja najważniejsze dla rozwoju powieści chwile zaledwie napomyka — prócz pierwszéj, aż nadto szeroko rozwiniętéj, rozstania się małżonków—a tymczasem epizody zgoła dla akcyi podrzędne przedstawia obrazowo, plastycznie, niekiedy wyśmienicie (hulanka, wyprawiona

przez Szurskiego, gadanina trzech panien, zaloty Wrońskiéj). Wskutek takiego sposobu traktowania nie widzimy wcale rozwoju charakterów, nie poznajemy lepiéj osób, mających odegrać główną rolę w powieści, gdyż nawet Anna po za swoją wyniosłością i przywiązaniem do Gródka, dokładniéj nam się nie prezentuje, tak, że sympatyę, którą otacza ją autorka, musimy raczéj przyjąć na wiarę, niż z własnego przekonania. Styl, jak w nowelach, jest zwięzły, jędrny, nieraz malowniczy i ognikami dowcipu rozjaśniony. Zauważyłbym tylko, że jéj osoby, zarówno mężczyzni jak kobiéty, zbyt często ramionami aż „podrzucają", że autorka niektórym czasownikom odbiéra niezbędny dla nich zaimek zwrotny (przypominać s o b i e, starzéć s i ę i t. p.), że zgoła niepotrzebnie wprowadza także wyrazy jak: „podhumorzony", czasem nadużywa charakterystyki przez przytaczanie zbyt drastycznych wykrzykników (str. 113). A tytuł powieści? Chyba go autorka w jakiéjś drugiéj części wyjaśni.

= **Facecye Mikołaja Reja** przez *Ignacego Chrzanowskiego*. Kraków, 1894, str. 57. — Autor, znany czytelnikom „Ateneum" z kilku rozpraw, zajął się w téj nowéj zbadaniem, skąd zaczerpnął Rej pomysłów do swoich „Figlików", t. j. do owego dodatku, obejmującego paręset fraszek, jakim uzupełnił swój „Zwierzyniec". Ustaliwszy naprzód różnice, zachodzące pomiędzy pierwszém wydaniem a drugiém z r. 1574, wykazawszy, że w tém drugiém jest 26 fraszek, nieznajdujących się w pierwszém i dowiódłszy, że osobne wydanie „Figlików" z roku jakoby 1570 najpewniéj wcale nie istniało, i że tylko figliki odrywano od „Zwierzyńca" i osobno w obieg puszczano, charakteryzuje autor facecye Reja, kładzie nacisk na ich pierwiastek satyryczny, z tém zastrzeżeniem, iż w jego figlikach prawie wcale nie figuruje szlachta polska, raz bowiem tylko powstaje przeciw zbytkowi w ucztach szlacheckich, opowiadając, jak jeden Włoch, zaproszony do jakiegoś pana na obiad, zasnął wśród biesiady, tak dlugo trwała. Następnie przystępuje p. Ch. do istotnego swego zadania, wykazując dowodnie, iż Rej czerpał najwięcéj z facecyi Poggio Braccioliniego († 1459), Henryka Bebla, humanisty niemieckiego, z Gasta, z bajek Ezopowych, z Wawrzyńca Abstemiusa *(Keinweintrinker)*, z Erazma Roterdamczyka. Wyliczywszy fraszki, wzięte z każdego wymienionego tu źródła, zastanawia się autor nad sposobem, w jaki Rej z nich korzystał. Nie trzymał się on nigdy dosłownie swojego wzoru, brał tylko z niego główny pomysł, szczegóły zaś po swojemu przerabiał lub dotwarzał. Ponieważ wszystkie fraszki ujmował w formę ośmiowierszową, więc bardzo często skracał albo rozszerzał anegdotę, która mu

za wzór posłużyła. Imiona własne i szczegóły miejscowe, znajdujące się w pierwowzorach fraszek swoich, Rej zazwyczaj opuszczał; niekiedy akcyą przenosi do Polski, lub zamienia nazwy narodów na lepiéj znane np. Egipcyanina na Tatara. Oprócz wymienionych powyżéj autorów obcych korzystał niewątpliwie Rej z innych, z trudnością wykryć się dających. Ciekawą jest wskazówka, jak Rej pilnie śledził objawy literatury obcéj, o ile w języku łacińskim się ukazywały. Facecye Hulsbuscha (*Sylva sermonum iucundissimorum*) wyszły w Bazylei w 1568, Rej umarł w końcu r. 1569, a jednakże zdążył przygotować do drugiego wydania „Zwierzyńca”, które sobie projektował, przeróbkę kilkunastu fraszek z tego całkiem nowego źródła, a że nie z innego jakiegoś je czerpał, tego dowodzi zwycięsko, o ile mnie się zdaje, p. Chrzanowski, przytaczając dwie fraszki, które są niemal tłómaczeniem z Hulsbuscha i okazując na jednéj, że podobna facecya, zawarta u Gasta, nie mogła Rejowi za wzór posłużyć. Zastanawia się daléj autor nad takiemi facecyami Reja, których bezpośrednie źródło nie da się ściśléj oznaczyć, lubo napotykamy w literaturze obcéj. Prawdopodobnie zasłyszał je Rej z ustnych opowiadań, z powieści ludzkiéj. Za czysto polskiego pochodzenia uznaje p. Ch. takie facecye, których treść stanowi pisanie złośliwych i uszczypliwych rymów na ścianach, gdyż takich facecyi, jak twierdzi autor, literatura obca nie posiada. Daléj polskiemi można nazwać fraszki, oparte na grze słów polskich, lub na polskich homonimach, ale niezbyt wiele przytacza ich p. Ch. Nareszcie wśród figlików Reja dostrzega autor sporo takich, dla których nie da się wykazać analogii w literaturze obcéj, które noszą na sobie piętno iście Rejowskiego humoru, które zdają się być podsłuchane na wsi — wśród ludu polskiego”. W końcu stara się wyjaśnić p. Ch. motywa, któremi kierował się Rej, pisząc tłuste a nawet sprośne czasami figielki. Winę przypisuje wpływowi ducha humanistycznego, który dla pięknego frazesu łatwo wybaczał zdrożnościom. W życiu i działalności Reja „spostrzegamy sprzeczności”; głosi on zasady, „któremi niezawsze kieruje się w czynach, karci życie hulaszcze, pijatyki i wystawne biesiady, a sam pod tym względem nie jest wolny od zarzutu, nie dziw więc, że i w swych pismach wpada czasem w sprzeczność z samym sobą, nie dziw, że wychwalając skromność, raczy swych czytelników niezawsze skromnemi obrazkami”. Nie potrzeba podobno wpływów humanizmu na to, ażeby ukazać sprzeczności w charakterze, gdyż leżą one głęboko w naturze ludzkiéj; a co do facecyi, to bodaj bliższém prawdy będzie wyjaśnienie, iż Rej tak samo z najtłustszéj anegdoty umiał wyprowadzać sens moralny

i budujący, jak to czynili kaznodzieje wieków średnich i XVII-go stulecia, którzy nie wahali się bawić i śmieszyć swoich słuchaczów, lub jak to robili autorowie owych popularnych książeczek: „Historye rzymskie", „Historya siedmiu mędrców" i t. p., gdzie również celem budującym były przesłonięte bardzo ślizkie anegdoty. W każdym razie praca p. Ch. napisana starannie, jasno i dobrym językiem jest ważnym przyczynkiem do poznania dziejów naszego piśmiennictwa.

= **Franciszek Zabłocki**, szkic biograficzno-krytyczny, skréślił *M. Gawalewicz*, str. 83. — **Józef Bliziński**, zarys biograficzno-literacki, przez *Adama Dobrowolskiego*, str. 107 (oba dziełka w Krakowię, r. 1894. — P. Gawalewicz z właściwą sobie swobodą i powabem dał nam charakterystykę pierwszego prawdziwego komedyopisarza naszego z temperamentem scenicznym, wydobył kilka nowych szczegółów do jego życiorysu i twórczości, zanalizował główniejsze jego komedye oryginalne, rozprowadził szczegółowiéj napomknięte przez innych podobieństwo „Sarmatyzmu" i „Zemsty" Fredry, krótko mówiąc, nakréślił wizerunek literacki, najdokładniejszy ze wszystkich dotychczasowych. Jeżeliby wypadło mu zrobić jakiś zarzut, to chyba ten, że autor niezawsze zaznaczał wyraźnie, co zrobili jego poprzednicy, zarówno pod względem życiorysu, jak i pod względem krytycznego rozbioru twórczości Zabłockiego, oraz, że nadto pobieżnie traktował stosunek naszego komedyopisarza do Moliera. Pierwszy atoli zarzut osłabia się tą okolicznością, że praca p. G. ma charakter popularny (pierwotnie odczyty), a drugi tém, że autor nie zakładał sobie studyum porównawczego. Poprawność druku wogóle jest znaczna, tylko cytata łacińska o Medei (str. 31) fatalnie została przekształcona. — Praca p. Dobrowolskiego znana jest czytelnikom „Ateneum", gdyż najprzód była w niém pomieszczona. Obecnie wyszła osobno z niektóremi dopełnieniami (np. scenaryusz opery Blizińskiego p. t. „Partyzant" z czasów wojny szwedzkiéj za Augusta. Ma ona przedewszystkiém znaczenie biograficzne, autor bowiem korzystał z opowiadań i notat samego komedyopisarza, lecz i strona estetyczno-krytyczna nie jest w niéj bynajmniéj zaniedbana; zdałoby się jéj tylko więcéj pogłębienia. Pisana jest żywo, zajmująco, stylem jasnym, poprawnym, językiem dobrym, a czasami i pięknym.

= *Henryk Jakubowicz*. **Być czy nie być. Aspazyja. O szaréj godzinie. Pieśni bez tytułu**. Warszawa, 1895, str. 123. — Młody autor nie chciał dać zbiorkowi swemu ogólnego napisu „Poezye", mo-

że w skromności swojéj przesądzać, że to są istotnie poezye, wolał natomiast wyliczyć na samym tytule zawartość tomiku. Rozpoczyna się od Hamletowego pytania: być czy nie być? Jakiś młodzieniec z chmurą zadumy na czole, obcy i głuchy wśród ludzi, „z ciężarem w głowie i jadem w sercu”, dlatego widocznie, że „c i e r n i e znalazł w życia k o b i e r c u”, jak automat, chodząc po mieście, zaszedł wreszcie „z błędném spojrzeniem nad Wisłę i chciał „rozigrane bytu rozdźwięki” stopić „w zgodną harmonię nicestwa”. Ale poczciwa jednak i przebiegła Wisła nie pozwoliła temu „boleści królowi” spełnić swego zamiaru, perswadując mu, że czynem samobójstwa odda wszystkie swe cierpienia „na zbezczeszczenie ś w i a t o m” (rym do a t o m), że ludzie rzucą „sromotę” na jego imię i nikt o bólu jego pamiętać nie będzie, czyli, jak autor wyraża to z niemiecka: „każdy ból twój zapomni”, że póki żyć będzie, chowając „perłę czarną w swém łonie”, to przynajmniéj własne jego *ja* zbuduje dla jego rozpaczy „złote ołtarze”. Tym indywidualistycznym argumentem dał się przekonać nowy Hamlet i wedle zalecenia Wisły postanawia żyć i cierpiéć daléj z ogniem bólu i myśli lodem”. Ponieważ cała wartość tego utworu polega na jednym argumencie Wisły, mógł autor o wiele krócéj historyę swego Hamleta opowiedziéć. „Aspazya” jest najobszerniejszym poematem w zbiorku; przedstawia na tle starogreckiém kwestyę wyższego wykształcenia kobiét, a kończy sarkazmem o niestałości uczuć niewieścich, gdy Aspazya, dla któréj Perykles stanowisko swoje w państwie narażał, zaraz po jego śmierci oddała się staremu Lizyklesowi, hodowcy bydła. Że mało w tém opowiadaniu jest Grecyi, to możnaby łatwo wybaczyć, gdyż autorowi nie chodziło o archeologię ale że używa on wyrazu „sympozya” w rodzaju żeńskim, że mówi „o związku wysep ż y z n é j C y k l a d y”, że według niego strumień górski „m i a ż d ż y kamienie” (str. 35), że zestawia Omfalę (czyli, jak autor pisze: O m f a l i ę) z Dejanirą w jednym rzędzie (str. 38), to jest już znacznie gorzéj i na karb natchnienia, zwłaszcza dobrego natchnienia, zaliczyć się nie da. Trzeba wszelako zaznaczyć, że w przemowie Peryklesa do ludu o potrzebie oświecenia kobiét jest kilka myśli trafnych i ładnie wyrażonych. „O szaréj godzinie” przesuwają się przed wyobraźnią poety różne bolesne sprzeczności życia, które działają na umysł jego przygnębiająco i każą mu tęsknić „do niebytu i Nirwany”. I w „Pieśniach bez tytułu” powraca nieraz do pragnienia „snu wieczystego”, ale obok niego pojawia się uwielbienie dla piękna, miłość ze swemi upojeniami i cierpieniami, wstręt do gnuśnego wegetowania:

Tylko mi nie daj téj pustki głuchéj,
Co w pléśń omszoną potok krwi zmienia;
Pustki, co zwolna uśmierca duchy,
Co dążeń nie ma, nie zna pragnienia.

Chwilowy nastrój wywoływał oczywiście różnorodne pieśni, w których napróżno szukalibyśmy jakiegoś jednolitego usposobienia, jakiéjś nuty zasadniczéj. W duszy autora wrą niepokoje, walki i burze wewnętrzne, którym stara się nadać wyraz poetyczny w swych pieśniach. Niezawsze wynik szczęśliwy wieńczy te usiłowania, częściéj jednak w lirykach, niż w większych utworach. Już retoryczne określenie „piękna" (str. 75) ma dużo zalet i gdyby nie porównanie piękna do „ciężkiego młota, co zdrową myśl przygniata", uznaćby je można za ładne. Daléj, odczuta jest szczera tęsknota do wsi („Jak nudno tu, jak nudno wśród kamieni"). Zręcznym jest obrazek światowéj damy („Plusz, aksamit, jedwab i koronki"). Wiele pięknych wierszy znaleść można w rozpamiętywaniu o czarach poezyi i jéj stosunku do świata („Zasnął na wieki"). Jest pomysł oryginalny, że gdy słońce prosiło księżyc, ażeby je zastąpił, ten, choć z kolébki swéj wyszedł z rumianą twarzą, spojrzawszy na ziemię, „nagle z bólu zbladł i odtąd blady płynął i ponury". Mocarzem słowa i rymu nie jest p. Jakubowicz; frazeologia jego dość uboga, porównań i przenośni świéżych daje bardzo mało, wśród rymów znajdują się nieraz bardzo pospolite; język tu i owdzie niepoprawny, upodobanie do pewnych wyrazów, np. „sromota", zbyt wielkie, a nie brak i pochopności do tworzenia nowych, np. „zalota" („okiem, pełném zaloty", str. 123). Nie są jednak wiersze pozbawione myśli i to daje nadzieję, że autor kiedyś i nad formą zapanuje.

— **Wspomnienia artysty**, ilustrowane urywki z pamiętnika wydał *Leonard Lepszy*. Rysunki wykonał *Edward Lepszy*. Kraków, 1895. Nakład autora, str. 160. — Elegancka ta książeczka, na wzór francuskiéj biblioteki Guillaume'a mieści w sobie kilka mniéj lub więcéj zajmujących zarysów z życia uczniów Akademii sztuk pięknych w Krakowie za dyrektora Matejki. Wycieczka do ruin zamku Tęczyńskiego, charakterystyka dyrektora, jego totumfackiego Gorzkowskiego (przezwanego tu Słodkowskim) i niektórych profesorów, obrazki z życia koleżeńskiego, wskazanie źródeł utrzymania wraz z obrazkiem rozpaczliwego położenia jednego z kolegów, wreszcie przygody w poszukiwaniu modeli i modelek składają się na treść tych wspomnień, pisanych tonem swobodnéj gawędy, przeplatanéj anegdotami, z wielką

dla szkoły sympatyą, żywo, zajmująco, lubo nie zawsze poprawnym językiem, w którym gwarowe formy — nie dla zaznaczenia odrębności bynajmniéj—zostały przyjęte za poprawne literackie. Nie dla wszystkich kryptonimy, pod któremi ukrywają się rzeczywiste osobistości, będą zrozumiałe, ale ponieważ autorowi chodziło nie tyle o osobistości, ile o cechy ogólne, nie wiele na tém należy. O kierunku, nadanym szkole przez Matejkę, powiada: „Prawda jest, że zanadto wiele częstokroć dał się unosić właściwościom, które cechowały jego naturę, że z tego powodu wychodziły z pracowni szkolnéj uczniów rzeczy, pod względem rozwinięcia myśli zbyt kierowanéj indywidualścią mistrza, zasadniczo chybione, bo porwani urokiem sławy, przejmowali się zbytnio jego manierą, naśladując skrupulatnie poczęści ujemne strony; biorąc jego fakturę, nie mieli jego genialnego umysłu, któryby uduchowił i uskrzydlił rzucone na płótno pomysły... Ten pierwiastek historyczny i tendencyjny przygłuszał niejednokrotnie samodzielność w młodym artyście, ale go równocześnie kształcił, uczył myśléć i wtajemniczać się w historyografię, w dziejowy pochód ludzkości. Było to przygotowanie umysłów do przyszłego tworzenia samoistnego, zasoby wiadomości, dawane pełną dłonią ku wyposażeniu młodego artysty na drogę życia" (str. 51, 52).

= **Encyklopedya rolnicza** (zeszytów 40). — Współczesny rozwój wiedzy, coraz zasobniejszéj w najróżnorodniejsze odkrycia i wynalazki, wywołuje w każdéj specyalności tak olbrzymi materyał wiadomości, takie zejście się i posługiwanie wzajemne odległych napozór od siebie metod i nauk, że bezwątpienia nawet kompetentni i wykwalifikowani specyaliści niejednokrotnie są zmuszeni w wypadkach wątpliwéj natury uciekać się do podręczników i dzieł, które dla każdéj nauki dziś już biblioteki stanowią. Z tego stanu rzeczy wynikła konieczność nieodzowna dzieł, ogniskujących w sobie w krótkości i streszczeniu wiadomości i źródeł bibliograficznych, odnoszących się do każdéj nauki, oraz do tych gałęzi wiedzy, które z nią w nabliższym stoją związku. Takiemi zaś podręcznikami są encyklopedye specyalne. I takiemi właśnie powoli, ale stale, dzięki pracy i zabiegom ludzi dobréj woli wzbogaca się literatura nasza, mówiąc zaś, wzbogaca, rozmyślnie tego słowa użyłem, gdyż większość tych pomnikowych dzieł istotnie na wszelką zasługuje pochwałę i uznanie. Jedném z takich dzieł jest „Encyklopedya rolnicza", wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa, przez komitet, złożony z sił najwybitniejszych na polu téj specyalności. Następczyni „Encyklopedyi rolnictwa i wia-

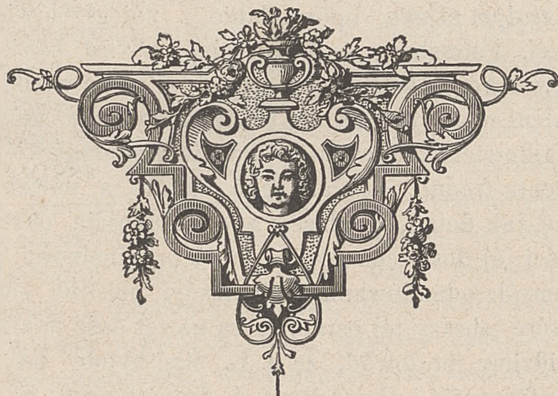
domości, związek z nią mających", rozwinęła i rozszerzyła program swéj poprzedniczki, grupując na swych łamach szereg wybornych monografii, zastosowanych do wymagań chwili, bogatych w szeroki zakres ostatnich wiedzy wyników. Zasobne w obfi e dane statystyczne, nader dokładnie ilustrowane, starannie i umiejętnie streszczone — wszystkie artykuły obecnéj „Encyklopedyi rolniczéj" odznaczają się swą treściwością, przystępnością, a jednocześnie jasnym i ściśle naukowym wykładem. Nader cenną i bardzo sumiennie opracowaną jest „Bibliografia rolniczo-technologiczna", obejmująca wykaz dzieł rolniczo-technologicznych po rok 1800, daléj artykuły: „Budownictwo, pszczelnictwo i t. d.", chcąc zaś wszystkie wybitne wymienić, musielibyśmy przepisać tytuły wszystkich artykułów dotychczas wyszłych z pod prasy zeszytów. Powinszować téż można daru streszczania jasnego i pełnego autorowi „Anatomii zwierząt ssących domowych", oraz „Fizyologii", oba te artykuły, hojnie ilustrowane, są bez zarzutu. Zaszczupłym nieco wydaje się nieco artykuł „Apteczka domowa", traktujący rzecz tak ważną, jak pomoc w pierwszych wypadkach zasłabnięcia, rzecz pierwszorzędnéj wagi na wsi, w okolicy, gdzie niezawsze pomoc lekarska może być szybką i natychmiastową. Streszczając powyższych zdań kilka, możemy śmiało wyrazić szczerą podziękę dla grona tych, dzięki pracy których piśmiennictwo nasze wzbogaci się dziełem tak poważném, wyczerpującém, sumiennie prowadzoném, jak „Encyklopedya rolnicza", która zawędrować powinna pod strzechę każdego z tych rolników, którzy, idąc za postępem i udoskonaleniami, starając się zastosować te zdobycze nauki, dzięki którym praca staje się mniéj uciążliwą, a wzrasta produkcya, dzięki którym każda piędź ziemi, każdy wytwór przyrody, każdy napozór nieużyteczny niemal odpadek staje się przedmiotem, wyzyskanym przez umiejętność właściciela, sowicie za swą pracę i pieczołowitość około matki-ziemi wynagrodzonego. *K. Dan.-Strz.*

= *Lucien Arréat.* **Mémoire et imagination** (peintres, musiciens, poètes et orateurs). Paryż, w Bibliotece filozofii współczesnéj, str. VII i 171. — Autor postanowił rozpatrzéć fizyognomię duchową artystów, czyli, jak się wyraził typy konkretne, zawodowe, spotykane w sferze twórczości artystycznéj. Wybrał sobie metodę analityczną, w danym razie może najniewdzięczniejszą. Wychodzi z założenia, że na wszelką działalność umysłową składają się dwa pierwiastki duchowe: pamięć i wyobraźnia. Tamta dostarcza materyału, ta z niego buduje dzieło. A zatém, trzymając się zakréślonego sobie planu, rozpa-

truje drobiazgowo różne postaci pamięci: wzrokowe, słuchu, mięśni, wrażeń emocyonalnych, wreszcie pojęć oderwanych. Zaznaczywszy naturę każdéj z nich, usiłuje znaléść, jak w różnych dziedzinach twórczości artystycznéj każda z nich się uwydatnia. Później bada w podobny sposób wyobraźnię w jéj różnych postaciach, oraz wpływy, jakie na jéj działalność wywiérają temperament, erudycya i inne czynności. W natłoku takiéj analizy ginie aż nazbyt często przewodnia nić wywodów i wogóle pracy Arréata nie zaszkodziłaby pewna doza syntezy. Niekiedy książka czyni wrażenie, że autor nie opanował należycie swojego przedmiotu i nie przetrawił swojéj tezy. Faktów nowych książka nie daje, Arréat korzysta z tego, co już inni nagromadzili. Swoją drogą dziełko jego jest z pożytkiem dla estetyków, którzy w niém znaléść mogą sporo szczegółów interesujących i zapoznać się z rozbiorem fizyologiczno-psychicznym tworów artystycznych. *L. K.*

— **Na złotym szlaku**, opowiadanie z ubiegłych wieków *Maryi Łopuszańskiéj*. Petersburg. — Powieściopisarstwo nasze historyczne tak obfituje w utwory olbrzymiéj wartości, że tylko wielki, oryginalny i dojrzały talent w nowym na téj niwie pracowniku mógłby naszego czytelnika całkowicie zadowolnić. Pannie Łopuszańskiéj zaprzeczyć pewnego talentu trudno, rozmiary jego jednak, a nawet i charakter nie dadzą się, jak dotąd, z właściwą dokładnością określić. Można téż w powieści jéj dostrzedz pewien zasób oryginalności, przebijającéj się np. w pomyśle odmalowania kolonizacyi polskiéj stepów ukraińskich: niektóre obrazy téj ostatniéj są nawet dość udatne. W wielu ustępach widzimy tu dowód, że p. Ł. stać byłoby na opowiadanie swobodne i potoczyste i akcyę żywą i dramatyczną, w pierwszéj téj jednak próbie daje się jeszcze czuć miejscami znaczna rozwlekłość. Postaci osób działających zarówno są dalekie od niewyraźności lub dysharmonijności, jak i od wyrazistości nieśmiertelnéj. Najsympatyczniejszą i najtrafniéj odmalowaną — jest Halszka stolnikówna, żywa, wesoła, pusta pozornie dziewczyna, o naturze moralnie silnéj, zdrowéj, jędrnéj, zdobywająca się w końcu na prawdziwie wielką i wzniosłą miłość dla — niestety! — jakiegoś bajronowskiego Lary czy Korsarza (Jarosława). Należy jednak wyznać, że historyi téj miłości nie brak czasem pierwiastka wzruszającego. Największém w powieści nieprawdopodobieństwem psychologiczném jest Omelko, jakiś rodzaj czołgającego się demona, czyniącego złe dla złego. Ze „Złotego szlaku” zalatuje nas często woń stepów ukraińskich, duch jednak

przeszłości — daleko rzadziéj. Powiedziałem wyżéj, że trudno określić rodzaj talentu autorki, zdaje mi się jednak, że jeśli wywalczy ona sobie jakiś liść wawrzynu, to nie w tych szrankach. Znacznie wdzięczniejszego pola dostarczyłoby jéj życie współczesne, nienajeżone groźnemi niebezpieczeństwami i nie usiane czynami męskiego bohatérstwa wojennego, co wszystko czasem dziwnie po kobiécemu i po salonowemu pojmuje i przedstawia sobie p. Ł., jak o tém najlepiéj świadczy opis przeprawy oddziału pancernego przez Dniestr podczas kry — pod strzałami.



NEKROLOGIA.

† **Antoni Skórkowski** urodził się w miasteczku Ilińcach 1848 r. z Jarosława i Anny, kształcił się w kierunku przyrodniczym i został lekarzem, był honorowym członkiem lwowskiego Towarzystwa lekarskiego. Wedle znających go osobiście, umysł to był jasny, rozum bystry, niepospolicie ukształcony, rozmiłowanie w naukach ścisłych do entuzyazmu posunięte łączyło się w nim z żywą wiarą w Boga, nieśmiertelność, celowość wszelkiego stworzenia. Główne jego dziełka ogłoszone drukiem są: „Choroby duszy i odpowiedzialność moralna" (Wilno, 1881), „Matki i karmicielki" (Wilno, 1881), „Rys nauki o śmierci (Tanatologia)" (Warszawa, 1883). Oprócz tego w pismach peryodycznych sporo pomieszczał artykułów. Zmuszony dbać o utrzymanie, straciwszy żonę, oddał się z całą gorliwością wychowaniu dwu córek i dlatego nie mógł się poświęcać pracy naukowo-literackiéj z większém natężeniem. Zmarł 23 października 1894 r. w Medowatéj, gub. Kijowskiéj.

† Ś. p. ks. **Konstanty Damroth**, urodzony 14 września 1841 r. w Lublińcu na Śląsku pruskim. Ukończywszy nauki gimnazyalne, wstąpił na wydział teologiczny uniwersytetu wrocławskiego; w r. 1867 wyświęcony został na księdza. Niebawem został naprzód profesorem, a następnie dyrektorem seminaryum nauczycielskiego w Kościerzynie, w Prusiech Zachodnich. Późniéj przeniesiono go do Pruszkowa pod Opolem, gdzie także spełniał obowiązki dyrektora seminaryum. W roku 1893-im z powodu choroby złożył urząd i osiadł w Pilchowicach, gdzie umarł w końcu marca r. b. Na polu literackiém wystąpił po raz pierwszy w r. 1867, wydając w Chełmnie zbiorek poezyi pod

pseudonimem Czesława Lubińskiego p. n. „Wianek z gór Szląska". Poezye te, odznaczające się prostotą i serdecznością uczucia, zyskały popularność, a znacznie powiększone wyszły w nowém wydaniu w dwu tomach p. t. „Poezye Czesława Lubińskiego" r. 1893 w Bytomiu. Oprócz wierszy wydał następujące dzieła: „Opis Ziemi Świętéj do użytku szkolnego i prywatnego" (Gdańsk, 1870, drugie wyd. 1873), „Żywot przebłogosławionéj Dziewicy Bogarodzicy Panny Maryi, tudzież cuda i łaski, jakich wierni wszystkich wieków za jéj wstawieniem doświadczyli" (Królewska Huta, 1870/1, trzy wydania); „Obrazki misyjne z wszystkich krajów i wieków" (Poznań, 1873), „Dzieje Starego i Nowego Testamentu dla szkół katolickich" (Pelplin, 1876), „Prosty wykład dziejów Starego i Nowego Testamentu katechetom, nauczycielom i rodzicom chrześciańskim ofiaruje" (Pelplin, 1876, str. 720).

† **Zygmunt Ruppert**, literat, urodzony 1851 r., po ukończeniu nauk, został urzędnikiem kolei wiedeńskiéj, a po utracie posady znalazł zajęcie literackie przy wydawnictwie „Wielkiéj encyklopedyi ilustrowanéj". Zmarł w Warszawie 7 kwietnia r. b.

† **Władysław Kornel Zieliński**, syn Ludwika, wydawcy najstarszéj ilustracyi lwowskiéj „Lwowianin", urodził się we Lwowie 24-go czerwca 1836 r. Wychowanie otrzymał w domu. W r. 1852 zdał na patent dojrzałości w wyższéj szkole realnéj we Lwowie. W roku 1856-ym wystąpił na polu piśmienniczém, ogłaszając nowelkę „Anusia" w kalendarzu Hipolita Stupnickiego: „Haliczanin". W r. 1859 brał udział w kampanii austro-włoskiéj; ranny w bitwie pod Magentą, otrzymał krzyż za męstwo. W r. 1863 opuścił służbę wojskową, przybył do Królestwa i do r. 1878 przebywał już to w majątku żony, Józefy Janiny z Piaseckich, w Kłodnicy Dolnéj w pow. janowskim, już to w Lublinie, gdzie czas jakiś był nauczycielem szkoły realnéj. Był członkiem redakcyi „Kuryera Lubelskiego" i „Gazety Lubelskiéj"; pod pseudonimem Mścisława Brony, Władysława z Zieliny, Komara, drukował rozprawki historyczne i inne artykuły w czasopismach warszawskich. Ogłosił około 30 prac mniejszych i większych, jako to: „Św. Cyryl i Metody", „Opis Lublina" (1876), „Monografia Lublina", tom I. „Dzieje miasta Lublina" (1878), „Nie bez nadziei, powieść" (1880), „Ze wspomnień żołnierza" (Warszawa, 1880), „Anna Orzelska" (1881), „Z życia poety, Sebastyan Klonowicz" (1882), „Ostatni z rodu", „W kraju Arpada", „Szląsk austryacki" (1887), „Szląsk pruski" (1889). Zajmował się heraldyką i artykuły z téj dziedziny po

mieszczał w „Wielkiéj encyklopedyi ilustrowanéj”. Interesował się cyganami i z tego powodu był członkiem londyńskiego towarzystwa poświęconego badaniu tego ludu. Był członkiem wielu towarzystw zagranicznych, jako komitetu londyńskiego konserwacyi weneckiéj bazyliki ś. Marka, Towarzystwa uczonych i wirtuozów Panteonu w Rzymie i t. p. Zmarł w Warszawie 7 kwietnia r. b.

† **Aleksander Michaux**, poeta, był synem słynnego w swoim czasie restauratora, którego zakład w pałacu Blanka, potém zaś w domu Roeslera, liczył się do pierwszorzędnych w Warszawie. Urodził się r. 1841, nauki pobiérał na pensyi Leszczyńskiego, następnie kształcił się we Wrocławiu, wreszcie wstąpił do szkoły marymonckiéj, którą ukończył. Tutaj nazwano go Mironem, prawdopodobnie od imienia bohatéra słynnéj wówczas powieści Kaczkowskiego „Bajronista”, a młodzieniec przyjął ten pseudonim i pod nim zaczął ogłaszać swoje poezye, których pierwszy zbiorek wyszedł w Warszawie 1867 r., budząc wielkie nadzieje co do młodego talentu. Po ojcu odziedziczył gwałtowny charakter, był piękny i miał wielkie powodzenie wśród kobiét. Ożeniony z wdową po kupcu win Höhrze, wszedł Michaux w dziedzinę interesów bardzo dla siebie niemiłych; to téż sprzedał wkrótce sklep i poświęcił się wyłącznie literaturze. W roku 1867-ym wspólnie z Wacławem Szymanowskim, oraz firmą Gebethner i Wolff nabył „Kuryera Warszawskiego”, przez lat kilka prócz poezyi mieścił w nim swoje żywo pisane recenzye teatralne pod znakiem przewróconego X (⋊). Większe próby poetyckie nie udawały mu się, jak to widać ze zbiorku p. t „Fantazye” (1870), gdzie się mieszczą: „Ostatni sen Tassa”, „Bez Boga”, „Ze smutnych powieści”. W r. 1870-ym redagował „Księgę pieśni”, wydawaną przez Ungra i Banarskiego. Około r. 1875 już się wyczerpał i wiódł życie prawdziwie opłakane. Nowe wydanie „Poezyi” jego wyszło w Warszawie 1885 r. Zmarł 22 kwietnia r. b. w Warszawie. Pochowany według własnego życzenia przy grobie ukochanéj córeczki.

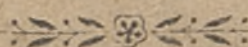
† **Bronisław Chrzanowski**, lat 26, pisywał do „Prawdy” i do przeszłorocznéj „Niwy”, któréj przez czas niejaki był faktycznym redaktorem. Życie zmarłego od wczesnych lat było pasmem nieustającéj nędzy, gdzie bywały chwile ciężkie, tak ciężkie, że komuś wydać się mogą nieprawdopodobnemi. Wystąpiwszy z korpusu kadetów dla słabego zdrowia, rzucił się z całym zapałem ku wiedzy, przy któréj zapominał o wszystkiém, co go gniotło. Entuzyasta do szpiku kości, nawet w najcięższych chwilach nie tracił wiary w ludzi, marząc

o oddaniu wszystkich sił swoich na służbę temu, co raz ukochał. Ale właśnie, kiedy już wybił się i mógł z pewnym spokojem spoglądać w przyszłość, nadeszła choroba, która w wycieńczonym organizmie znalazła grunt bardzo podatny. Była to gruźlica kręgu pacierzowego. Zmarły zaczął już chorować na wiosnę, zapadł na dobre w końcu przeszłego roku, przemęczył się całą zimę i zmarł po ciężkiéj operacyi w szpitalu. Śmierć porwała go właśnie wtedy, gdy obiecywał sobie, że wreszcie zdoła wypowiedzieć przed społeczeństwem to, co leżało mu na sercu: swoje uczucia humanitarne. Grono przyjaciół zmarłego podobno zamierza wydać zbiorek krytyk Chrzanowskiego. Byłby to najwłaściwszy dla niego pomnik pośmiertny.



Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Апрѣля, 1895 г. — Druk Jana Cotty.

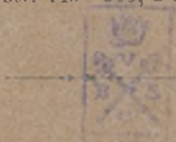
Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. **Tragedye Eschilosa.** W przekładzie *Kazimierza Kaszewskiego.* Warsz., nakł. S. Lewentala, 1895, 8-vo, str. 374.
2. **Środki dochodzenia należności przez towarzystwa kredytowe.** Opracował *Artur Bardzki,* adw. przys. Warsz., 1895, 8-vo, str. 402.
3. *Juliusz Tarczyński.* **Nasza Odysseja.** Obrazy z wychodźtwa brazylijskiego. Lwów, 1894 nakł. „Księgarni Polskiéj", str. 143.
4. *Ostoja.* **Wychowanka.** Powieść. Petersburg, skł. gł. w księg. K. Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 218.
5. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach. Zesz. 25 — 24. Lwów nakł. „Księgarni Polskiéj". Warsz., skład główny w księgarni G. Centnerszwera (1895), 8-vo, str. 193 — 384.
6. **Sprawozdanie** Komisyi Fizyograficznéj. Tom XXIX. Krak., nakł. Akademii, 1894. 8-vo, str. XL + 257 + 215. Z rysunkami.
7. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcya *Bronisława Chlebowskiego,* tom XIII-ty, zesz. 152 i 153. Warsz., 1894 (str. 561—720).
8. **Słownik apologetyczny** Wiary Katolickiéj podług d-ra Jana Jaugey'a, opracowany staraniem X. W. *Szcześniaka,* mag. teologii i grona współpracowników. Warsz., 1895. 8-vo, zesz. 7 (str. 385—576).
9. *Jan Kasprowicz.* **Miłość.** Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1895, in 16-to, str. 175.
10. *Ludwik Krzywicki.* **Za Atlantykiem.** Wrażenia z podróży po Ameryce. Warsz. 1895, 8-vo, str. 340.
11. **Zając.** Powiastka wiejska przez *Klemensa Junoszę.* Warsz., u G. Centnerszwera, 1895, 8-vo, str. 24 (cena kop. 7½).
12. **Encyklopedya Rolnicza** wydawana staraniem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, 1895, zesz. XLII—XLIV.
13. **Czarniecka Góra,** stacya klimatyczna leśno-górska (szkic z klimatologii krajowéj). Warsz., 1895, 8-vo, str. 36.
14. **Gramatyka grecka i łacińska oraz metoda ich wykładu** przez *Bronisława Bieńkowskiego.* Warsz., 1895, 8-vo, str. 100.
15. **Ruch ludności** miasta Warszawy za okres dwunastoletni (1882 — 1893), opracowany przez sekcyę statystyczną magistratu m. Warszawy. 4-to, str. 57.
16. **Biblioteka najcelniejszych utworów** literatury europejskiéj. Tom 256. Warsz., nakł. S. Lewentala, 8-vo.
17. **Sprawozdanie** z czynności Komitetu czytania i pisania za rok 1894. Petersburg, 1894, 8-vo, str. 96.
18. **Obraz literatury** powszechnéj w streszczeniach i przykładach ułożyli *Piotr Chmielowski i Edward Grabowski.* Warsz., nakład T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo zesz. V i VI (str. 321—480).
19. **Pamiętnik** Akademii Umiejętności. Wydział matem.-przyrodniczy. Tom XVIII, zesz. III. Krak., 1894, 4-to, str. 143—243, z 22 tablicami.



Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.